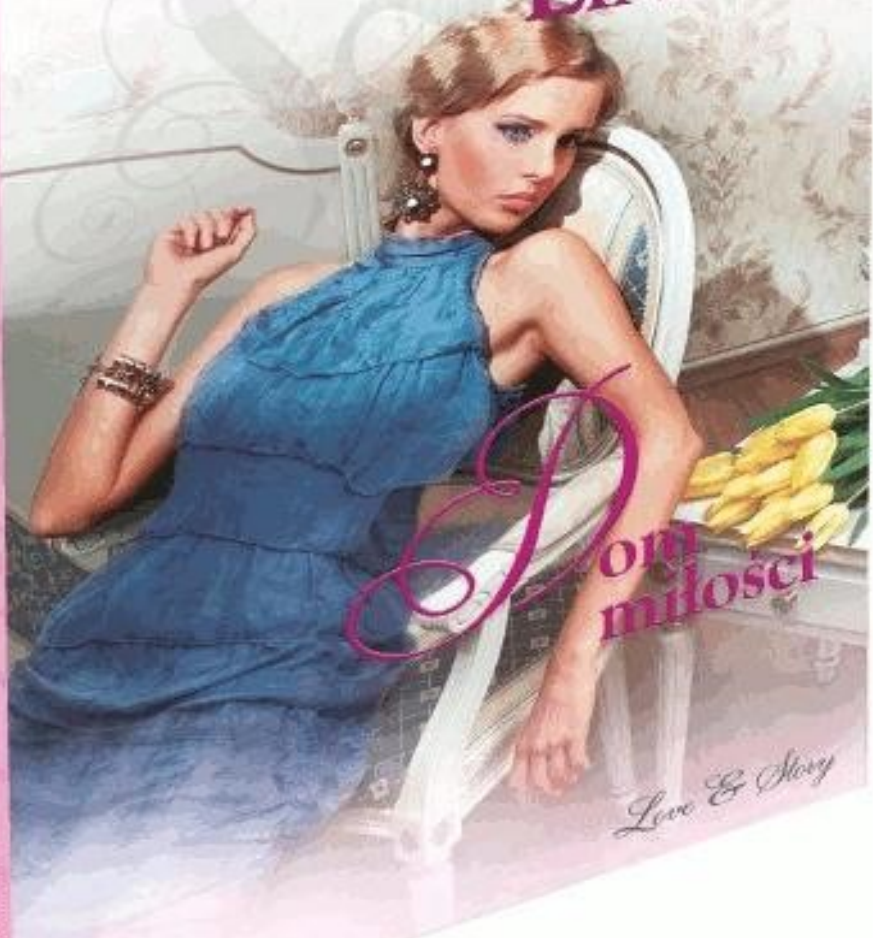


JOHANNA LINDSEY

Romans Historyczny

JOHANNA
LINDSEY



Dom miłości

Love & Story

Dom miłości

Johanna Lindsey

Dom miłości

Inna wersja książki: **Czar Wigilijnej Nocy**



Rozdział 1

Vincent Everett siedział w swoim powozie po przeciwnej stronie ulicy, na wprost wytwornej londyńskiej rezydencji. Chociaż wieczór był mroźny - chyba jeden z najmroźniejszych tej zimy, uchylił szybę, żeby wyraźniej widzieć drugą stronę. Nie zdziwiłby się, gdyby nagle zaczął sypać śnieg.

Nie do końca wiedział, co tutaj robi i dlaczego naraża się na kaprysy pogody. Nie wątpił, że jego sekretarz, Horacy Dudley, doręczy zawiadomienie, dające lokatorom domu dwa dni na wyprowadzenie się. Przecież nie zależało mu, żeby być świadkiem kolejnego posunięcia, którego celem było zniszczenie mieszkającej w tym domu rodziny Ascotów. Robił to chyba bardziej z nudów, z braku lepszych planów na ten wieczór.

Nawet decyzja doprowadzenia do ruiny tej właśnie rodziny nie wynikała z emocji. Vincent nie doświadczył żadnych przykrości od czasów dzieciństwa, nie chciał też nigdy więcej doznać podobnego bólu. Znacznie, ale to znacznie łatwiej było żyć zatwardziałym sercem, upraszczając sprawy, traktując eksmisyę rodziny przed świętami Bożego Narodzenia jako coś z gruntu naturalnego i logicznego.

Nie, metodyczne niszczenie Ascotów pozbawione było wszelkiej emocji, miało natomiast czysto osobisty charakter. Stało się tak za sprawą Alberta, młodszego brata Vincenta, który całą winą za swoje niepowodzenie w interesach i bankructwo finansowe obarczył George'a Ascota.

Lwią część odziedziczonego spadku Albert stracił wyłącznie z własnej winy. Nauczył się jednak czegoś na popełnionych błędach. Ze skromnych resztek ojcowizny próbował uruchomić interes, który miał mu zapewnić utrzymanie, a także uniezależnić go od Vincenta, u którego był wiecznie zadłużony. Odzyskałby także poczucie własnej godności. Zakupił więc kilka frachtowców i otworzył niewielką agencję w Portsmouth. Okazało się jednak, że Ascot, mający podobne przedsiębiorstwo handlowe, przeląkł się konkurencji i przy każdej okazji torpedował wysiłki Alberta, chcąc go złamać, nim ten jeszcze rozpoczął działalność.

Te szczegółowe informacje pochodziły z listu Alberta, i było to wszystko, co zostawił po sobie, zanim zniknął - to i olbrzymie długi, o których zwrot bezustannie dobijano się do drzwi Vincenta. Vincent obawiał się, że Albert się wyniósł, aby bez rozgłosu popełnić samobójstwo, gdzieś, gdzie nie zostanie odnaleziony, jak się niejednokrotnie odgrażał. Cóż bowiem innego mogły znaczyć ostatnie słowa listu Alberta: "Widzę tylko jeden sposób, by już nigdy nie sprawiać Ci kłopotu i nie być ciężarem dla Ciebie!"

Śmierć Alberta oznaczała odejście ostatniej osoby z rodziny Vincenta, choć, mówiąc szczerze, tak naprawdę nie czuł się on nigdy częścią swojej własnej rodziny, więc obecna strata nie powodowała większej różnicy. Rodzice zmarli po osiągnięciu przez niego pełnoletniości, w odstępie jednego roku, pozostawiając jedynie dwóch synów. Nie mając żadnych krewnych, nawet tych dalszych, bracia powinni byli być sobie bliscy. Okazał o się, że jest inaczej. Może jego brat czuł tę bliskość, albo raczej, gwoli ścisłości, zależność, z drugiej jednak strony Albert oczekiwał, że świat i wszystko, co się na nim znajduje, musi się kręcić wokół niego - głupie przeświadczenie, wpojone mu przez rodziców, dla których był radością, maskotką i ulubieńcem. Vincenta traktowali jak zamkniętego w sobie, nudnego spadkobiercę. Właściwie nigdy go nie zauważali.

Aż dziw, że Vincent nie znienawidził brata, ale w tym celu trzeba doświadczać uczucia nienawiści. Na tej samej zasadzie nie zrodziła się w nim także miłość do tego słabego człowieka, jakim był jego brat, a jedynie tolerancja, ponieważ był "rodziną". Uniesienie się honorem za brata wynikało raczej z długotrwałego nawyku, było też kwestią dumy. Fakt, że George Ascot bezkarnie zniszczył jednego z Everettów, przynosił ujmę dobremu imieniu Vincenta. Pokaże mu więc, co potrafi. To była ostatnia rzecz, jaką mógł zrobić dla Alberta - wziąć odwet na Ascecie i odpłacić mu tą samą monetą.

Akurat wtedy, gdy po drugiej stronie ulicy Dudley pukał do drzwi, zaczął sypać oczekiwany śnieg. Białe

płatki popsuły widoczność, niemniej Vincent dostrzegł powiewającą spódnicę, co znaczyło, że drzwi otworzyła kobieta. A więc Ascota może nie być w domu. Podobno wypłynął na jednym z frachtowców w pierwszym tygodniu września i mniej więcej po trzech miesiącach miał wrócić do Anglii. Jego nieobecność upraszczała akt zemsty. Gdy wróci, okaże się, że wielu dotychczasowych dostawców odmówiło udzielenia mu kredytu i że stracił swój dom, nie mogąc wypłacić żądanych pieniędzy.

Vincent nie podjął jeszcze decyzji, czy kontynuować kampanię po dzisiejszym wieczorze, czy też czekać na powrót Ascota. Dzisiejsza eksmisja była decydującym uderzeniem, kulminacją trwających wiele tygodni przygotowań, tyle że mało satysfakcjonującą, skoro odbywała się pod nieobecność Ascota, bez jego wiedzy.

W tej chwili cała ta zemsta napawała Vincenta niesmakiem. Nie palił się do niej, nie robił tego nigdy w przeszłości, i prawdopodobnie więcej czegoś takiego nie powtórzy. Nie, po prostu czuł, że tym razem musi to zrobić. A zatem trzeba to jak najszybciej załatwić i zamknąć sprawę. Ale Ascot nie wyświadczył mu przysługi, przebywając poza krajem dłużej, niż przewidywał. Do tego czasu powinien już wrócić. Vincent liczył na to. Czekanie nie było czymś, co dobrze znosił. Czekanie zaś w powozie, na chłodzie, gdy jego obecność była zbyteczna, a on nadal nie był pewny, dlaczego tu siedzi, zaczynało go złościć, tym bardziej że Dudley tak strasznie marudził z przekazaniem tego

wypowiedzenia. Jak długo, do pioruna, można wręczać kawałek papieru!

Wreszcie po drugiej stronie ulicy zamknęły się drzwi. Ale sekretarz Vincenta stał tam nadal, twarzą w ich stronę, nieruchomy.

Wypełnił swoje zadanie czy też drzwi zamknęły się przed nim, zanim zdążył to zrobić? Co też, do diabła, tam robi, stercząc beczynnie na śniegu?

Vincent był już nawet skłonny wysiąść z powozu i sprawdzić, o co chodzi, gdy Dudley wreszcie się odwrócił i ruszył w jego kierunku. Bardziej z niecierpliwości niż z chęci oszczędzenia Dudleyowi dłuższego przebywania na mrozie Vincent otworzył przed nim drzwi powozu. Ale gdy Dudley doszedł, nie pospieszył do środka, w ogóle nie wsiadł do powozu, tylko stał wciąż na śniegu, jakby mu rozum odebrało.

Wkońcu, nim Vincent zdążył zapytać, co jest przyczyną tak dziwnego zachowania, Dudley oświadczył:

- Jeszcze nigdy w życiu nie postąpiłem tak nikczemnie, panie, nigdy też więcej nie uczynię niczego podobnego. Odchodzę.

Patrząc na niego, Vincent uniósł pytająco brwi.

- Odchodzisz, bo...?

- Jutro rano złożę na pańskim biurku oficjalną rezygnację.

Vincent delektował się przez chwilę smakiem osłupienia. Nieczęsto się zdarzało, żeby go coś aż tak zaskoczyło. Ale po chwili wróciło poprzednie zniecierpliwienie.

- Niech pan wsiada do tego cholernego powozu, Dudley. Wytlumaczy się pan, ale nie musi pan stać na tym przeklętym śniegu.

- Nie, panie - odparł sztywno Dudley. – Postaram się na własną rękę dostać do domu, uprzejmie panu dziękuję.

- To nonsens! O tej porze nie znajdzie pan żadnej dorożki.

- A jednak spróbuję.

To mówiąc, sekretarz zamknął drzwiczki pojazdu i ruszył ulicą.

W innej sytuacji Vincent wzruszyłby ramionami i przestał się nim zajmować, był jednak zniecierpliwiony, a to już graniczyło ze stanem emocjonalnym.

Zanim się spostrzegł, wysiadł z powozu i podążył za Dudleyem, rzucając mu pytanie:

- Co, u licha, zaszło w tamtym domu, że aż postradał pan zmysły?

Horacy Dudley odwrócił się błyskawicznie. Twarz miał bardziej zaczerwienioną z powodu silnego przeżycia niż poblądłą z zimna.

- Gdybym miał dłużej rozmawiać z panem sir, obawiam się, że okazałbym się godnym pożałowania niewdzięcznikiem. Proszę zatem przyjąć moją rezygnację i oszczędzić m i...

- Jeszcze czego! Pracujesz dla mnie od ośmiu lat. Nie zrezygnujesz chyba z powodu jakiejś błahej sprawy...

- Błahej? - wybuchnął ten nieduży wzrostem mężczyzna. - Gdyby pan tylko widział rozpacz na twarzy

tej biednej dziewczyny, miałby pan tak samo rozdarte serce jak ja. A jaka to śliczna dziewczyna! Jej twarz będzie mnie prześladować do końca życia.

Po tych słowach i najwyraźniej wierząc w to, co mówi, Dudley pognał znowu ulicą, odmawiając dalszej rozmowy. Tym razem Vincent pozwolił mu odejść, rzucając gniewne spojrzenie na tamten dom.

Teraz nieruchomości należała do niego. Ileż się natrudził, żeby wymusić na poprzednim właścicielu odstąpienie od słownego zobowiązania, którym był związany z George'em Ascotem, i odsprzedanie mu własności hipotecznej. Ascot zawarł z poprzednim właścicielem dżentelmeńską umowę, płacił mu wcale pokaźne raty za ten dom i miał spłacić całość w ciągu kilku lat. Ponieważ pożyczka nie została dokońca spłacona, Ascot nie mógł jeszcze wejść w posiadanie własności hipotecznej.

Vincent odkupił ją i zażądał na piśmie, by Ascot natychmiast spłacił całość. Doskonale wiedział, że Ascota nie ma w kraju i że nie otrzyma pisma ani też nie zdoła pożyczyć pieniędzy, że w ten sposób straci dom i wszystko, co weń zainwestował - o czym przekona się dopiero po powrocie, kiedy już będzie za późno, żeby cokolwiek ratować.

Był to dobrze wymierzony cios zarówno w finanse Ascota, jak i w jego reputację. Po eksmisji kredytodawcy nie będą już tak ochoczo udzielać mu pożyczek. Mimo wszystko Vincent nie spodziewał się, że z powodu tak błahej sprawy może stracić swojego cennego sekretarza.

A co to za śliczna dziewczyna? Pewnie córka. Żadna inna kobieta w tym domu nie przejęłaby się do tego stopnia eksmisją, żeby robić "zrozpaczoną" minę, poza tym Ascot miał tylko jedną kobietę w rodzinie, córkę, która właśnie osiągnęła odpowiedni wiek do zamążpójścia. Żona umarła mu przed laty. Był jeszcze tylko nieletni syn.

Vincent przyłapał się na tym, że zmierza w stronę drzwi tego domu, przez zwykłą ciekawość, jak zapewnił samego siebie. Ale po zapukaniu i odczekaniu kilku długich chwil na sypiącym wciąż śniegu, gromadzącym się na ramionach jego palta, doszedł do wniosku, iż ciekawość to ze wszech miar głupia sprawa i że jego własna nie potrzebuje zaspokojenia.

Odwrócił się, żeby odejść. Nagle drzwi się otworzyły. Śliczna? Na widok dziewczyny, stojącej w poświacie padającego z tyłu łagodnego światła, zaparło mu dech. A więc to ją wyrzucił na zasypane śniegiem ulice? Tę cudownie piękną, zagubioną istotę?

A niech to wszyscy diabli!

Rozdział 2

Larissa Ascot stała w otwartych drzwiach, wpatrując się w masywną postać przed sobą, ale tak naprawdę niczego nie widząc. Śnieg sypał jej w twarz, jednak nie zauważała tego, ani nawet nie czuła zimna.

O, to już za wiele! Wszystko naraz, za dużo jak na jedną osobę, gdy zważyć, co ją spotykało w ciągu ostatnich paru tygodni.

Zarówno rzeźnik, jak piekarz - obaj odmówili jej udzielania dalszego kredytu do czasu uregulowania zaległych rachunków. Jej brat Thomas, wciąż chory i wymagający stałej lekarskiej opieki. Bankier ojca, przepraszaający, ale stanowczo i cierpliwie wyjaśniający, dlaczego nie ma prawa korzystać z ojcowskiego kapitału bez jego zezwolenia. Topniejące w oczach pieniądze na prowadzenie domu, których było przecież wiele i które, w razie czego, powinny były wystarczyć na rok, gdyby nie konieczność rozliczania się z dokuczliwymi kupcami, nachodzącymi dom i żądającymi natychmiastowej spłaty zaległych długów, a także konieczność płacenia gotówką za wszystko, by cokolwiek podać na stół.

Musiąca też odprawić większość służby, i już sam ten fakt dosłownie przyprawiał ją o ból żołądka. Przecież

wielu z nich od lat pozostawało w rodzinie, przeprowadziło się razem z nimi z Portsmouth do Londynu przed trzema laty, gdy ojciec rozwinął interes i przeniósł się tutaj. Dla nich utrata pracy w okresie świąt była czymś strasznym, i zwalnianie tych ludzi było dla niej ciężkim przeżyciem. W tym miesiącu nie miała im z czego zapłacić, a ponieważ powrót ojca przedłużał się już o miesiąc, nie mogła ich nawet zapewnić, że gdy wróci do domu, rozliczy się z nimi.

A teraz ta... ta eksmisja. Nieoczekiwana, bez żadnego uprzedzenia. Ten drobny mężczyzna powiedział tylko, że nowy właściciel wysłał oficjalne wypowiedzenie pocztą i że termin wyprowadzki był dostatecznie długi, ale przecież ona nie czyta korespondencji ojca, skąd więc miałyby o tym wiedzieć? Nowy właściciel? Jak to możliwe, żeby pan Adams, od którego kupili dom, mógł go odsprzedać, zrobić coś takiego za ich plecami? Tym bardziej że, aby dom mógł przejść na ich własność, do spłacenia pozostało już tylko parę tysięcy funtów.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak się dzieje - dlaczego ci wszyscy kupcy, z którymi od lat prowadzą interesy, nagle przestali ufać jej rodzinie i pod koniec roku wycofują się z transakcji, dlaczego stracili swój dom. Jeden dzień na wyprowadzkę. Mają go zwolnić w ciągu jutrzejszego dnia, spakować wszystko i się wynieść. W jaki sposób? Nie miała nawet pieniędzy na wynajęcie wozów, żeby to wszystko załadować i wywieźć. A poza tym dokąd? Stary dom w Portsmouth został sprzedany. Nie mieli żadnych krewnych. Ich rodzinny majątek w

poblizu Kent był tylko nienadającą się do zamieszkania nieruchomością, a poza tym lekarz ostrzegał, że jeśli Thomas nie pozostanie w łóżku, w suchym i ciepłym pomieszczeniu, nie wróci do zdrowia, a jego stan może się tylko znacznie pogorszyć.

- Czy pani dobrze się czuje, panienko?

Powoli stojąca przed nią postać przybrała bardziej realny kształt: wysoki mężczyzna w zimowym palcie, pod którym trudno się było domyślić figury - chudy czy gruby, a poza tym jakie to miało znaczenie! Larissa próbowała się jedynie skoncentrować na czymś, co mogłoby ją wyrwać ze stanu odrętwienia i przywrócić jasność umysłu. Ten ktoś wyglądał na przystojnego, choć tak naprawdę trudno było cokolwiek dostrzec, skoro jego policzki i długi nos były pokryte śniegiem. Nie za młody, być może około trzydziestki...

- Panienko?

O co ją pytał? Aha, czy dobrze się czuje? Gdyby zaczęła się histerycznie śmiać, czy miałby wówczas jakieś wątpliwości?

- Nie, sądzę, że nie - odparła szczerze, chociaż zdawała sobie sprawę, że przecież nie otworzyła drzwi w celu podtrzymywania konwersacji, na którą nie miała ochoty. Dodała więc szybko: - Jeżeli przybył pan tutaj, żeby widzieć się z moim ojcem, to nie ma go w domu.

- Wiem o tym. - Widząc, jak marszczy brwi, ciągnął:

- Nazywam się Vincent Everett, baron Everett of Windsmoor.

- Baron... Pan jest tym nowym właścicielem?

Nie do wiary. Trzeba mieć tupet, żeby się tu pokazywać po tym druzgoczącym ciosie, jaki jej zadał. Jeszcze mu mało? Czy musi napawać się jej widokiem, czy też przyszedł upewnić się, że stanie się zadość jego żądaniu i że oszczędzą mu chodzenia do magistratu i usuwania ich siłą? Co i tak nieuchronnie nastąpi.

Przecież nie ma mowy, żeby w ciągu jednego dnia wyniosła z domu wszystko, co posiadają, nawet gdyby miała dokąd się przeprowadzić.

Ostatecznie meble można by złożyć w biurze ojca, w porcie. Ona i Thomas mogliby tam nawet przez jakiś czas sypiać – gdyby jej brat nie był taki chory. Ale przecież nawet w lecie jest tam chłodno i wietrzno. Narażenie Thomasa na idące od Tamizy zimno było nie do pomyślenia. Jaki więc miała wybór? Nie było pieniędzy na wynajęcie czegokolwiek, nie było też pieniędzy na jedzenie. Odwlekała sprzedaż osobistego majątku, licząc na rychły powrót ojca i uregulowanie przez niego wszystkich zaległości. Ale zbyt długo z tym czekała. Teraz było za późno...

Instykt jej podpowiadał, żeby zamknąć drzwi przed baronem. Może sobie być nowym właścicielem, ale na razie dom należy do niej jeszcze przez jeden dzień. Ale on, jak dotąd, nie podał jeszcze powodu swojej wizyty. Jednak z faktu, że jej świat sypał się w gruzy, nie wynikało jeszcze, że ma zapomnieć o podstawowych zasadach dobrego wychowania. Da mu zatem pięć sekund na wyłuszczenie sprawy, po czym zamknie przed nim drzwi.

- Pan w jakiej sprawie, lordzie Everett?

- Mój sekretarz - tu zająknął się - zrobił na mnie wrażenie wytrąconego z równowagi.

- Mężczyzna, który był przed panem?

- Tak. A z tego, co powiedział, zaczynam wnioskować, że... mogło zajść nieporozumienie.

- Nieporozumienie? Otrzymałam pismo z nakazem eksmisji. Jest wystarczająco zrozumiałe, powiedziałabym, że aż nadto, a gdyby nawet było inaczej, pański sekretarz odczytał je na głos, a zatem nie może być mowy o nieporozumieniu.

Usłyszała gorycz w swoim głosie, zatrwożyło ją takie odsłanianie się przed kimś zupełnie obcym, ale nie panowała nad przytłaczającymi ją emocjami. Zresztą lepsza jest odrobina złości niż łzy. Na łzy przyjdzie pora, już by się pojawiły, gdyby nie oszołomienie spowodowane tym ostatnim i najsilniejszym wstrząsem, i jest nadzieja, że je powstrzyma do czasu, gdy już zostanie sama.

- Nie powiedziałem "pomyłka", panienko - poprawił ją. - Miałem na myśli coś, czego nie da się wyjaśnić pod nieobecność pani ojca. Potrzebny mi więc będzie adres, pod którym po przeprowadzce będę się mógł z panią skontaktować.

Odeszła ją chęć walki, opuściła ramiona. Że też mogła pomyśleć, choćby przez krótką chwilę, że to "nieporozumienie" może oznaczać, iż nie stracą domu!

- Nie mam adresu, który bym mogła podać – odpowiedziała, prawie szeptem. - Naprawdę, nie mam pojęcia, gdzie będziemy pojutrze.

- Och, nie przyjmuję takiej odpowiedzi – odpowiedział z pewną dozą zniecierpliwienia w głosie. Po czym sięgnął do kieszeni palta i wręczył jej wizytówkę. - Może się pani zatrzymać pod tym adresem, dopóki pani ojciec nie postara się o coś innego. Rano przyślę powóz, który ułatwi pani przeprowadzkę.

- Czy nie moglibyśmy po prostu... zostać tutaj... do czasu załatwienia sprawy, o której pan wspomniał?

Bez chwili wahania, zwięźle i z naciskiem odparł:

- Nie.

Wypowiedzenie ostatniego pytania wiele ją kosztowało. Proszenie, błaganie, tak jak teraz, o cokolwiek, a zwłaszcza kogoś obcego, było tak bardzo niezgodne z jej naturą. Lecz skoro zamierzał udostępnić jej mieszkanie, o czym świadczyła wizytówka, dlaczego nie miałby udostępnić tego, w którym obecnie mieszkają? Takim torem biegła jej zrozpaczona myśl. Ale, oczywiście, była to myśl idiotyczna.

A jego "nie" było natychmiastową reakcją, po której odszedł w swoją stronę ; ciemna sylwetka, oddalająca się szybko i znikająca wśród wirujących płatków śniegu.

Upłynęła dobra chwila, zanim Larissa pomyślała, że trzeba zamknąć drzwi, co też uczyniła. Zdobyła się jeszcze na wysiłek, by wejść na górę i zajrzeć do Thomasa. Chłopiec spał niespokojnym snem, a gorączka, która go nawiedzała co wieczór, wciąż się utrzymywała.

Przy łóżku spała Mara w przysuniętym obok fotelu. Mara Sims była nianią Thomasa, a także Larissy. W istocie była z nimi od niepamiętnych czasów. Nie zgodziła się odejść: nie opuści ich przecież tylko dlatego, że wypłata jej pensji trochę się opóźnia. Również jej siostra Mary postanowiła przy nich zostać.

Zwykle Mary zarządzała ich domem, ale odkąd kucharka wróciła do Portsmouth, Mary przyznała, że woli zajmować się kuchnią, wybrała więc niższą pozycję w domowej hierarchii, żeby robić to, co lubi najbardziej. Wyniosła gospodyni, która przyszła na jej miejsce, jako pierwsza zgłosiła się do opuszczenia ich domu, kiedy na progu zaczęli pojawiać się wierzyciele. Zadziwiające, jak szybko wiadomość o ich kłopotach finansowych rozeszła się po okolicy.

A więc będą mieć dach nad głową... Myśl o nowym miejscu zamieszkania powinna przynieść Larissie pewną ulgę; spadało jej z głowy największe strapienie, przynajmniej na jakiś czas. Ale gdy weszła do swojego pokoju i przystąpiła do żalosnej czynności pakowania osobistych rzeczy, zupełnie nie czuła ulgi ani pociechy, która mogłaby choć trochę jej pomóc.

Nie czuła też wdzięczności wobec barona. Zaproponowana przez niego zmiana mieszkania zapewne go zadowalała. Okazana pomoc nie odpowiadała tradycyjnemu znaczeniu tego słowa, to on bowiem chciał znajdować się w ich pobliżu, dla własnych celów, jakiegokolwiek one były. Nagle się okazało, że

„nieporozumienie” nie jest aż tak drastyczne, żeby odmienić ich obecną sytuację.

Była tym wszystkim jeszcze tak bardzo ogłuszona, że niewiele do niej docierało. I bardzo dobrze. Przynajmniej nie przepłacze całej długiej nocy, gdy będzie się pakować. I rzeczywiście, powstrzymała się od łez aż do wczesnych godzin porannych, kiedy to poszła spać, mając łzy na policzkach.

Rozdział 3

Vincent stał przed kominkiem w swojej sypialni. Z kieliszkiem brandy ogrzewającej się w ręku. Niczym zahipnotyzowany, wpatrywał się w tańczące płomienie, nie widząc na dobrą sprawę samego ognia. Miał przed oczami atrakcyjną, prowokującą twarz, okoloną połyskującymi złotymi lokami, o oczach, które nie były ani zielone, ani niebieskie, lecz tworzyły delikatne połączenie obu tych barw, o niepowtarzalnym turkusowym odcieniu, jakiego nigdy dotąd nie widział.

Nie powinien był nigdy ujrzeć Larissy Ascot. Nie powinien był nigdy zbliżyć się do niej. Powinna pozostać jedynie nieznaną „córką Ascota”, pośrednią ofiarą jego prywatnej wojny. Ale zobaczył ją, a decyzja o uwiedzeniu dziewczyny wydawała się najłatwiejszą decyzją w kampanii prowadzonej przeciwko Ascotom. Zbrukanie jej w celu uniemożliwienia małżeństwa to kolejny cios wymierzony w dobre imię rodziny. Taki był jego zamiar, gdy wręczał jej wizytówkę. Wszakże, po zastanowieniu, wiedział że to był tylko pretekst, a do tego jakże marny.

Dawne to czasy, gdy naprawdę chciał czegoś dla siebie. Ale teraz chciał jej. Motyw zemsty w pełni usprawiedliwiał tę chęć posiadania, uciszał jego sumienie

- gdyby je miał. Co do tego drażyły Vincenta poważne wątpliwości. Brak emocji w jego życiu obejmował także poczucie winy, trudno więc było o jednoznaczną odpowiedź.

Nazajutrz znalazł się w wejściowym holu, żeby ją powitać, kiedy przybyła do jego domu. Nie kryła zdumienia.

- Sądziłam, że adres, który dostałam od pana, będzie dotyczył innej pańskiej nieruchomości, którą pan wynajmuje, a która obecnie stoi pusta. Gdybym wiedziała, że ofiarowuje mi pan gościnę we własnym domu, musiałabym...

- Odmówić? - dodał z zainteresowaniem, gdy nie zdobyła się na dokończenie zdania. - Czy tak?

Splonęła rumieńcem.

- Chciałabym móc to zrobić.

- Rozumiem. - Uśmiechnął się do niej. - Ale nie zawsze możemy postępować tak, jak byśmy chcieli.

W rzeczy samej, w przeciwnym bowiem razie wziąłby ją i zaniósł prosto do swojego łóżka. Była nawet piękniejsza, niż ją zapamiętał, a może działa się tak tylko za sprawą jasnego dziennego światła w holu, które wydobywało całą jej doskonałość.

Drobna, wąska w talii, ubrana ładnie w obramowany futrem płaszcz, nałożony na fiołkoworóżowe aksamitne spódnice. Nieskazitelna skóra twarzy, z wyjątkiem niedużego pieprzyka z boku podbródka. Małeńkie płatki uszu ozdobione kolczykami

z pereł w kształcie łyż. Była w każdym calu damą, nie mającą jedynie tytułu, który by o tym zaświadczał.

Ascotowie nie byli biedni, możliwe, że nadal wiodło im się dobrze. Należeli do szlachty. Wśród ich przodków był nawet jakiś earl. Pod względem społecznym mogli być mile widziani w dobrym towarzystwie, pomimo że George zajął się handlem.

Albert próbował zrobić to samo...

Jedynym powodem, dla którego Vincentowi tak łatwo udało się zniszczyć dobre imię firmy Ascota, była jego nieobecność w kraju w chwili, gdy mógłby położyć kres pomówieniom i plotkom na temat jego rzekomych poważnych finansowych kłopotów. Przedłużająca się nieobecność kupca wywołała panikę wśród jego wierzycieli.

Nie przyszła sama. Towarzyszyły jej dwie kobiety, obie blisko sześćdziesiątki i prawie identyczne z wyglądu, a także sterta pledów, które jego woźnica wniósł za nimi.

- Nie brakuje nam w domu pościeli - uznał za stosowne zaznaczyć Vincent.

Obecność w tym miejscu sprawiała, że Larissa nadal płonęła rumieńcem. Zmuszona do udzielania wyjaśnienia, jeszcze mocniej się zaczerwieniła:

- To mój brat, Thomas. Jest bardzo przeziębiony. Chciał przyjść pieszo, ale choroba nadwreżyła jego siły.

Pledy poruszyły się lekko. Chory syn? Dlaczego nikt o tym nie wspominał w raportach na temat rodziny? Na moment, ale tylko na moment, poczuł coś w rodzaju

wyrzutu sumienia. Kiwnął głową na swoją gospodynię, która została powiadomiona o mających pojawić się gościach. Z kolei ona kiwnęła na woźnicę, który udał się za nią. To samo zrobiły dwie starsze służące.

Zostali sami w tym przestronnym wejściowym holu. Vincent nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować. Przyzwyczał się traktować kobiety bezceremonialnie. Zarówno jego tytuł, jak i majątek sprawiały, że większość domów stała przed nim otworem, a na ewentualne "nie" wzruszał tylko ramionami. Nigdy też nie musiał się uciekać do planowego uwodzenia. A te nieliczne spotkania ukartowane przez kobiety z jakichś niezrozumiałych dla niego powodów przewidywały w programie jedzenie, tak jakby panie z góry zakładały, że samotny mężczyzna musi umierać z głodu, podczas gdy każdy mężczyzna z jego pozycją powinien mieć pośród personelu doskonałego kucharza, którego zresztą zatrudniał.

A jednak myśl o jedzeniu pojawiła się w porę:

- Mamy porę lunchu. Zaraz podadzą - mruknął.

- O nie, dziękuję, lordzie Everett, nie chciałabym się narzucać - odparła Larissa.

- Narzucać?

- Pańskiej rodzinie.

- Ja nie mam rodziny. Mieszkam tu sam.

Było to zwyczajne stwierdzenie faktu, wypowiedziane bez zamiaru wywołania współczucia. A jednak nieomylnie odebrał jego przeblýsk na jej twarzy,

zanim zdążyła zebrać myśli i przypomnieć sobie, że znajduje się - w pewnym sensie - w obozie wroga.

Postawa dziewczyny była zrozumiała. Nie rozplýwała się w wyrazach wdzięczności za udzieloną sobie pomoc, wręcz przeciwnie. Sztywność i rezerwa Larissy mówiły same za siebie.

Nie ulegało wątpliwości, że postrzega go jako wroga, bez względu na to, czy jest tego świadoma, czy też nie. Wyrzucił ją z jej domu. Już sam ten fakt mógł budzić niechęć, a nawet nienawiść. I właśnie z tego powodu ten przebłysk współczucia wydał mu się taki interesujący. Musi mieć z gruntu litościwą naturę, żeby odczuwać współczucie - trwające co prawda ułamek sekundy - do kogoś, kim najprawdopodobniej w tej chwili gardzi.

Posłużyła się błahym pretekstem, odmawiając zjedzenia z nim lunchu, nie wziął więc tego pod uwagę, nie zamierzał jej też dawać kolejnej okazji do wymówienia się od prostego posiłku, zwłaszcza że była to doskonała okazja dla obojga, by lepiej się poznać. Ujął jej ramię i poprowadził do jadalni, a posadziwszy za stołem, odsunął się, żeby dziewczyny nie krępować. Zauważył jej nerwowość, a także onieśmielenie, a raczej niechęć, by patrzeć wprost na niego, ku czemu, według niego, mogła mieć tylko jeden powód...

Czyżby, pomimo urazy, jaką z pewnością żywiła do niego, czuła także pewną sympatię?

Nie było w tym nic zaskakującego. Kobiety, młode i starsze, pociągał nie tylko jego wygląd, stanowił też dla nich wyzwanie. Chciały skruszyć jego skorupę. Nie

przychodziło im do głowy, że czynią to na próżno, ponieważ nie było pod nią nic, co mógłby im ofiarować.

Gdy chodzi o Larisę, powinien wykorzystać jej zainteresowanie swoją osobą i zmienić obecną niechęć dziewczyny. Jak również obrócić na swoją korzyść współczucie, jakie mu okazała. Uważał, że każdy chwyt jest dozwolony. Okaze się bezwzględny, jeśli będzie trzeba. Kto wie, może brak uczuć i sumienia tym razem się opłaci!

Zajął miejsce naprzeciwko niej i skinął na oczekującą służbę, że można zacząć posiłek. Dopiero pod koniec pierwszego dania zauważyła, że wpatruje się w nią namiętnie. Natychmiast się zaczerwieniła.

A on nie spuścił wzroku.

Mówiono mu, przy licznych okazjach i na różne sposoby, że jego oczy odzwierciedlają jego uczucia. Co było o tyle zabawne, że takie okazje zdarzały się najczęściej w przerwach między seksualnymi igraszkami, jego uczucia zaś mogły być co najwyżej letnie. To raczej kolor jego oczu, jak sądził, nadawał im pozornie bardziej namiętny wygląd, niż było w istocie. Płynne, ciepłe złoto, demoniczne, przewrotne - oto co słyszał i co obojętnie przyjmował do wiadomości. Jego oczy miały jedynie nieznaczny odcień brązu z kilkoma złotymi plamkami, nic nadzwyczajnego w jego mniemaniu. A obcowanie z nimi na co dzień przez dwadzieścia dziewięć lat czyniło je dla niego zupełnie zwyczajnymi.

Ale skoro Larissa dopatrzyła się w nich gorącego pożądania, podczas gdy on tylko podziwiał jej urodę w

trakcie przystawki - no cóż, tym lepiej dla niego. O wiele bardziej mu odpowiadało, żeby ona, w swojej naiwności, nie orientowała się, iż ją zwyczajnie uwodzi. I tak przed tym nie ucieknie, nie ukryje się, skoro nie ma gdzie się skryć. Musi tylko tak postępować, żeby ją utwierdzić, iż wybór należy do niej, a o to już zadba w odpowiednim czasie. Nie cała godzina po jej przybyciu tutaj to stanowczo za wcześnie.

A jednak nie przestawał się w nią wpatrywać. Wiedział, że nie powinien. Ale po prostu nie mógł. Wprost nie do wiary, że Ascotowi udało się ukryć tę swoją prześliczną córkę przed światem, zatrzymać ją w pieleszach domowych! Mieszkali już trzeci rok w Londynie. Jakaś godna uwagi osoba powinna ją była już odkryć, zwłaszcza że rodzina mieszkała w jednej z lepszych dzielnic, gdzie nie brakowało utytułowanych nazwisk. A jednak z nikim jej nie zaręczono, nikt też nie zabiegał o jej względy, a nazwisko Ascot nie padło nigdy wśród rozplotkowanego towarzystwa. Właśnie teraz, w okresie świąt Bożego Narodzenia, powinna zostać zaprezentowana socjocie - gdyby jej ojciec przebywał w mieście i „ją wprowadził”.

Postanowił ją o to zapytać.

- Jak to się stało, że jest pani nieznana w tutejszym środowisku?

- Być może dlatego, że nie starałam się oto, żeby mnie poznano - odpowiedziała, lekko wruszając ramieniem.

- Dlaczego?

- Byłam przeciwna przeprowadzce do Londynu. Wychowałam się w Portsmouth, gdzie czułam się w pełni szczęśliwa. Nienawidziłam ojca za to, że sprowadził nas do Londynu. Więc przez pierwszy rok pobytu tutaj zachowywałam się jak głupie dziecko, robiłam wszystko, co mogłam, żeby tylko ojciec żałował swojej decyzji. Byłam nieznośnym bachorem. Przez następny rok starałam mu się to wynagrodzić, robiłam więc wszystko, żeby nasz dom stał się prawdziwym domem. A zatem w programie nie był o miejsca na spotkania z sąsiadami, nie było też... Na Boga, dlaczego ja właściwie opowiadam panu to wszystko?

Vincent wybuchnął śmiechem, zastanawiając się nad tym samym.

Jakże była zaskoczona swoim zachowaniem! Najbardziej rozbawił go fakt, iż do tego stopnia wytracił ją z równowagi, że zapomniała o obowiązującym protokole.

- Można to uznać za nerwowe wyrzucanie słów – przyszedł jej z pomocą, nie przestając się uśmiechać.

- Nie jestem nerwowa - zaprotestowała, ale gdy to mówiła, spuściła wzrok, nadal wstydliwie unikając jego bezceremonialnych spojrzeń, których on nie zamierzał zaniechać.

- Zdenerwowanie jest czymś zupełnie normalnym. Przecież jeszcze nie zdążyliśmy się dobrze poznać. Na dobrą znajomość składa się wiele rzeczy, ona zaś najwyraźniej wzdragała się przed wszystkimi na raz.

- I nigdy do tego nie dojdzie - zareplikowała energicznie, po czym zdobyła się na odwagę i dodała: - Wiem, dlaczego tu jestem.

- Czyżby? - zainteresował się.

- Oczywiście. To był jedyny sposób, żeby sobie zapewnić spotkanie z moim ojcem po jego powrocie i wyjaśnić to wasze tajemnicze nieporozumienie, którego nie chce mi pan wytłumaczyć.

Było to niedwuznaczne przypomnienie, że nie jest z nią szczerą, co z kolei on jednoznacznie zignorował, nie zamierzając przed nią odkrywać prawdziwych motywów swojego postępowania.

W końcu przecież zemsta działa skuteczniej, gdy spada niespodziewanie. Chciał jednak wiedzieć, jaką ma nad nią obecnie przewagę, jako że była w tej chwili najlepszym kąskiem w tym całym układzie.

Poczynił pewne założenia, gdy oznajmiła, że nie wie, dokąd mogłaby się przeprowadzić z rodziną. Wyobraził ją sobie jako osobę pozbawioną środków do życia, zmuszoną błąkać się po ulicach. Ale te perełki, które nosiła w uszach, świadczyły, że jest inaczej. Jemu zaś zależało, żeby nie miała żadnego oparcia, żeby była zmuszona pozostać tam, gdzie jest. Najgorsze, co mogłoby się zdarzyć, to gdyby zorientowała się, że wszystkie jego wysiłki zmierzają tylko ku temu, aby ją zaciągnąć do łóżka, wówczas bowiem zerwałaby się na równe nogi i opuściła jego dom.

Powinien zmienić taktykę - z szybkiej, docelowej kampanii na długą i żmudną, w czasie której będzie

musiał uważać na każde wypowiedziane do niej słowo. A przecież czas odgrywał główną rolę, ponieważ jej ojciec mógł wrócić lada chwila, by ratować córkę od zguby.

Na szczęście uzyskanie informacji o tym, czy jest pozbawiona środków do życia, a przynajmniej utwierdzenie jej w takim przekonaniu, nie było niczym trudnym, i w tym celu zapytał:

- Jeżeli ma pani jakąś cenną biżuterię, może ją pani, na czas pobytu tutaj, zamknąć w moim sejfie. Służba jest godna zaufania a, przynajmniej większość ich, są tylko dwie nowe pokojówki, o których uczciwości nie mieliśmy jeszcze okazji się przekonać.

- W istocie, mam kilka cennych sztuk po matce. Traktuję ich sprzedaż jako ostateczność. Ale mam jeszcze obrazy, których powinnam była się pozbyć. Zbyt długo z tym zwlekałam, licząc wciąż na rychły powrót ojca. A zatem jutro wydam odpowiednie dyspozycje odnośnie do ich sprzedaży.

- Nonsens. Nie musi pani teraz wyprzedawać swojego dobytku. Może pani czekać na powrót ojca tutaj. Nie wątpię, że kiedy wróci, wszystko się wyjaśni.

- Ja również nie wątpię, ale nie chcę zostawać bez jakichkolwiek pieniędzy, a resztki z naszych zapasów wydałam na leczenie Thomasa.

- Jak już mówiliśmy, pani meble zostały złożone w bezpiecznym miejscu. Powtarzam: nie ma powodu, żeby się pani czegokolwiek pozbywała. Mój domowy lekarz złoży nam w tym tygodniu wizytę, żeby przebadać służbę - zadbałem, żeby robił to co roku o tej właśnie

porze - proszę się więc nie krępować i, kiedy tu będzie, skorzystać z jego usług, gdy chodzi o brata. Ale jak to możliwe, że znalazła się pani w takiej sytuacji, kompletnie bez pieniędzy? Czy George Ascot jest tak nierozważny, by...

- Oczywiście, że nie! - przerwała oburzona. - Ale nasi kredytodawcy dali wiarę śmiechu wartej plotce, jakobyśmy byli niewypłacalni, i zażądali, żebym się z nimi rozliczyła. I żeby to chociaż tylko jeden, ale nie, wszyscy oni zjawili się u moich drzwi. Nie chcieli uwierzyć, że ojciec wkrótce wróci do domu.

Aby ich zadowolić, byłam zmuszona wyczerpać cały kapitał przeznaczony na prowadzenie domu. A potem Thomas przeziębził się strasznie, było z nim gorzej i gorzej, aż zaczęłam się bać...

Urwała, przytłoczona emocją. O dziwo, Vincent złapał się na tym, że chce ją objąć i pocieszyć. Wielki Boże, co za absurdalny pomysł - jak na niego. Przede wszystkim musi zachować dystans. Osiągnął już wiele, zachęcając ją do zwierzeń. Nie może tego zaprzepaścić jakąś głupią, nagłą potrzebą ulżenia jej i przyjscia z pomocą, będąc głównym sprawcą jej zmartwień i płynącej stąd skargi.

- A wtedy ja pogłębiłem jeszcze pani kłopoty - powiedział, wysilając się na przekonujące westchnienie. Pokiwała głową, zgadzając się z nim w pełni. Udało się jej opanować i nie patrzeć na niego. To nieważne. Przecież zrobił postęp. Otworzyła się przed nim, i to dość łatwo. A skoro okazała się tak bardzo wrażliwa na cały szereg

spraw, a jej uczuciami tak łatwo można było manipulować, wystarczy tylko wiedzieć, za które sznurki pociągać. Uczył się jej.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego kupił pan nasz dom ani jak pan to zrobił, skoro dom został uprzednio sprzedany nam - zauważyła.

- Prosta sprawa, panno Ascot. Wszedłem w posiadanie własności hipotecznej, kupując ją od właściciela. Tym się zajmuję - kupuję i sprzedaję, inwestuję, oferuję to, co jest najbardziej poszukiwane w danym czasie, by zgarnąć wielkie zyski. W grę może wchodzić określony styl architektury, dzieło sztuki, cokolwiek. Gdy dowiaduję się, że ktoś rozgląda się za czymś specjalnym, staram się mu to dostarczyć, o ile to leży w moich możliwościach i pokrywa się z moimi zainteresowaniami.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ma pan już kupca i dlatego ubiegł pan nas i podkupił nasz dom?

- Moje drogie dziecko, pański ojciec miał okazję spłacić pozostałą część należności i sfinalizować transakcję. Gdyby to zrobił własność hipoteczna należałaby do niego.

- Ale wtedy odsprzedałby pan dom za nic, nic by pan na tym nie zarobił.

- To prawda, i jest to ryzyko, z którym zawsze muszę się liczyć. Albo czerpię korzyści, i to znaczne, albo amortyzuję wydatek. Od czasu do czasu zdarza się nawet, że ponoszę stratę, nie będę jednak ukrywał, że

dzięki moim zabiegom udało mi się zgromadzić niezłą fortunę.

- To znaczy, że osobiście doszedł pan do majątku - podsumowała.

- To prawda.

- A zatem nie otrzymał pan wielkiego spadku, dziedzicząc tytuł? - zapytała.

Widać było jak na dłoni, że próbuje go zbić z tropu, a może nawet przyłapać na kłamstwie. Swoją drogą nie nadawałaby się do roli "detektywa".

Bawiły go te jej wysiłki. Nie zamierzał się z nią dzielić nawet najdrobniejszym szczegółem ze swojego życia. Prawdę mówiąc, gdyby wziąć pod uwagę wszystkie fakty z tego życia, byłby pierwszorzędnym kandydatem do najdalej posuniętego współczucia.

Nie żeby chciał kiedykolwiek się odsłaniać, ale jeśli ona dalej ma zamiar grać na współczuciu, nie zaszkodzi, jeśli zrobi z tego użytek.

- Mój tytuł wiąże się z rodzinną posiadłością w Lincolnshire, gdzie moja noga nigdy nie postanie, jako że wiążą się z tym dla mnie same najgorsze wspomnienia. Pozostała część rodzinnego majątku, jakkolwiek o dość średniej wartości, otrzymał mój faworyzowany młodszy brat, który już nie żyje.

Choć powiedział to, nie modulując tonu głosu, na jej czole natychmiast pojawiły się zmarszczki. Zaiste była nadmiernie współczującą osobą. I tę jej cechę wykorzystam na jej własną zgubę - pomyślał.

- Przepraszam, nie chciałam się wtrącać - powiedziała, czując się nieswojo.

- Ależ nie. Ciekawość leży w ludzkiej naturze.

- Ale uprzejmiej byłoby się od tego powstrzymać - nalegała, nie wiedząc, jak wybrnąć z kłopotu.

- Proszę się nie obwiniać, Larisso. Nikt tutaj nie wymaga od pani uprzejmości.

- Przeciwnie, uprzejmość obowiązuje zawsze i wszędzie - zaprotestowała.

Uśmiechnął się.

- Czy upomina pani siebie samą, czy też rzeczywiście pani w to wierzy? A zanim pani odpowie, proszę zwrócić uwagę na fakt, że właśnie odrzuciłem etykietę i zwróciłem się do pani po imieniu. Zachęcam do tego samego. Proszę też uwzględnić fakt, że ludzie mogą sobie pozwolić na krótkie chwile nieuprzejmości, jeśli są usprawiedliwione, zwłaszcza wśród bliskich znajomych.

Natychmiast, ze zwielokrotnioną siłą, na jej policzki powróciły rumieńce. Gdy zaoponowała, w tonie jej głosu brzmiała poprzednia stanowczość:

- Nie jesteśmy bliskimi znajomymi, a ja nie pozostanę tutaj na tyle długo, żeby coś miało się zmienić. Ze swojej strony postaram się jak najmniej narzucać w czasie mojego pobytu. A teraz, jeśli pan pozwoli, lordzie Everett, pójdę zajrzeć do brata.

Usiadł z powrotem z kieliszkiem wina w ręku, który obrócił w palcach, zanim je dopił. Zależało jej na poprawnych, oficjalnych stosunkach między nimi, wręcz na to nalegała. Ciekawe, co pozostanie z tej etykiety,

kiedy ją weźmie do łóżka i przygarnie do siebie jej nagie ciało. Miał nadzieję, że niewiele.

Rozdział 4

Thomas już oswoił się z nowym miejscem i pozwalał Marze karmić się łyżką. Nie lubił, gdy traktowano go jak dziecko. Wręcz nienawidził tego. Ale w najgorszym okresie choroby, kiedy nalegał, że będzie jadł sam, nigdy nie kończył posiłku, ponieważ był na to zwyczajnie za słaby. Przyłapawszy go na uporczywym kłamstwie, że nie jest głodny - był zbyt wycieńczony, żeby samemu dokończyć jedzenie - Larissa postanowiła z tym skończyć. Będzie karmiony - to była jedyna możliwość, jaka mu pozostawała do czasu całkowitego wyzdrowienia.

Pokój, w którym go położono, był znacznie większy od pokoju w ich domu. Podobnie jak łóżko. Wydawał się w nim taki mały. Ale przecież w ogóle był mały i drobny jak na swój wiek, a także chudszy i niższy od innych dziesięcioletnich chłopców.

Jednak ich ojciec, wysoki i postawny mężczyzna, zapewnił go, że wkrótce nadrobi te braki i że on sam wystrzelił do góry dopiero w wieku dwunastu lat.

Thomas może i nie dorównywał innym chłopcom pod względem wzrostu i wagi, za to przewyższał ich znacznie inteligencją. Gdyby tylko nie bywał czasami tak

bardzo uparty i nie miał skłonności do wybuchów gniewu, Larissa mogłaby przysiąc, że pod tą drobną powłoką kryje się w pełni dojrzały człowiek. Jego głębokie spostrzeżenia bywały często aż za dojrzałe. Tylko jego niespożyta energia, gdy nie był chory, dowodziła niezbitcie, że jest jeszcze dzieckiem.

W tej chwili był prawdziwie nieznośnym pacjentem, wiecznie narzekającym. Nie podobało mu się leżenie w łóżku, wściekał się na swoją słabość, która go nachodziła podczas napadów gorączki.

Kiedy zbliżyła się do łóżka, Thomas nie spojrzał na nią, krzywiąc się z powodu przeprowadzki, tak jakby mogła temu zapobiec. Ona także chciałaby sobie móc pozwolić na luksus grymasu, ale jedyne, na co ją było stać, to płacz.

Zadając mu pytanie, postarała się jednak o wesoły ton:

- Nie masz dreszczy po tej przejażdżce na chłodzie?

- Na chłodzie? Okutałaś mnie tyloma pledami, Lari, że się upiekłem.

- To dobrze, lepiej, żebyś się upiekł, niż dostał dreszczy.

Mara nieskutecznie próbowała ukryć uśmiech. Thomas popatrzył surowo na nie obie. Larissa cmoknęła.

Thomas nazywał ją Lari tylko wtedy, gdy był na nią zły, miał bowiem nadzieję, że ją tym zezłości, ponieważ brzmiało to jak męskie imię. Kiedy wszystko było w porządku i był w dobrym nastroju, nazywał ją Rissą, tak jak robił to ich ojciec.

- Dlaczego musieliśmy się tutaj sprowadzić? - po raz kolejny dał głośno wyraz swojemu niezadowoleniu. - Ten pokój jest jak hotel.

- A skąd ty wiesz, jak wygląda pokój w hotelu? - zareplikowała Larissa.

- Byłem w takim jeden raz, kiedy tatuś miał spotkanie z francuskim handlarzem win.

- Och, prawda, tak, ten dom jest znacznie większy od naszego i wydaje się bardzo... bezosobowy, jak zdążyłam zauważyć, rzeczywiście trochę przypomina hotel. Ale baron Windmoor nie ma rodziny, co, być może, tłumaczy ten fakt.

- Nie zostaniemy tu długo, prawda?

- Prawda - zapewniła go. - Gdy tylko tatuś wróci...

- Powtarzasz to od tygodni. No więc kiedy to nastąpi?

Trudno było zachować radosną twarz, gdy Thomas dopytywał się o to samo, o co ona pytała siebie - i nie znajdowała odpowiedzi. Miało go nie być przez dwa miesiące, to wszystko, z tolerancją jednego tygodnia, najwyżej dwóch, żeby sfinalizować sprawy związane z prowadzonym biznesem. Obiecał wrócić do domu z początkiem grudnia. Tymczasem od tego terminu minął już prawie miesiąc. Zła pogoda mogła opóźnić powrót, ale żeby aż o cztery tygodnie?

Nie, nie można się dłużej oszukiwać i nie dopuszczać myśli, że podczas podróży nie wydarzyło się coś bardzo niedobrego. Na morzu ciągle giną statki i nikt nie wie, co jest tego prawdziwą przyczyną. Mogli to być

również piraci, których wciąż było pełno na trasie, jaką uczęszczał jej ojciec, gotowi zacząć się na człowieka przewożącego cenny ładunek. Myślała już o tym i wyobrażała sobie nawet najgorsze - rozbity statek, osiadły na mieliźnie bezludnej wyspy, ojciec przymierający głodem...

Niepokój Larissy stał się tak intensywny, że zdawał się nie odstępować jej ani na chwilę. Tak strasznie pragnęła go z kimś podzielić, wypłakać na czyimś ramieniu, ale przecież nie mogła.

Musiała być silna ze względu na Thomasa, musiała go nadal zapewniać, że wszystko będzie dobrze, nawet jeżeli sama już w to nie wierzyła.

Z myślą o Thomasie powiedziała:

- Nawet najlepiej przygotowane plany czasami zawodzą, Tommy. Ojciec liczył na to, że zapewni sobie nowy punkt zbytu w New Providence, ale co z tego, jeśli się okazało, że tam nic nie ma? Wtedy musiałby popłynąć na dalej położoną wyspę, nieprawdaż? A gdyby i tam nic nie było?

- Po co miałby żeglować aż tak daleko, skoro mógł znaleźć nowy rynek bliżej domu?

Popatrzyła surowym wzrokiem na brata.

- Czy nie rozmawialiśmy już o tym wcześniej, i to wiele razy? Czyżbyś ostatnim razem nie słuchał tego, co mówię?

- Zawsze słucham, co mówisz - mruknął. - Ale nie zawsze mówisz z sensem.

Nie zrugala go za to. Przecież dobrze wiedziala, ze przyczyna jego zaczepnosci i chwilowego zapominania sie jest jego choroba. Poza tym, byc moze, przedrzemal wiksza czesc ich rozmow, moze goraczka dawala mu sie we znaki, nic wiec dziwnego, ze nie wszystko z nich zapamietal.

- No dobrze, wiec postarajmy sie razem doszukać sensu w tym, co sie stalo, poniewaz ja rowniez zupełnie tego nie rozumiem - powiedziala do niego w nadziei, ze poprawi mu tym nastroj. - Wiêkszość towarzystw z tej samej branzy moze w bardziej lub mniej przyjazny sposob konkurowac ze soba. Na tym polega istota biznesu, co do tego chyba zgodzisz sie ze mna, prawda? - Odczekala chwile. Pokiwal glowa. Ciagnela wiec: - Ale gdy w naczyniu znajdzie sie jedno zgnile jablko, reszta tez moze sie popsuć.

- Czy mozesz sie trzymac konkretow?

Znowu cmoknela, ale zrobila to, o co ja prosil.

- A wiec ta nowa linia morska, ktora otwarto w koncu lata, o nazwie The Winds, o ile dobrze pamietam, spotkala sie z zyczliwym przyjeciem, jako pozadany dodatek na swietnie prosperujacym rynku - dopoki nie okazalo sie, ze jej udzialowcy maja z gruntu nieuczciwie zamiary. Zamiast szukać nowych rynków zbytu woleli podkradać te, które są w dobrych rękach.

- Ojca?

- Nie tylko ojca, chociaz na niego chyba rzeczywiscie szczególnie sie uwzieli. On sam nigdy mi o tym nie mowil. Nie moglby, nie chialby mnie zasmucać.

To, co wiem, podsłuchałam, gdy jego kapitan czy rachmistrz przyszedł do nas do domu. Podobno The Winds próbowała całkowicie wyeliminować go z biznesu, i prawie im się to udało. Nigdy nie widziałam go tak wściekłego jak w ciągu tych kilku ostatnich tygodni przed wyjazdem, gdy jeden ze statków wrócił do portu bez zamówionego ładunku, ponieważ kapitanowie linii The Winds płynęli swoimi statkami tuż za nimi w każdym porcie przebijali cenę.

- Nawet ten sympatyczny francuski...?

- Tak - przerwała mu, nie chcąc, żeby za dużo mówił, ponieważ to także zdawało się go nadmiernie męczyć. - Nawet on działał niezgodnie z zawartą z ojcem umową i sprzedawał swój towar dającemu lepszą cenę kapitanowi.

- A zatem co jest wart kontrakt, jeżeli tak łatwo można go zerwać?

- Z tego, co słyszałam, kontrakt nie został całkowicie zerwany, padły jakieś przeprosiny i liche wyjaśnienia uzasadniające przyczynę niedotrzymania umowy. Taka jest istota biznesu, jak sędzę - powiedziała Larissa, bezwiednie wzruszając ramionami, po czym dodała: - Trudno jest winić handlarzy, gdy nadarza się okazja zgarnięcia olbrzymich, nieoczekiwanych zysków.

- Nie uważam, żeby trudno był o ich winić - wypowiedział swoją opinię Thomas. - Kontrakty zawiera się z uzasadnionych powodów, w przeciwnym razie rynek przestałby być wiarygodny.

Powinna lepiej ważyć słowa, Thomas został bowiem przeszkolony i był przygotowany, mimo swojego młodego wieku, do przejęcia któregoś dnia interesu ojca.

- Bądź co bądź, tak dzieje się w całej Europie. Statki The Winds zawijają do wszystkich portów, do których zawijały nasze. Nie trudno więc wywnioskować, że jest to działanie celowe i że ich statki specjalnie płynęły taką trasą, żeby przechwycić nasz ładunek. I to jest powód, dla którego ojciec odpłynął tak daleko od domu. Nie mógł konkurować z The Winds, która płaci zawrotne ceny, nie miałby bowiem żadnego zysku z ładunku.

Thomas zmarszczył czoło.

- Sądzę, że tego właśnie nie rozumiem. W jaki sposób tamto towarzystwo morskie zamierza czerpać zysk, skoro płaci tak wysokie ceny za swoje ładunki?

- Teraz nie płaci. Podobno wyrzucili moc pieniędzy na prowadzenie takiej właśnie taktyki. Najpierw zapewniają sobie rynek, po czym martwią się o to, żeby przywrócić poprzednie, rozsądne ceny. To tylko manewr, jednak się powiodł. Ojciec nie mógł posłać swoich statków do dotychczasowych kontrahentów, ryzykując, że stanie się to, co poprzednio, a zatem The Winds wygrała: teraz oni trzymają w rękach te stare rynki.

- Myślisz zatem, że tatusiowi udało się znaleźć nowe miejsca do prowadzenia interesów? - zapytał Thomas.

- Oczywiście - odpowiedziała, starając się zachować przekonujący ton głosu. - W końcu przecież zamierzał rozwinąć działalność aż po wyspy Morza Karaibskiego.

Może się więc okazać, że to wszystko wyjdzie mu na dobre.

- Tylko że zostało na nim wymuszone, gdy nie był do tego przygotowany.

Niejeden raz wolałaby, żeby Thomas nie był taki bystry i żeby po prostu przyjmował do wiadomości wyjaśnienia, jak większość dzieci w jego wieku, zamiast je kwestionować i wytykać wszystkie wady jej rozumowania.

- Chcesz wiedzieć, co o tym sędzę?

- Nie mam wyboru.

Uśmiechnęła się.

- Nie masz. Uważam, że w końcu wszystko dobrze się ułoży.

Wątpię, żeby The Winds mogła przetrwać, a kiedy zniknie z rynku, ojciec znowu nawiąże stare kontakty, co razem z nowymi, które zdobędzie podczas obecnej podróży, pozwoli na zakup nowych statków, żeby sprostać wyzwaniu.

- A ja uważam, że po prostu się łudzisz, sądząc, że The Winds zniknie z rynku. Po pierwsze, nic na to nie wskazuje, a po drugie, skoro zainwestowali na początek tak wielki kapitał, zrobią wszystko, by sprostać konkurencji.

- Och, Nie chodzi mi o ich pieniądze. Mam na myśli zło, które szerzą, zaczynając działalność w tak nieetyczny sposób. Zastanów się. Kupcy, którzy sprzedają im towar z wielkim zyskiem, dokładnie wiedzą, na co się narażają, a także i to, że ci, z którymi się teraz układają, postępują

nieuczciwie, a więc nie są wiarygodni. A przecież wiele rodzajów produktów szybko się psuje, wymaga więc terminowej dostawy i godnych zaufania kapitanów statków, którzy na czas dostarczą towar. Jeżeli w przyszłości linie The Winds nie staną się punktualne, towary będą się psuły, zanim jeszcze zostaną odebrane, i, co samo się przez się rozumie, nikt ich nie kupi w tym stanie.

- Sądzisz więc, że dawni kontrahenci ojca będą z nim dalej chcieli handlować, ponieważ ma solidną firmę i jest godnym zaufania człowiekiem?

- Sądzę, że będą, tak... ale spójrz, całą tą rozmową o interesach uspiliśmy Marę, której to wszystko nic a nic nie obchodzi.

Nie dziwię się temu, pora, żebyś i ty się zdrzemnął.

- Nie jestem zmęczony - jęknął.

- Widziałam, jak oczy ci się zamykają.

- Wcale nie - burknął.

- Wcale tak. A poza tym możesz spać lub Nie, ale najważniejsze, żebyś odpoczął. Kiedy już całkiem przestaniesz gorączkować, spróbujemy skończyć z tymi drzemkami.

Ustąpił.

Ruszyła w stronę drzwi. Ale ją zatrzymał, zadając jeszcze jedno pytanie, na które tym razem naprawdę nie była przygotowana.

- Gdzie postawimy w tym roku bożonarodzeniową choinkę, Rissa?

Usłyszała drzenie w jego słabiutkim głosie, gdy o to zapytał.

Ku jej rozpaczcy. Nie dopuszczała myśli, że mogliby spędzić Boże Narodzenie bez ojca. Nie snuła jeszcze tak odległych planów. Nie mogła, przytłaczał ją bowiem zbyt wielki smutek, czekało ją jeszcze zbyt wiele cierpienia po drodze.

- Jest jeszcze za wcześnie, żeby myśleć o drzewku, mamy dopiero początek miesiąca. Ale będziemy je mieli, Tommy, nawet gdybyśmy musieli dzielić się nim z baronem.

- Nie, nie chcę. Chcę je ubrać zabawkami, które razem robiliśmy. Zabrałaś je z naszymi rzeczami, powiedz: zabrałaś?

Nie, Nie zabrała. Były złożone na strychu i nie wiedziała, czy odjechały razem z meblami tam, dokąd je zabrał lord Everett.

- Znajdą się tutaj, gdy przyjdzie na to czas - tyle tylko miała mu do zaoferowania w tej chwili. - Więc przestań się martwić, proszę. Lepiej szybciej wyzdrowiej, żebyś jeszcze mógł dorobić trochę zabawek.

Koniecznienie musi stąd wyjść. Łzy już spływały jej po policzkach, a ona nie chciała, żeby ją widział w tym stanie. Nie zanosilo się w tym roku na normalne święta. Bała się, tak bardzo się bała, że spędzą je bez ojca.

Rozdział 5

Niewiele widząc z powodu łez, Larissa z trudem znalazła oddaną do jej dyspozycji sypialnię. W drodze od Thomasa do siebie pukała do wszystkich drzwi, a gdy nikt nie odpowiadał, zaglądała do każdego pokoju. Wreszcie odnalazła swoje kufry, złożone jeden na drugim u stóp łóżka w jednym z najodleglejszych pokoi, na samym końcu korytarza, o wiele za daleko od brata, którym się opiekowała.

Czy nie uznała pokoju Thomasa za ogromny w porównaniu z jego dawnym pokojem? Tymczasem ten, który dostała, był jeszcze większy. Miał nawet osobną garderobę, z przylegającą do niej ogromną łazienką, i następne drzwi prowadzące do jeszcze jednej sypialni, która, co stwierdziła ku swojemu wielkiemu zgorzeniu, była sypialnią barona. Umieszczono ją w damskiej części apartamentów sypialnych państwa domu. Na miłość boską, dlaczego? Przecież taki ogromny dom musi mieć gościnne pokoje, czyż nie minęła właśnie przynajmniej pół tuzina takich pokoi, przemierzając korytarz?

To niemożliwie, to jakaś pomyłka, o której musi powiadomić gospodynię - natychmiast, gdy tylko się opanuje i przestanie płakać. Usiadła na brzegu łóżka,

dając upust wszystkim emocjom. O dziwo, niektóre z nich były dla niej nowe, i powoli zdominowały tamte, wysuszając jej łzy.

Pozwoliła, by Thomas odwrócił jej uwagę i myśli, ponieważ wiedziała, że on to potrafi. Dlatego tak pośpiesznie pobiegła do jego pokoju. Ale teraz była sama, a jej myśli znowu zaprzętał ten dziwny lunch, który jadła wspólnie z baronem.

Nie wiedziała, co o nim sądzić, ale nie ulega wątpliwości, że z mącił jej umysł jak nikt przedtem. I nie chodziło o to, że jest taki przystojny, iż na chwilę zaparło jej dech, kiedy po raz pierwszy na niego spojrzała, tutaj, w tym jasnym holu. W każdym razie nie tylko o to chodziło.

Wysoki i barczysty Vincent Everett mógłby uchodzić za atletę, gdyby nie uważny, znający się na fachu krawiec, któremu udało się go wtłoczyć w modny garnitur. Tak, krawiec barona musiał być bardzo skrupulatny, skoro wymodelował szczupłą i zgrabną sylwetkę, pomimo tak muskularnej budowy, jaką miał baron.

Podobnie jak wczoraj wieczorem zmyliły ją śnieg i palto. Czarne, wręcz czarne jak smoła włosy, wyraziste, kanciaste policzki, mocna, stanowcza szczęka, wąski nos, jednym słowem doskonale współgrające rysy, czyniące go naprawdę niezwykle przystojnym mężczyzną.

A jednak to nie ta strona jego urody zrobiła na niej aż takie wrażenie. Zachwyciły ją, wręcz wytrąciły z

równowagi jego oczy, które były złociste i zdawały się prowadzić z nią rozmowę.

Niestety, wszystko, co powiedziały, było nieprzyzwoite – dobry Boże, jakie to było dziwne! Naprawdę rozstroił ją, zakłócił jej wewnętrzny spokój do nierozsądnych granic - a przecież jego oczy zdawały się wyrażać rzeczy, które nie były stosowne. Nie, to mógł być zwykły figiel spleatany przez światło. Nie zamierzony. Pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy z wrażenia, jakie to robi na innych. A może to tylko jej wzburzone emocje sprawiają, że widzi więcej, niż jest w istocie.

To, co dla niego było zwykłym biznesem, po prostu jeszcze jedną nudną finansową transakcją, dla niej stało się klęską. Przecież straciła swój dom. Żywiła do barona niechęć z tego powodu i nic na to nie mogła poradzić. A to silne przeżycie było chyba główną przyczyną, dla której wszystko inne, co robił, odbierała tak bardzo przesadnie.

Kiedy jadła, z trudem przetykała każdy kęs. I to przykre kręcenie w okolicy brzucha, i strach, że jeszcze chwila, a zwróci tę odrobinę jedzenia, nad którym się pochylała. No i to jego nieustanne wpatrywanie się w nią. Coraz bardziej bezceremonialne. Coraz bardziej szarpiące nerwy. A ponieważ robił to prawie przez cały czas, gdy mu towarzyszyła, doszła do wniosku, że to nie było umyślne, że nie miało na celu zmieszania jej czy zbitcia z tropu, prawdopodobnie stało się tylko zwykłym, co prawda nieokrzesanym, nawykiem. Może nawet

zawodowym chwytem, który opanował do perfekcji, a teraz nieświadomie stosuje na co dzień.

Widziała jednego handlarza wypróbującego kiedyś podobną taktykę na jej ojcu, wpatrującego się w niego niedwuznacznie, żeby mu dać do zrozumienia, iż wynegocjowana właśnie cena może zostać podniesiona, zanim dojdzie do ostatecznego porozumienia. Ojciec nie dał się na to nabrać, ale przyglądanie się temu było naprawdę zabawne.

Dopiero po wielokrotnym pukaniu Larissa otrząsnęła się ze swoich trwożliwych myśli i wstała, żeby otworzyć drzwi. Stał w nich Vincent Everett. Jeszcze przed chwilą miała nadzieję, że może uda się jej uniknąć dalszych z nim spotkań podczas tego pobytu, a tymczasem on już tu był. A do tego stał tak blisko, że czuła piżmowy zapach i bijące od niego ciepło - a może ten żar brał się z jej zakłopotania?

Chciała się cofnąć, najchętniej uciekłaby w najodleglejszą część pokoju, gdyby nie był to aż nadto wyraźny sygnał, jak bardzo jego obecność wytrąca ją z równowagi. Niewielki dystans, jaki próbowała utrzymać, na niewiele się zdał, ponieważ on robił znowu to samo - wpatrywał się w nią. A jak płomienne były jego bursztynowe oczy! Miała wrażenie, że obserwując, obnaża ją doszczętnie. A zakłopotanie było takie, jakby naprawdę stała przed nim naga.

- Pani klejnoty.

Zastanawiała się przez chwilę, czy powiedział to do niej, czy tylko mówił coś do siebie. Wcale by się nie zdziwiła.

- Przepraszam?

- Bałem się, że może pani zapomnieć. - A spojrzenie, które jej teraz posłał, mówiło, że ma rację - jest kompletnie roztrzępana. - Nie chciałbym ponosić pośredniej odpowiedzialności za przysporzenie pani ewentualnych dodatkowych zmartwień, co mogłoby nastąpić, gdyby się okazało, że pani klejnoty zginęły.

To odświeżyło jej pamięć.

- O tak, chodzi o te nowe służące, które się jeszcze nie sprawdziły. Jedną chwileczkę.

Podeszła szybko do swoich kufrow, stojących równo jeden na drugim, jak piramida, u stóp jej łóżka. Przeszukanie pierwszego z nich nic nie dało, nie znalazła w nim kasetki z biżuterią, tymczasem tak się pechowo składało, że był to najcięższy kufer, zawierał bowiem jej ulubione książki. Nie byłoby z tym żadnego problemu, gdyby mogła go najpierw rozpakować. Ale teraz baron stał w drzwiach i żeby się dostać do pozostałych dwóch pod spodem, trzeba było zdjąć ten najcięższy kufer. Doskonale wiedziała, że sama kufra nie udźwignie, mogła natomiast, przy pewnym wysiłku, ściągnąć go na dół, co też zaczęła robić. Ledwie zaczęła, a już ramiona barona zamknęły ją z obu stron. Sięgnął po uchwyty na końcach kufra i wyręczył ją w zadaniu.

Powinien powiedzieć, że sam to robi. Powinien był najpierw pozwolić jej odsunąć się na bok. Serce waliło

dziewczynie w piersi. Znalazła się w pułapce, między nim a kufkami, czuła na plecach jego tors, jego oddech na swojej szyi. Była bliska omdlenia, tak, czuła to, czuła, że jeszcze chwila, a wyzionie ducha.

- Przepraszam - powiedział po upływie nieznośnie długiego czasu, odsuwając jedno ramię, żeby mogła się uwolnić z pułapki.

I znowu instynkt nakazywał jej uskoczyć w najodleglejszy kąt pokoju, daleko, jak najdalej od niego. Rozpaczliwie tego pragnęła, ale też za żadne skarby świata nie chciała pokazywać po sobie, że się go boi, bo tak by to niewątpliwie odebrał. W końcu przecież był jej wrogiem. A ona, prawdę mówiąc, nie bała się.

To, co czuła, było daleko bardziej niepokojące niż strach.

Odstawił na bok ciężki kufer i mógłby to chyba zrobić jedną ręką, tak lekko mu poszło. Ale nie ruszył w kierunku drzwi, jak powinien. W końcu przecież byli sami, całkiem sami, na domiar wszystkiego w tej przeklętej sypialni, co wykraczało poza wszelką przyzwoitość i było po prostu kompromitujące. Więc zanurzyła się w kolejnym kufku, gdy już miała do niego dostęp, byle szybciej pozbyć się nieproszonego gościa, i na szczęście natrafiła na wąskie, drewniane pudełko z biżuterią.

- Jest tego tylko kilka sztuk, które należały do mojej matki, a wcześniej jeszcze do jej matki - powiedziała, podając mu pudełko. - Są cenne, ale ich wartość ma dla mnie raczej sentymentalny charakter...

Nie dokończyła zdania, zabrakło jej bowiem powietrza. On zaś, biorąc od Larissy pudełko, położył dłoń na jej rękach, prawdopodobnie dlatego, że nie zdejmował z niej oczu i nie zwracał uwagi na to, po co sięga. Patrzenie mu w oczy, podczas gdy ciepłe wnętrze jego dłoni przesunęło się po wierzchu jej rąk, powoli, zbyt powoli, nim wreszcie wziął kasetkę, było dla niej kolejnym szokiem. Znowu była unicestwiona, krew krążyła w niej tak szybko, iż naprawdę sądziła, że tym razem zemdleje.

Ten ich dotyk, który tak całkowicie wytrącił ją z równowagi, dla niego absolutnie nic nie znaczył. Popatrzył w dół, gdy otworzyła kasetkę, gdzie zobaczył długi sznur pereł oraz wysadzaną perłą i rubinem broszkę w kształcie motyla.

- Rozumiem - powiedział bezbarwnym tonem, wpatrując się w nią tymi złotymi oczami, które zdawały się jeszcze bardziej płonąć chociaż mogły tylko sprawiać takie wrażenie za sprawą światła. - A to?

Zanim do niej dotarło, do czego zmierza albo co ma zamiar zrobić, pstryknął palcem w kolczyk w jej uchu. Robiąc to, musnął pozostałymi palcami jej szyję, z pewnością przypadkowo, poczuła jednak wyraźnie przechodzący ją od stóp do głów dreszcz.

Zachwiała się, gdy zaczęły się pod nią uginać kolana. Nagle nie mogła już oddychać. W rozpaczliwej próbie odzyskania nad sobą kontroli zamknęła oczy - i usłyszała jęk. Jego? Chyba Nie. Skupiła uwagę na przedmiocie, albo raczej na tym, co uważała za

przedmiot. Zanim udało się jej go odpiąć, upłynęło kilka dobrych chwil. Z pomocą przyszło jej zatrzaskiwane wieczko kasetki, co ją na tyle przeraziło, że znowu otworzyła oczy.

- Kolczyki mam zawsze przy sobie. Albo je noszę, albo, gdy śpię, leżą obok łóżka.

- Nie ryzykowałbym na pani miejscu. Proszę mi to dać.

To był nie znoszący sprzeciwu, suchy rozkaz, wypowiedziany innym niż dotychczas, chrypiącym tonem głosu. Czy chodziło mu o kolczyki? Nie była pewna. Znowu odzyskała trzeźwość myślenia. Ale na wszelki wypadek zdjęła je i wysunęła w jego stronę, po czym wypuściła je nerwowym ruchem w obawie, że mogłaby go znowu dotknąć, gdyby za blisko wyciągnął rękę.

Zrobiła to jednak odrobinę za wcześnie, on zaś nie okazał się na tyle szybki, żeby je złapać, zanim upadły na podłogę. Zakłopotana, że jej zdenerwowanie stał o się aż tak widoczne, opuściła się bez zastanowienia na jedno kolano, żeby podnieść kolczyki, nie zakładając, że on może zrobić to samo. Schylając się, zderzyli się głowami. Straciła równowagę, skończyło się na tym, że usiadła na podłodze. I nim zdążyła podnieść się sama, on jej już pomagał.

To była prawdziwa klęska. Zaniemówiła z wrażenia. Zamiast podać jej rękę, której z pewnością i tak by nie przyjęła - o czym zapewne wiedział - podniósł ją, chwytając pod pachami, jak jakieś małe dziecko. I w ciągu

tych krótkich sekund poczuła jego dłonie obok swoich piersi, poczuła też, jak sztywnieją w zetknięciu z jego torsem. Wszystko trwało zaledwie sekundy. Ale doznania zdawały się trwać wieczność.

Tymczasem kolczyki nadal leżały na podłodze. Podniósł je w końcu, sięgając także po kasetkę, którą odstawił, żeby jej pomóc wstać. Teraz trzymał perełki w mocno zaciśniętej dłoni, choć powinien je raczej włożyć do pudełka. Choć raz wydawał się równie podniecony jak ona, ale trwało to tylko chwilę i minęło tak szybko, iż pomyślała, że poniosła ją wyobraźnia. A jednak, spełniwszy misję, odwrócił się w stronę drzwi, by jak najszybciej stąd odejść.

Nie zatrzymywałaby go. Najważniejsze, żeby stąd wyszedł, zanim do reszty się rozstroi. Ale jej umysł nie działał najsprawniej, więc gdy spojrzała na kufry, zawołała:

- Och, właśnie zamierzałam odszukać pańską gospodynię...

Wygląda na to, że dostałam niewłaściwy pokój. Powinnam być bliżej brata...

Powiedziałyby więcej, ale jej przerwał:

- Została pani właściwie ulokowana. Zwykle w okresie świąt miewam gości, a nie są to goście, którzy zasługują na specjalne względy, rozumie pani, przybywają tutaj dla interesów. Zatem, zamiast panią przeprowadzać - o ile będzie pani nadal w tym czasie - o wiele prościej było umieścić panią tutaj. Czy ma pani zastrzeżenia do tego pokoju?

- No cóż, Nie, ale...

- To dobrze, proszę więc nie zaprzętać tym sobie głowy.

Wyszedł, nim zdążyła przedstawić swój główny argument. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, padła na łóżko. Drżała na całym ciele. Jej zszarpane nerwy zdawały się przeraźliwie krzyczeć. Serce biło jak oszalałe. Boże Najświętszy, co t en człowiek z nią z robił?

Rozdział 6

Vincent zamknął się w swoim gabinecie, gdzie nikt mu nie mógł przeszkodzić. Odpowiednio przeszkolona służba wiedziała, że nie wolno zakłócać jego spokoju jakimiś błahymi sprawami, kiedy drzwi gabinetu są zamknięte. Jedynym wyjątkiem był jego sekretarz. Sypialnia gwarantowała całkowitą izolację, ale znajdowała się zbyt blisko Larissy.

Nigdy, w całym swoim życiu, nie sięgał po alkohol we wczesnych godzinach popołudniowych. Dzisiejszy wyłom stanowił tylko wyjątek od reguły. Nie żeby brandy, którą sobie nalał, miała mu pomóc. Miał nadzieję, że pozwoli mu odzyskać spokój, albo przynajmniej zapomnieć o Larissie Ascot, dopóki jego ciało nie wróci do równowagi. Nic z tego. Nie powinien był przychodzić do jej drzwi wieczorem, z pewnością nie powinien był wchodzić do jej pokoju. Bizuteria stanowiła jedynie pretekst. Po prostu znowu chciał się znaleźć w jej pobliżu. Tak go podnieciła obecność Larissy podczas lunchu, że nie mógł się opanować i trzymać od niej z daleka, gdy znajdowała się tak blisko.

Ale to był błąd. Widok jej oraz łóżka w zasięgu ręki natychmiast przywołał myśl o uwiedzeniu. Doskonała sceneria, żeby przystąpić do dzieła. Uważał, że stać go na

to, poczynił nawet pewien postęp - aż w końcu sam wpadł w pułapkę.

Jeszcze nigdy tak nie pożądał kobiety, żeby całkowicie stracić nad sobą panowanie. Wciąż jeszcze zdumiewała go siła i natężenie tego pragnienia, a zwłaszcza nagląca potrzeba rzucenia Larissy na łóżko, wzięcia jej siłą i całkowitego, niekontrolowanego zatracenia się w niej. I nie chodziło o to, żeby nie miał żadnego doświadczenia w braniu przemocą czy w podobnym zachowaniu w tych sprawach. Ale wiedział, że jest o wiele za wcześnie na to, żeby z nią tak postąpić.

Była podniecona, tak - na Boga, jakże to łatwo poszło i prawdopodobnie nie protestowałaby zbyt gwałtownie, wdając się w tę namiętą grę. Ale nie o to mu chodziło. Chciał, żeby mu była całkowicie uległa, chciał, żeby go błagała o wszystko, co zamierzał jej dać. Niech klęska dziewczyny stanie się jej własnym dziełem, tylko z bardzo ograniczoną pomocą z jego strony.

Jego przekłete sumienie, które na tak późnym etapie jego życia zdawało się stawać dęba, będzie spać spokojnie, gdy się z nią już rozprawi.

Teraz w dodatku pozbawił ją wyboru, zostawiając jedynie możliwość zaakceptowania jego gościnności. Na wypadek, gdyby jeszcze raz nadmieniła, że musi coś sprzedać, miał już przygotowaną historyjkę o rzekomej kradzieży jej dobytku. Gdyby to było konieczne, mógł ją nawet zaprowadzić do składu, gdzie ich rzeczy zostały złożone, i pokazać, że to, co pozostało, nie przedstawia większej wartości, a więc że nie warto tego sprzedawać.

A do biżuterii nie będzie miała dostępu, ponieważ akurat, niestety, "zapodział się gdzieś" klucz do sejf. Zresztą jeszcze jej tam nie zamknął, trzymał właśnie w ręce jeden z kolczyków i nieświadomie pocierał go wzdłuż brzegu, który dotykał jej policzka. Zaobserwował rozkołysany, nerwowy ruch kolczyków na niej i delikatne pobrękiwanie w zetknięciu z szyją Larissy. Były jeszcze ciepłe, kiedy je brał, zatrzymały w sobie jej żar, on zaś, po wyjściu z pokoju, mocno ścisnął to ciepło w dłoni, nie chcąc, by uleciało, skoro już musiał Lariszę opuścić.

Jakże prosty był plan tego uwiedzenia! Więc dlaczego, u licha, okazał się taki skomplikowany? Ale przecież wiedział, dlaczego. Nie przewidział efektu, jaki na nim wywrze, nie spodziewał się, że oczaruje go tymi rumieńcami, zachwyci urodą, zafascynuje swymi emocjami, ani też że podnieci go jednym niewinnym dotykiem i rozpali własnym pożądaniem. Jedynym uwiedzionym był on sam, i to jak! Nawet nie był pewien, czy stać go będzie znowu na podobne doznanie, na narażanie się na coś podobnego, bez konieczności doprowadzenia tego do naturalnego rozwiązania.

Powinien przez jakiś czas zachować odpowiedni dystans, przynajmniej do czasu, aż zapanuje nad swoimi niekontrolowanymi reakcjami. Unikać jej, przez dzień lub dwa. Ale nie ma na to czasu. Nie dotykać więc dziewczyny. Dotykanie Larissy jest zgubne dla niego samego. Może ją przecież uwodzić bez fizycznego kontaktu. Grać na współczuciu Larissy. Nawet uciec się

do odrobiny normalnych zalotów, o mniej oczywistym charakterze.

Najpierw uwieść jej umysł, a dopiero potem ciało.

Zadowolony z nowego planu, Vincent dopił brandy i nie napełnił ponownie kieliszka. Słyszając pukanie do drzwi, ucieszył się, że oderwie się od swoich myśli. Ponieważ jedyną osobą, która mogła go kiedykolwiek tutaj nachodzić, był jego sekretarz, nie zdziwił go widok wchodzącego Horacego Dudleya.

Swoją drogą Vincent zapomniał, że może będzie musiał rozejrzeć się za nowym sekretarzem. Dodatkowy kłopot. A Horacy, który wczoraj wieczorem był nieprzejednany, gdy odszedł zaśnieżoną ulicą, teraz, zgodnie z zapowiedzią, trzymał w ręce wymówienie.

Vincent nie dał nawet szansy temu drobnemu mężczyźnie na wręczenie go.

- Niech pan to odłoży na bok, panie Dudley. Już naprawiłem krzywdę, którą pan uznał za tak niegodziwą, że aż poczuł się zmuszony do rezygnacji z posady u mnie.

- Naprawił pan krzywdę? Pozwolił pan zatem Ascotom zatrzymać ich dom?

Wniosek był tak absurdalny, że Vincent aż się skrzywił.

- Po tych wszystkich zabiegach, a także uprzejmościach, z których musiałem skorzystać, żeby go nabyć? Nie. Ale panna Ascot zatrzyma się tutaj aż do powrotu ojca, nie będzie więc skazana na wysiadywanie

na rogu ulicy, otulona w pled i do połowy przysypana śniegiem.

Horacy chrząknął.

- Nie zupełnie tak wyobrażałem sobie rzeczoną sytuację, w przeciwieństwie, jak widzę, do pana, lordzie. Vincent jeszcze bardziej się nachmurzył.

- Nic podobnego, a poza tym nie w tym rzecz – powiedział ożywionym tonem. - Chyba jednak zgodzi się pan ze mną, że nie ma już pan powodu do rozglądania się za nową posadą?

Po reprimendzie, jaką otrzymał wczoraj od żony za swoje zbyt przesadnie wysokie morale, od którego nie przybędzie im chleba na stole, Horacy ucieszył się, że może odpowiedzieć:

- W rzeczy samej, i dziękuję panu, lordzie.

- A zatem proszę wracać do pracy. Może pan się teraz zająć tymi dwiema inwestycjami, o których mówiliśmy w ostatnim tygodniu. Och, i proszę wezwać mojego lekarza do domu.

- Czuje się pan niezdrow?

- Nie, ale niech pan powiadomi personel, że będzie tu lekarz i że zajmie się ich ewentualnymi chorobami lub fizycznymi dolegliwościami.

- Powinien pan wiedzieć, że nikt się nie zgłosi, lordzie. Lekarze są za drodzy dla większości...

- Pokryję koszty.

Horacy zamrugał oczami.

- To bardzo... wspaniałomyślne z pańskiej strony. Czy na pewno dobrze pan się czuje?

Teraz już chmurne spojrzenie Vincenta ciskało gromy.

- Jeszcze nie zgłupiałem, człowieku, mam też w tym swoje ukryte cele. Proszę więc dopilnować, żeby lekarz, gdy panna Ascot go o to zapyta, powiedział jej, iż zawsze o tej porze roku bada mój personel. I proszę go zaprowadzić do jej brata. Podobno chłopiec choruje już od pewnego czasu.

- Ach, teraz zrozumiałem. Zależy panu na tym, żeby nieczuła się wobec pana zobowiązana.

Vincent omal się nie roześmiał na tak opaczne rozumowanie.

Poczucie wdzięczności było by mile widziane, ale kto inny musiałby je zainicjować. Obecnie jego jedynym zmartwieniem pozostanie niedopuszczenie do tego, by panna Ascot osobiście zapłaciła za lekarza. A ponieważ Horacy nie musi o tym wiedzieć, Vincent jedynie skinął głową, pozwalając mu na dowolne domysły.

Rozdział 7

Resztę popołudnia Vincent postanowił spędzić na jakiejś rozrywce. Tymczasem zbliżała się pora kolacji, a on był tak przepętiony oczekiwaniem na ponowne ujrzenie swojego pięknego gościa, iż wiedząc, że nie może jej tego okazać, musiał przywołać się do porządku. Jeszcze nie. Nie wtedy, gdy na myśl, że zobaczy ją wchodzącą do pokoju, wrzała w nim krew.

Do licha! Tak nie powinno być. Istniała wprawdzie jakaś szansa, że nie zejdzie na dół, by wspólnie z nim zjeść posiłek. Ale na wszelki wypadek, gdyby uznała, że tak nakazuje zwykła grzeczność, opuścił dom. Na obecny jego stan było tylko jedno lekarstwo, znał też kilka rezydencji, w których mógł je znaleźć.

Zdecydował się na lady Catherine. Będąc wdową od kilku lat, nigdy mu nie odmówiła gościny w swoim domu. A ponieważ była raczej typem samotnicy, rzadko kiedy, gdy do niej dzwonił, zastawał ją bawiącą się, spędzającą czas w towarzystwie innych osób, czego nie można było powiedzieć o innych kobietach, z którymi się widywał. Nie utrzymywał metresy, nigdy nie uważał tego za konieczne, skoro otrzymywał tak wiele zaproszeń

od kobiet ze swojej sfery, że często nie nadążał i tracił rachubę.

Z tymi kilkoma, które regularnie odwiedzał, nie było takich komplikacji, ponieważ zażywały niezależności wynikającej z wdowieństwa, i nie żądały od niego więcej, niż zamierzał im dać, albo przynajmniej usiłowały sprawiać takie wrażenie.

Catherine była ładną kobietą, starszą od Vincenta o kilka lat. Uważała się za jego dłużniczkę. Za jego bowiem sprawą kupiła dom swoich marzeń, w którym zakochała się, będąc jeszcze dzieckiem, i nigdy nie przestała go pragnąć. Gdy z o stała bogatą wdową, nie udało jej się przekonać właściciela, żeby go odsprzedał. Właśnie wtedy Vincent dowiedział się o zabiegach Catherine i tak doszło do zawarcia tej znajomości.

Nie okłamał Larissy, mówiąc jej, w jaki sposób dorobił się swojego majątku. Catherine zapłaciła mu ogromne honorarium za znalezienie sposobu na właściciela i skłonienie go do sprzedaży domu - w tym szczególnym wypadku była to stadnina koni wyścigowych w Kent, o której kupnie ten człowiek nigdy by sam nie pomyślał, chociaż był zapalonym koniarzem, a także zaproszenie na oficjalne spotkanie u królowej, przy czym załatwienie obu tych spraw nie przysporzyło Vincentowi najmniejszych trudności.

Catherine wciąż czuła się zobowiązana wobec Vincenta, a przynajmniej poczuwała się do wdzięczności. Naprawdę kochała swój dom. Vincent zastanawiał się często, czy jest to powód, dla którego, ilekroć

nieoczekiwanie pojawia się u niej, dom jest zaopatrzony w całą masę delikatesów, nawet gdyby Catherine miała jadać sama. Wyborne jedzenie, którym często się delektował, zawdzięczał talentom jej kucharza. Znajdował nawet upodobanie w towarzystwie Catherine, jej świetnym dowcipie, zdolnym rozbawić go od czasu do czasu, choć przecież nie należał do ludzi, których byle co jest w stanie rozśmieszyć. Spodziewała się, że zostanie u niej na noc. Tak też planował. Po to tutaj przyszedł. O ile jednak w ciągu dnia przepelniało go pożądanie, tego wieczoru nie czuł absolutnie nic.

Nie z winy Catherine, ślicznej i uległej jak zawsze. To była wina Larissy. Nadal jeszcze absorbowwała jego myśli, nawet w ciągu tych kilku godzin spędzonych z inną kobietą. Wyszedł od razu po kolacji. Catherine nie kryła rozczarowania, choć się o to starała. Jeszcze nigdy tak nie postąpił. Gdyby jednak został, prawdopodobnie wprowadziłby ich oboje w zakłopotanie. Wrócił do domu. Wszakże nie bez pewnej obawy – przecież doskonale wiedział, że tak bliska obecność Larissy będzie dla niego poważnym problemem tego wieczoru. Ulokowanie jej w pokoju obok własnej sypialni, bez żadnych zamków w dzielących ich drzwiach, było czystym szaleństwem. Przecież nie spodziewał się żadnych gości podczas świąt. Chciał ją mieć pod ręką. Myślał, myślał jak szalony o tym, co będzie po uwiedzeniu, kiedy nadal będzie z nią dzielił łóżko, przynajmniej do powrotu jej ojca, i tak to zaaranżował, żeby mieć do niej łatwy dostęp.

Miał rację. Nie mógł zasnąć. Miał także rację, że nie potrafi się oprzeć i nie wejść tej nocy do jej pokoju. Miał już gotowy pretekst, na wypadek gdyby się obudziła. Ale nie. Spała w najlepsze. Nawet nie starał się zachowywać cicho, chciał, żeby się obudziła. A ona nadal spała. Doprowadzała go do szaleństwa.

Z drugiej strony nie umiałby powiedzieć, skąd znalazł w sobie tyle silnej woli, żeby stąd wyjść, nie niepokojąc jej. Nawet udało mu się zasnąć, prawdopodobnie dlatego, że już prawie świtało. W końcu spędził większą część nocy w jej pokoju, w stanie wzmożonego oczekiwania, które go wreszcie wykończyło.

A śniło mu się, że widzi ją stojącą u jego łóżka, obserwującą go we śnie, tak jak on przedtem patrzył na nią...

To nie był sen. Również Larissa nie mogła spać, chociaż w przeciwieństwie do niego nie wiedziała, co jej tak bardzo przeszkadza i sprawia, iż rzuca się, kręci i co parę minut przewraca na poduszce, chcąc za wszelką cenę zasnąć. Słyszała kroki Vincenta w holu, wiedziała, że to on, ponieważ ich drzwi były jedynymi i ostatnimi w tej najodleglejszej części korytarza. Później słyszała jakieś dźwięki, nic, co by można bliżej określić – aż otworzyły się wewnętrzne drzwi jej pokoju, a ona po prostu zamarła i na krótko przestała oddychać.

To był on, a sama świadomość jego obecności sprawiła, że odżyły wszystkie doznania z tamtego popołudnia. Nie wiedziała, czego mógł chcieć, i nie

zamierzała o to pytać. Gdy się przekonała, że nie przyszedł jej obudzić, postanowiła nie otwierać oczu. Udawała, że śpi. Nie chciała nic wiedzieć, naprawdę nie chciała.

Jej serce waliło tak głośno, że była pewna, iż on to musi słyszeć. Zachowywał się na tyle hałaśliwie, że obudziłby ją bez trudu - gdyby nie udawała, że śpi. Później zachowywał się cicho, tak cicho, że nie była już pewna, czy nadal tu jest. Ale nie mogła się poruszyć ani otworzyć oczu, żeby się o tym przekonać.

I słusznie, ponieważ w kilka godzin później opuścił w końcu pokój. Wtedy usłyszała go wyraźnie, słyszała także, jak wzdycha.

Rozluźniła się wraz z zamknięciem drzwi. Nawet sobie nie zdawała sprawy, jak bardzo była spięta przez cały czas, wiedziała też na pewno, że rano będzie z tego powodu rozbita. Ale, zamiast się odwrócić do ściany i spróbować w końcu zasnąć, udała się niemal bezwiednie w ślad za baronem. Nie od razu. Naprawdę nie chciała spotkać się z nim twarzą w twarz po tym przyprawiającym o rozstrój nerwowy, ciężkim doświadczeniu. A jednak minęła powoli garderobę, weszła do łazienki, aż przystanęła przy drzwiach prowadzących do jego pokoju, przykładając ucho do drewnianej powierzchni.

Minęło dziesięć minut, dwadzieścia. Rozbolało ją ucho. W pomieszczeniu panował chłód, nie docierało tu ciepło z kominka, a stojący w rogu przenośny piecyk był wyłączony. Dreszcze przebiegały po jej plecach. I wtedy

zrobiła coś, co mogło się okazać największym głupstwem na świecie, czymś, czego nigdy dotąd nie zrobiła ani też nie zamierzała zrobić. Otworzyła drzwi do jego pokoju.

Tłumaczyła sobie, iż chce się tylko upewnić, że udał się na spoczynek i już nie wróci do jej pokoju. A jednak, gdy ujrzała go leżącego w łóżku, podeszła bliżej, na przekór rozumowi, który ją ostrzegał, by tego nie robiła. Była jak zahipnotyzowana. Dorzucił dość drewna do ognia, było więc na tyle jasno, że mogła wyraźnie go widzieć. W pokoju było przy tym ciepło, co sprawiło, że nie od razu stąd wyszła. Tak przynajmniej się rozgrzeszała, stojąc przy jego łóżku i wpatrując się weń. To, że miał goły tors, nawet nieprzykryty pledem, nie miało z tym nic wspólnego. Był taki szeroki w piersi, porośniętej lekko włosami, które, ponieważ były czarne jak smoła, podobnie jak włosy na głowie, robiły wrażenie gęstszego zarostu. Patrzyła na ciało mężczyzny, który uprawia ćwiczenia fizyczne. Górną część ramion miał szeroką jak pień niedużego drzewa i nawet jego szyja była mocno umięśniona.

Brodę pokrywał ciemny zarost. Pewnie nie wystarcza mu jedno golenie dziennie. Jej ojciec miał podobny zarost, dlatego, jak większość mężczyzn, po prostu zapuścił brodę i troszczył się jedynie o to, żeby była zadbana. Zastanawiała się, dlaczego baron nie postąpił identycznie, zastanawiała się jeszcze nad wieloma związanymi z nim sprawami. Czy czuje się samotny, nie mając rodziny? Do kogo się zwraca, gdy potrzebuje przyjaciela? Czy upatrzył już sobie jakąś

dame, żeby założyć rodzinę? Kogoś, do kogo się już zaleca? Czy w ogóle myśli o tym, żeby pewnego dnia założyć rodzinę? Z pewnością. Ma tytuł, który musi przekazać. Czyż utytułowani dżentelmeni nie traktują tych spraw bardzo serio?

Oczywiście, nigdy go o nic takiego nie zapyta. W końcu byłaby to tylko zwykła ciekawość. Zastanawianie się nad życiową postawą mężczyzny, który wyrzucił ją z domu, a następnie zaproponował tymczasowe mieszkanie u siebie - i był przyczyną tak wielu niezwykłych doznań - nie było niczym dziwnym.

Poruszył się. Pomyślała nawet, że otworzył oczy, chociaż nie miała co do tego pewności. Tylko jej serce znowu nagle mocniej zabiło. Ukryła się za łóżkiem i ukucnęła na chwilę, która zdawała się trwać wieczność. Potem jeszcze, żeby nie znaleźć się w polu jego widzenia, wyczołgała się prawie na czworakach. Piekły ją policzki. Powoli przyszła do siebie. Wiedziała, że zachowała się głupio, bardzo głupio, i postanowiła już nigdy nie ryzykować.

Rozdział 8

Przez zamknięte podwójne drzwi dochodził stłumiony odgłos. Wystarczyło to jednak, żeby obudzić Larisę. Nie mogła dojść, co to za hałas, jednakże gdy z zaspanymi, na wpół widzącymi oczami zawędrowała do łazienki, zastała tam jednego z lokajów, klęczącego na podłodze pod drzwiami prowadzącymi do pokoju barona.

Obecność mężczyzny przeraziła ją do tego stopnia, że natychmiast oprzytomniała. Otwierając szeroko oczy, w ostatniej chwili stłumiła zdumiony okrzyk.

A po bliższym przyjrzeniu się zobaczyła narzędzia i zakładane w drzwiach zamki. Właśnie przy jednych z nich instalował gałkę, która upadła na marmurową posadzkę i była przyczyną hałasu, który ją obudził.

Lokaj rozplynął się w przeprosinach, tłumacząc z zakłopotaniem, że zamierzał to skończyć, nim ona wstanie, żeby jej nie przeszkadzać. Zaiste, wejście do środka i zastanie w łazience mężczyzny to sytuacja dość kłopotliwa, choć byłoby gorzej, gdyby na jego miejscu zastała barona.

Zarządzająca domem gospodyni, która nadzorowała pracę, znajdowała się po drugiej strony

drzwi, w sypialni barona. Zaznaczyła swoją obecność, przywołując lokaja i wyprowadzając go na pewien czas.

Rzuciła na odchodnym uwagę, którą chciała rozwiać wszelkie wątpliwości, albo taki miała zamiar:

- Dokończy swoją pracę, kiedy zejdzie panienka na lunch.

Baron nie zdawał sobie sprawy, że te drzwi nie mają zamków. Ja również o tym nie pomyślałam. Oczywiście, nie byłoby w tym nic złego, gdyby ten pokój zajmowała żona, ale nie w sytuacji, gdy chodzi o gościa. No cóż, sama panienka rozumie...

Brak zamków stanowił prawdopodobnie główną przyczynę, dla której nie mogła tej nocy zasnąć. Teraz to do niej dotarło. Próbowала zamknąć drzwi, gdy tylko znalazła się wczoraj wieczorem w swoim pokoju, żeby nie czuć się tak bardzo nieswojo, przebywając pod cudzym dachem - z bardzo uzasadnionego powodu, jak się okazało.

Ale skoro baron zakłada zamki, warto by się zastanowić, co tak naprawdę zdarzyło się tej nocy. Sądziła, że to on wszedł do jej pokoju, ale przecież ani razu nie otworzyła oczu, żeby się upewnić. A jeżeli nie on, to kto?

Któraś z nowych służących, które jeszcze nie zostały sprawdzone? Baron dość się tym niepokoił, skoro zamknął jej biżuterię w sejfie. Jedna z nich mogła próbować okraść ją w nocy, ale Nie czmychnęła w porę, kiedy Larissa przyszła się położyć. Nieuczciwa pokojówka mogła się schować w garderobie, żeby

poczekać, aż ona zaśnie, po czym wymknąć się stamtąd. Złodziejkę mógł sparaliżować strach - jeśli zorientowała się, iż Larissa nie śpi. Ale przecież nie poruszyła się ani razu, udając sen. Pokojówka mogła wpaść w panikę i nadstuchiwać, że Larissa wyda jakiś najdrobniejszy dźwięk, ale się tego nie doczekała.

Przy otwieraniu drzwi do holu mogłoby wpaść do środka trochę światła. Wtedy, gdyby Larissa nie spała, najprawdopodobniej podniosłaby krzyk, tak pewnie myślała służąca. Takie tłumaczenie było znacznie łatwiejsze do przyjęcia, bardziej realistyczne niż to, że baron stał przez całe godziny przy jej łóżku, obserwował ją we śnie, jak przypuszczała na początku.

Wreszcie złodziejka dała za wygraną, wydając to westchnienie, które usłyszała Larissa, i wróciła do garderoby, żeby się tam ukryć na resztę nocy, gdyż Larissa nie poruszyła się na tyle, by dziewczyna uznała, że może uciec, nie zostawszy zauważona. A jednak umożliwiła złodziejce ucieczkę, kiedy, wkrótce potem, weszła do łazienki i zaciąła się pod drzwiami barona. Wtedy pokojówka mogła bez trudu wymknąć się z jej pokoju. Larissa nie mogła jej słyszeć. Wsłuchiwała się w odgłosy po drugiej stronie drzwi.

Dobry Boże, przecież baron mógł ją zobaczyć, i stąd te zakładane od rana zamki. Przecież przez cały czas był w swoim pokoju. To tylko ona okazała się intruzem, bez żadnego powodu, w każdym razie z jego punktu widzenia.

Larissa jęknęła i zanurzyła twarz w dłoniach. Nigdy nie wyjdzie z tego pokoju. Nie, nie powinna tutaj zostać, przecież tak naprawdę to nie był jej pokój. Ale też nigdy już więcej nie spojrzy baronowi w twarz. Nie mogłaby. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła takiego wstydu i zakłopotania.

Opuści ten dom. Musi to zrobić. Okazał się na tyle uprzejmy, że nie nalegał na to osobiście, zamiast tego kazał założyć zamki. Po prostu nie może tu teraz zostać i ryzykować, że go znowu spotka. Co on o niej pomyślał! Jakież to upokarzające. Znowu jęknęła. Żeby opuścić ten dom, musi się jednak z nim zobaczyć. Zatrzymał w sejfie jej biżuterię. Ma także adres magazynu, gdzie zostały złożone resztki ich dobytku. Nie obejdzie się więc bez rozmowy z nim. A skoro tak, musi mu wytłumaczyć, co zdarzyło. Czy zawsze tak bardzo wszystkiego się bała? Chyba nie. Ale to mijanie się z prawdą, konieczność udzielania pokrętnych odpowiedzi doprowadziły ją do takiego stanu. Gdyby wcześniej sprzedała biżuterię albo gdyby zaczęła sprzedawać meble, miałyby trochę pieniędzy, dzięki czemu mogliby zamieszkać w hotelu, gdzie zastanowiłaby się, co robić dalej, zamiast sprowadzać się tutaj.

Zapytała pierwszą napotkaną służącą, gdzie może zastać barona, i została poprowadzona do gabinetu na dole. Powiedziano jej, że tam właśnie najczęściej można go zastać rano, po powrocie z konnej przejażdżki, rzadziej zaś po południu, kiedy załatwia służbowe i towarzyskie rozmowy telefoniczne w innym miejscu.

Dzisiaj jednak zrobił wyjątek. Prawdę mówiąc, nie przysłuchiwała się paplaninie służącej, która ją do niego prowadziła. Już na samą myśl o spotkaniu z lordem Everettem płonęły jej policzki. Prawie na siłę stawiała jedną nogę przed drugą, żeby w końcu znaleźć się przed jego obliczem. Był to gustownie urządzonej gabinet, funkcjonalny, z fotelami, które bardziej służyły wygodzie niż stronie użytkowej, tak aby każdy, kto tu zajrzy, czuł się swobodnie - każdy z wyjątkiem jej.

Palilo się kilka lamp, ponieważ dzień był raczej mroczny i ciemny, z krótkotrwałymi, ale regularnie pojawiającymi się opadami śniegu. Różowe klosze lamp pasowały nieźle do ciemnoczerwonych draperii. Starła się patrzeć na wszystko, tylko nie na niego, ale nie trwało to długo.

Siedział za dużym biurkiem. Czytał gazetę. Nie podniósł wzroku. To było chyba coś więcej niż odbicie lampy na biurku obok niego, z jej różowym abażurem, co sprawiało, że jego policzki stały się równie różowe jak jej. Łudzenie się, że i on jest zakłopotany, mogło być jedynie pobożnym życzeniem.

- Ktoś był tej nocy w moim pokoju. Pomyślałam, że to pan, ale pan spał.

Wyrzuciła to z siebie - i zbyt późno zdała sobie sprawę, że tym samym przyznaje się, iż weszła do jego pokoju w środku nocy. Skąd bowiem mogłaby wiedzieć, że spał? Jeżeli nawet nie wiedział o tym najściu, teraz się dowiedział.

- To mogłem być ja.

Dopiero gdy po kilku długich chwilach stwierdzenie to utorowało sobie drogę do jej świadomości i przebiło się przez warstwę zażenowania, skonfundowana, zamrugła oczami.

- Przepraszam? Słowo "mogłem" zakłada, że nie jest pan pewien. Jak to jest możliwe?

- Nigdy nie myślałem, że to robię, tymczasem okazało się, że od czasu do czasu spaceruję we śnie. To nie zdarza się często. Podobno też nie wędruję daleko. Gdyby tak było, musiałbym rozważyć ewentualność zamykania się na noc, czego bym raczej nie chciał. Ale ponieważ może się zdarzyć, że podczas jednego z tych dziwnych "wypadów" zawędruję do pani pokoju, kazałem założyć zamki, żeby nie stwarzać precedensu.

Całą winę bierze na siebie, chociaż nie ma ku temu powodu. To wyjaśnienie przyniosło Larissie ulgę. Odeszło zakłopotanie. Nie widział jej, a pokój jest teraz chroniony ze wszystkich stron. Czy będzie w środku, czy też nie, nie musi się więc już także bać złodziei. Usunął przyczynę, dla której postanowiła opuścić ten dom.

Nadal jednak uważała, że powinna się wyprowadzić. Coś było nie tak z jej uczuciami wobec barona. Powinna nim gardzić, a tymczasem pojawiło się coś więcej. Już chciała powiedzieć, że natychmiast zacznie się rozglądać za innym lokum. Ale wtedy pomyślała o bracie i o nowym lekarzu, który badał go wczoraj, zapewniając ją, że będzie zdrow, i to w niecały tydzień - jeżeli będzie kontynuować zalecenia dotyczące rekonwalescencji. Podkreślił też, kilkakrotnie, tak samo

zresztą jak ich własny lekarz, że Thomas musi za wszelką cenę unikać przeciągów i chłodu, żeby nie dopuścić do nawrotu choroby. Przez te wszystkie nieszczęścia i zgryzoty zupełnie o tym zapomniała, co tym bardziej dowodzi, że powinni opuścić dom barona. Zwykle brat tak bardzo zaprzętał jej uwagę i myśli, że zapominała o innych sprawach.

Poczekaj więc jeszcze najwyżej tydzień, dopóki brat w pełni nie wyzdrowieje. Ale do tego czasu postara się znaleźć dom aukcyjny, który jej pomoże pozbyć się co cenniejszych rzeczy, a także jubilera, który zaoferuje godziwą cenę za perły matki. W ten sposób przestanie być zależna od powrotu ojca, przestanie też czekać, że doprowadzi ich sprawy do ładu, skoro, z czym musiała się wreszcie pogodzić, ojciec może nigdy nie wrócić do domu. Zamierzała również rozejrzeć się za pracą, z której utrzymałaby siebie i Thomasa. Nie mogą bowiem liczyć na liczne aktywa ojca, do czasu oficjalnego uznania go za... Nawet w myśli nie mogła dokończyć zdania. Nie wiedziała też, jak długo to wszystko potrwa. Szybkie spojrzenie przez okno uświadomiło jej, że jest już raczej za późno na zaczynanie czegokolwiek tego dnia, nie była to też odpowiednia pogoda na wędrowanie po Londynie, gdy śnieg, który zaczął sypać wczoraj wieczorem, pojawiał się co jakiś czas i nie zachęcał do wyjścia. Brakuje tylko, żeby i ona się przeziębila i została przykuta do łóżka. A zatem jutro rano - o ile uda się jej normalnie przespać noc.

Teraz jak najszybciej chciała stąd odejść.

- Przepraszam za kłopot. Już wychodzę i zostawiam pana z jego lekturą. Bardzo dziękuję za pomyślenie o zamkach.

- Proszę nie odchodzić.

Rozdział 9

To "proszę nie odchodzić", wypowiedziane przez lorda Everetta, było czymś niebywałym, a nawet szokującym w sytuacji, gdy Larissa rozważała akurat możliwość wyprowadzenia się z jego domu. Dopiero po chwili dotarło do niej, że ma raczej na myśli gabinet niż swój dom. Niemniej zabrzmiało to jak prośba, a ton jego głosu był prawie zdesperowany, stąd więc jej reakcja.

Był samotny. Teraz zyskała pewność. A przecież nie powinna się tym przejmować. W końcu jest dla niej nikim; nie, gorzej, jest zasługującym na pogardę, wyrzucającym nieszczęśników na bruk właścicielem nieruchomości. Niestety, jej serce, jak zawsze wrażliwe i czułe, nie przyjmowało tego do wiadomości. Naprawdę martwiła ją jego samotność; do żywego poruszała jej współczującą naturę.

Spojrzała na niego znowu, uniosła w zdumieniu brwi, chcąc go zmusić do precyzyjniejszych wyjaśnień. To, jak się wydaje, wprawiło go w zakłopotanie. Szukał powodu, dla którego ją tutaj zatrzymał, i nie znajdował żadnego. Kiedy poprosił, żeby została, kierował się impulsem, no i za bardzo się odsłonił. Litując się nad nim,

podeszła do okna, dając mu więcej czasu na odnalezienie jego "powodu".

Spodziewała się, że usłyszy jakiś banał, ale ją zaskoczył, zmusił nawet do ponownego przemyślenia wniosku na temat jego samotności, co ją nawet ucieszyło. Przecież nie chciała mu współczuć.

Na pewno nie poruszyłby z nią tego tematu, mogło mu się po prostu tylko coś wymknąć i sprawić, że wysnuła niewłaściwy wniosek. Wiedział jednak, że chciał coś powiedzieć, poprosił ją, żeby została, a teraz nie mógł sobie przypomnieć, o co mu chodziło.

Każdemu może się zdarzyć. A to, że ona wywnioskowała, iż jest samotny - na podstawie tego, że na chwilę zapomniał, jaką ma do niej sprawę - było raczej pochopte z jej strony. Czyżby znowu pobożne życzenie? Co za absurd! Wystarczy tylko, żeby przestała snuć domysły na jego temat.

- Czy mój lekarz zajął się wczoraj pani bratem? - Oto pytanie, które mu wypadło z pamięci.

- Tak.

- To dobrze. Chciałem się upewnić, że moja służba nie zajęła mu zbyt wiele czasu i że zdążył obejrzeć wszystkich, którzy tego potrzebowali, ale on wyszedł, zanim miałem okazję z nim porozmawiać.

Uśmiechnęła się.

- Nie, zdaje się wspomniał, że Thomas był jego pierwszym pacjentem tego dnia.

- Czy chłopiec ma się lepiej?

- Wraca do zdrowia, chociaż jeszcze przez jakiś tydzień pozostanie w łóżku.

- Musiał to źle przyjąć.

- Ach, więc pamięta pan, jakim nieszczęściem był przymusowy pobyt w łóżku w tym wieku?

Było to zupełnie naturalne pytanie po uczynionej przez niego uwadze. Sprawilo jednak, że natychmiast na jego czole pojawila się zmarszczka, czego absolutnie nie mogła przewidzieć. Postanowila jednak o nic nie pytać. Im mniej o nim wie, tym lepiej dla niej, nie miała co do tego wątpliwości.

Ciągnęła tak, jakby zupełnie nie wzbudził jej ciekawości:

- Istotnie Tommy nie znosi leżenia w łóżku. Jeszcze nigdy tak nie chorował, a w każdym razie na nic, co wymagałoby bardzo długiej rekonwalescencji. Staram się więc umilić mu czas i przebywam z nim najdłużej, jak mogę. Musieliśmy także odprawić jego nauczyciela, więc staram się wypełniać tę lukę. Chociaż Tommy, nie mając nic lepszego do zrobienia, uczynił tak wielkie postępy w nauce, że praktycznie nie muszę się o to martwić.

- Inteligentny chłopiec?

Zmarszczka między jego brwiami przemknęła i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, pomyślała nawet, że może tak jej się tylko wydawało.

- Bardzo. Z tego powodu pobierał nauki w domu. Dyrektor jego ostatniej szkoły nie wyraził zgody na przesunięcie go do starszej grupy, chociaż w programie nie ma nic, czego Tommy by już nie wiedział.

- Takie decyzje nie zawsze są podejmowane z czysto akademickich powodów.

- Zdajemy sobie sprawę z tego, że jeśli Tommy rozpocznie w zbyt wczesnym wieku naukę w gimnazjum, mogą go spotkać przykrości ze strony kolegów. Jest to naturalne, ponieważ sposób myślenia Tommy'ego jest zbyt dojrzały jak na dziecko. Być może przez kilka lat, zanim w stosownym wieku pójdzie do gimnazjum, będzie się uczył z ojcem - taki przynajmniej był...

Nie mogła dokończyć, wiedziała jednak, że musi dopuścić do świadomości fakt, iż ojca może już nie być w przyszłości. Podobnie nigdy dotąd nie zastanawiała się, co, w razie przedłużającej się nieobecności, stanie się z jego firmą.

Dopóki ojciec nie zostanie oficjalnie uznany za zmarłego, przedsiębiorstwo morskie nie zostanie jej przekazane - o ile do tego czasu nie zbankrutuje. Nie mogłaby go sama prowadzić, nie miała ku temu odpowiedniego przygotowania. Thomas jest jeszcze za młody, żeby przejąć firmę. A rachmistrz, któremu powierzono prowadzenie jej, także nie może tego kontynuować w nieskończoność i podejmować decyzji, które wykraczają poza jego kompetencje.

- Taki był plan? - odgadł baron, nieskłonny do zmiany tematu.

- Zanim co?

- Zanim zaczęły krążyć plotki, że mój ojciec nie wróci.

Zapadła krótka cisza, podczas której w jej oczach zalśniły łzy, których nie mógł nie zauważyć.

- Czyżby pani sądziła, że on nie żyje?

- Nie!

Ile w tym było przesady! Ile rozpaczy! Oczywiście kłamstwo, które wołał przemilczeć.

- Jest wiele powodów, które go mogły zatrzymać, ale żaden nie upoważnia do tak strasznych przypuszczeń - powiedział. - Odczuła pani na własnej skórze niewygody związane z jego przedłużającym się powrotem, ale to nie powód, by przypuszczać, że to coś więcej niżli spóźnienie.

Przy słowie "niewygody" omal nie wybuchnęła gorzkim śmiechem. Czyż postrzegał eksmisję tylko jako niewygodę dla lokatora? A jednak, zauważyła, starał się umocnić jej nadzieję, którą ona ostatecznie straciła. Chętnie by zaczerpnęła od niego trochę optymizmu, ale co by to dało! I tak trwała w nim długo, ale teraz wszystko się skończyło.

Nie mogła już dłużej z nim rozmawiać. Jeszcze chwila, a udławi się tkwiącą w gardle kulą. Ale też nie było nic więcej do powiedzenia. Odpowiedziała już przecież na pytanie o powód, dla którego ją tutaj zatrzymał.

I wtedy spojrzała na niego. To był błąd. Powinna stąd wyjść, dopóki jeszcze ma choć trochę rozumu w głowie. Mogłaby się zdobyć na kilka pożegnalnych słów. Ale patrząc na niego, ujrzała niepokój i troskę w tych złocistych oczach, z czego prawdopodobnie nie zdawał

sobie sprawy, i rozplakała się. Nie mogła się powstrzymać. Nie panowała nad sobą.

Droga od okna do drzwi była długa. Nie zdążyła jej przebyć, gdy jego dłoń znalazła się na jej ramieniu, zatrzymując ją, a następnie przygarniając blisko.

Tego właśnie potrzebowała od wielu tygodni - ramienia, na którym mogłaby się wypłakać. Fakt, że było to ramię osoby, która przysporzyła jej tych wszystkich zmartwień, nie miał znaczenia. Trzymał ją blisko i mocno, jakby on także uległ emocjom.

Oczywiście, że nie. Starał się ją tylko pocieszyć i prawdopodobnie nie wiedział, jak to zrobić, prawdopodobnie był zupełnie nieprzyzwyczajony do rozklejających się na jego oczach kobiet.

To było pocieszenie - jego otaczające ramiona, mocna klatka piersiowa, na której można złożyć głowę, wszystko to tak miłe, że nie mogła oderwać się od niego. Ale kiedy łyzy zaczęły wysychać, świadomość jego obecności zaczęła do niej docierać w inny sposób, sposób, który ją zaniepokoił i wzburzył. Szybko się cofnęła, wyrывая się z jego gorącego uścisku.

- Dziękuję, już jest mi lepiej.

Nie było jej lepiej, ale tak wypadało powiedzieć. Niestety, był zbyt spostrzegawczy, a także bezceremonialny, żeby jej tego nie wytknąć.

- Nie sądę.

Naprawdę czuła się już dobrze, przynajmniej w tej chwili. Teraz drżała z zupełnie innego powodu. I bała się spojrzeć mu w oczy, żeby nie zobaczyć, co się w nich

teraz maluje. Podejrzewała, że ryzyko byłoby ogromne, gdyby zdała się na ten rozpalony ogień, jeżeli jeszcze w nich był. Czuła się zbyt słaba w tej chwili, by stawić temu czoło.

Więc odwróciła się w stronę otwartych drzwi i dopiero kiedy je minęła, powiedziała:

- Będzie lepiej.

Można by dyskutować, czy słyszał to, czy nie, albo czy miałby ochotę temu zaprzeczać. Nie dała mu po temu szansy, szybko biegnąc do swojego pokoju.

Rozdział 10

Larissa jadła kolację sama. Kiedy wczoraj zeszła do jadalni, dowiedziała się, że baron nie spędza zwykle wieczorów w domu.

To zrozumiałe, że człowiek o jego pozycji udziela się towarzysko i bywa na wytwornych imprezach, zwłaszcza w okresie jednego z najważniejszych sezonów towarzyskich, który właśnie rozkręcił się na dobre. Rzadko więc jadał w domu, co odebrała jako dobrą nowinę.

Dlatego zeszła tego wieczoru na dół. Spodziewała się, że i dzisiaj go tutaj nie spotka. Poza tym nie znajdowała powodu, żeby prosić o podawanie posiłków do pokoju, byłoby więc niegrzeczne, gdyby to zrobiła.

A jednak dołączył do niej. Kiedy nieoczekiwanie wszedł do jadalni i uklonił się grzecznie, zajmując miejsce naprzeciwko niej, była całkowicie zbita z tropu i zmieszana. Zakłopotanie Larissy stało się tym większe, że przecież tego popołudnia widział jej łzy. To potworne, że nie potrafiła się wtedy opanować i sprawiła tyle kłopotu. Nie uczynił jednak żadnej aluzji na ten temat, za co była mu bardzo wdzięczna. Powiedział kilka słów do służącego, który nalał mu wina. Sama wcześniej

odmówiła, zwykle bowiem nie pijała do kolacji, ale teraz przywołała służącego wzrokiem, dając znać, że zmieniała zamiar. Potrzebowała czegoś, czegokolwiek, co by pomogło jej przebrnąć przez ten posiłek, skoro już nie jest sama.

Panujące między nimi milczenie samo w sobie było kłopotliwe. Wypadałoby, żeby ze sobą porozmawiali. Tak nakazywało dobre wychowanie. Powinna oczywiście zdobyć się na jakąś normalną konwersację, nie wzbudzającą żywszych emocji. A miała jeszcze świeżo w pamięci prośbę Thomasa. Dzisiaj zapytał ją znowu o możliwość dodania ich zabawek i ozdób na choinkę barona. Nie chciała zostać tutaj na Boże Narodzenie, miała nadzieję, że do tego czasu znajdzie inne mieszkanie, ale nie powiedziała o tym Thomasowi. Więc gdyby w odpowiednim czasie nie znalazła nic stosownego, chcąc nie chcąc, musiała poruszyć ten temat.

W końcu chodziło tylko o zwykłą prośbę. Nie wyobrażała sobie, żeby baron mógł im tego odmówić. Oto temat do konwersacji!

W samą porę, ponieważ od przedłużającego się milczenia zaczynały ją palić policzki.

- Zauważyłam, że nie ma pan jeszcze choinki na Boże Narodzenie. Kiedy pan ją zwykle ubiera? - zapytała.

- Nie ubieram - odpowiedział zwyczajnie, rozsiadając się wygodnie z kieliszkiem wina w ręku i zamieniając się w słuch.

Powinna się była tego domyślić. Wprost trudno go sobie wyobrazić przy tak odświętnej czynności. Z pewnością

pozostawiał to zadanie służbie, po czym przychodził na gotowe.

Zadała więc pytanie w okrężny sposób:

- Ale kiedy jest zwykle ubierana?

- W ogóle nie jest - odparł tym razem.

Była tak zdumiona, że nie mogła tego ukryć.

- Chce pan powiedzieć, że nie miewa pan drzewka
- w ogóle?

Uniósł brew.

- Dlaczego tak panią niepokoi ten fakt?

- Ponieważ osobiście nigdy nie spędzałam Bożego Narodzenia bez drzewka. Sądziłam, że wszyscy... A jak pan obchodził Boże Narodzenie jako dziecko?

- Nie obchodziłem.

Pomyślała o swoich licznych świątecznych doświadczeniach z dzieciństwa, o śmiechu i zabawie przy ozdabianiu choinki, o podnieceniu, gdy gromadziły się pod nią prezenty... Wprost nie mieściło się w głowie, że on nigdy tego nie zaznał.

- Pan jest Anglikiem, prawda?

Roześmiał się. Prawdę mówiąc, nie widziała w tym nic śmiesznego. Thomas nie mógł się doczekać, żeby udekorować drzewko swoimi własnymi, artystycznie wykonanymi ozdobami. Musi mieć drzewko, nawet gdyby miała wyjść na dwór i osobiście je ściąć.

- Prawdziwym Anglikiem - odpowiedział, gdy jego śmiech powoli zamienił się w uśmiech. - Po prostu nie miałem nigdy z kim dzielić świąt.

Zawstydziała się.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że został pan osierocony w tak młodym wieku.

- Nie zostałem - powiedział, wzruszając ramieniem.

- Moi rodzice umarli, gdy byłem już po dwudziestce.

Larissa popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Jego rodzina musiała być po prostu dziwna.

Gdyby nie był kawalerem, żona nalegałaby na drzewko. Z tą myślą zapytała:

- Dlaczego pan się jeszcze nie ożenił?

To przez to wino. Gdyby nie wypić duszkiem pierwszego kieliszka i nie zaczęła już drugiego, nigdy nie zadałaby tak osobistego pytania, nie postawiłaby go też tak bezceremonialnie. Z jednej strony wolałaby, żeby lokaj z butelką wina odszedł. Z drugiej zaś, w tej sytuacji, lepiej było, żeby raczej stał bliżej, nie zaś w drugim końcu jadalni, gdzie nic nie słyszał.

Tymczasem baron nie obraził się na nią. Nawet jej odpowiedział:

- Żeby się ożenić, musiałbym jeszcze znaleźć ważny ku temu powód.

Za tak osobiste pytanie powinna go przeprosić, zamiast dalej drażnić:

- Ma pan przecież tytuł do przekazania.

- Tytuł mojego ojca? Gardzę nim, dlategoż więc miałoby mi zależeć na zachowaniu tytułu?

- Jest pan bardzo surowy - zareplikowała. - Z pewnością tak nie jest.

- Ma pani rację. Nienawiść nie trwała dłużej niż parę lat. Potem górę wzięła obojętność.

- Czy pan mówi poważnie, czy żartuje? Nie znam nikogo, kto nie kocha swoich rodziców.

Chyba to jej szczere zdumienie sprawiło, że zaśmiał się cicho.

- Żyła pani pod kloszem, Larisso. Nigdy nie poznała pani nikogo, kto nie miał bożonarodzeniowego drzewka. Czy mam pani opowiedzieć, jak łatwo może się coś takiego zdarzyć?

Powinna była powiedzieć "nie". Im więcej dowie się o nim, tym trudniej będzie jej zachować spokój umysłu i duszy, była tego pewna...

- Tak.

Zanim zaczął, dopił swoje wino.

- Wychowałem się w rodzinnym majątku w Lincolnshire, dokąd po śmierci rodziców nigdy nie wróciłem.

- Dlaczego?

- Ponieważ pozostało mi stamtąd jedynie uczucie nierównych szans oraz wspomnienia, które się na to złożyły.

Nagle zmieniła zamiar.

- Nie musi pan powracać do tych wspomnień.

- Nic nie szkodzi - przerwał jej. - Proszę mi wierzyć - te uczucia już minęły. Prawdę mówiąc, nie żywię żadnych uczuć, gdy chodzi o moich rodziców. Byli towarzyskimi motylami. Spełnili swoją powinność, wydając na świat wymaganego spadkobiercę, czyli mnie, a następnie udawali, że zapomnieli o moim istnieniu.

Moim wychowaniem zajmowała się służba. Ze wszech miar typowe i normalne zjawisko w tej sferze.

Uznała, że mówi prawdę, choć nie tak "normalną", jak to sugerował. Nie tłumaczyło to także powodu, dla którego nienawidził rodziców, ale nie poruszyła tego wątku, ponieważ on ciągnął dalej:

- Mój brat, Albert, przyszedł na świat parę lat po mnie, był nieplanowanym dzieckiem, naprawdę niechcianym, i również przekazany służbie na wychowanie. Było to konsekwentne postępowanie, więc jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że moi rodzice po prostu nie lubią dzieci, a przynajmniej nie mają dla nich czasu. W końcu przebywali stale poza domem, więc żaden z nas nie był w efekcie ignorowany, byliśmy raczej - zapomnieni. Przez krótki czas moje stosunki z Albertem były nawet zażyłe, dopóki go nie zabrali.

- Zabrali?

- Ze sobą. Otóż, gdy miał cztery lata, stał się ich "nadwornym błaznem". Osobiście zawsze za takiego go uważałem. Przystawał być sobą, żeby zabawiać ludzi - i odnosił w tym sukcesy. Był w tym naprawdę całkiem dobry. Podczas gdy ja nie miałem takich zdolności. Byłem zbyt poważny, zachowywałem rezerwę. Jeżeli nawet jako dziecku zdarzyło mi się śmiać, to moja pamięć nie odnotowała tego faktu. Podczas jednej z rzadkich wizyt rodzice odkryli jego talent. Zaprosili do domu gości. Towarzystwo bawiło się głównie dzięki żartom Alberta. Był zabawny. Nagle moi rodzice uznali, że może być

ozdobą ich życia towarzyskiego i że warto spędzać z nim czas, więc, oczywiście, musiał podróżować razem z nimi.

- A pan nie - powiedziała spokojnym tonem, nie w formie pytania, lecz jako oczywiste podsumowanie.

- Nie, naturalnie, że nie, byłem spadkobiercą i już zacząłem pobierać nauki. No i nie umiałem być zabawny. W końcu jednak przywieźli Alberta do domu, ponieważ i on musiał zacząć szkołę. Wówczas znacznie częściej nas odwiedzali, pozostawali nawet przez parę miesięcy. Przecież brakowało im Alberta. A gdy pojawiała się przerwa w nauce, zabierali go ze sobą.

- Na święta - odgadła, takie święta jak Boże Narodzenie.

- Tak.

Larissie zbierało się na płacz - za niego. Opowiedział to wszystko w tak trzeźwy i realistyczny sposób. Dzisiaj nic już to dla niego nie znaczyło. Ale, drogi lordzie, gdy byłeś dzieckiem, musiało cię boleć, kiedy twój brat pławił się w nadmiarze dbałości i troski, podczas gdy ty nie dostałeś nic. Wspomniałeś o nierównych szansach. Tak to musiałeś odbierać, musiałeś czuć się odrzucony, niechciany...

A jednak rozpląkała się, nie mogła powstrzymać łez, chociaż się starała. Na szczęście były to ciche łzy, które mogła szybko zetrzeć, zanim je zauważył - albo udawał, że nie zauważa. Prawdopodobnie nie zachwyciłoby go, gdyby i teraz musiał ją pocieszać.

Nie chciała, by wiązał te łzy z czymś, co mogło mieć związek z jego osobą. Przecież ledwo się znali.

Niechby raczej uznał, że ona wspomina swojego ojca - gdyby zauważył nowe łzy.

Idiotyczne, idiotyczne uczucie, kiedy się płacze tak często w ciągu jednego dnia. Jest taki samotny - potrzebuje więc kogoś, kto nim się zajmie.

- A zatem, jak pani widzi, nigdy nie obchodziłem Bożego Narodzenia - zakończył.

To prawda, przekonał ją, i znowu omal się nie rozpląkała. Widząc - na przykładzie barona - w jakim stopniu można stwardnieć i zobojętnieć, postanowiła poważnie popracować nad swoją własną emocjonalną słabością. A ponieważ jej aktualny problem również nie został rozwiązany, napomknęła o nim.

- Mój brat wychował się w bardziej... tradycyjny sposób.

Popatrzył na nią i unióśł brew.

- Chce pani przez to powiedzieć, że zamierza świętować Boże Narodzenie tutaj?

- Oczywiście, jeżeli tylko tutaj zostanę.

- I w tym celu potrzebne będzie drzewko?

Skinęła głową.

- Tak.

- Nie widzę zatem przeszkód. Nie chciałbym, żeby chłopiec został pozbawiony czegoś, do czego jest przyzwyczajony.

- Dziękuję. Postawimy je na górze, w jego pokoju, gdyby panu przeszkadzało na dole, w saloniku.

- Nonsens, skoro już drzewko ma się pojawić, niechaj wszystko będzie tak jak należy.

- Potrzebne też będą nasze ozdoby choinkowe. Są złożone na strychu...

- Każę je stamtąd przynieść.

- Jest pan bardzo łaskawy.

Wybuchnął śmiechem.

- Nie, moja droga Larisso, można o mnie powiedzieć wiele różnych rzeczy, ale słowo "łaskawy" w żadnej mierze nie pasuje do mojej osoby.

Rozdział 11

O wyjściu Larissy z domu Vincent dowiedział się już po fakcie. Pozostał jednak jej brat, podobnie jak jej ubrania, nie było zatem powodu, żeby wpadać w panikę. Nie ulegało wątpliwości, że ma zamiar wrócić. A jednak był zły. Chciał posunąć dzisiaj sprawy naprzód i przyspieszyć tempo zdobycia jej.

Wczorajszy postęp był zbyt znaczny, żeby miał tego nie wykorzystać, zanim wszystko się rozwieje. Przebywając w jego gabinecie, pokazała, jak bardzo jest słaba i nieodporna i że przeciągająca się nieobecność ojca wywoływała w niej coś więcej niż tylko troskę i zmartwienie. Była smutna i gotowa przyjąć pocieszenie, a pocieszenie może przybrać różne formy.

Ofiarował jej wczoraj najprostszą jego formę, wcale niełatwą dla siebie, gdy tak ją trzymał, czując jej drżące ciało, a następnie pozwolił jej odejść. Jakże naturalnie poddała się jego uściskowi! Tego akurat potrzebowała. On zaś nigdy przedtem nie doświadczył takiej harmonii.

Jej łzy i smutek były autentyczne. Nie wątpił w to ani przez chwilę. Jednak nie uważał, żeby były konieczne, i dlatego nie za bardzo go poruszyły. Miała podstawy, by wątpić w powrót ojca, przeciwnie niż on. Wiedział, że

czasu ma niewiele, że musi Larissę jak najszybciej uwieść, zanim Ascot wróci i ją zabierze.

Gdyby uważał, że jest inaczej... no cóż, dalsze szukanie zemsty straciłoby sens. Uwiedzenie córki ma być ostatnim aktem wyrównania rachunku z Ascotem, najpotężniejszym ciosem, jaki może mu zadać. Gdyby jej ojciec nie żył, plan Vincenta tylko by ją zranił - o czym wolał nie myśleć. I nie dlatego, by uważał, że nie znajdzie sobie w końcu męża. Jest zbyt piękna, żeby pozostała w stanie panińskim - kolejna myśl, którą od siebie odsuwał.

To bardzo niedobrze, że jej ojciec okazał się tak podstępny łajdakiem. Tym dziwniejszy wydaje się fakt, że wychował tak wrażliwą i troskliwą córkę. Czy chłopiec jest podobny, czy też był to wpływ nieżyjącej matki? Doniesiono mu, że umarła podczas drugiego porodu. Ale Larissa pozostawała pod jej opieką przez osiem lat, dostatecznie długo, żeby rozwinąć lepsze i delikatniejsze strony swojej płci.

Wczoraj wieczorem okazała mu tyle współczucia. Nigdy nie pomyślał, jak bardzo żalosne i godne ubolewania może się okazać jego dzieciństwo, gdy spojrzy się na nie oczami drugiej osoby. Takie było jego życie, ale już dawno zamknął tę kartę. Nawet mówienie o tym nie wywoływało w nim dawnego uczucia bólu i samotności, które, żeby przetrwać, musiał głęboko ukryć. Ale ona dostrzegła to wszystko i zapłakała - za niego.

To, co jej opowiedział, było prawdą, ale w skróconej wersji. Nie przyznałby się przed nikim, ile nocy

przeplakał, gdy jako dziecko nie mógł zasnąć, nie powiedziałby też o udręce, jaką przeżywał, winiąc siebie za brak miłości rodziców, ani też o cierpieniu, gdy stał samotnie przy oknie i widział ich odjeżdżających razem z Albertem, porzucających go. O niecierpliwości, jakiej doświadczał z ich strony, ilekroć mieli z nim do czynienia i jak najszybciej chcieli się go pozbyć, by kontynuować o wiele ciekawsze zajęcia. O tym, że nikt go nigdy nie objął ani nie dotknął czule, nawet matka.

Obecnie nie miało to dla Vincenta żadnego znaczenia, nawet by tego nie chciał. Miał teraz zatwardziałe i pozbawione uczuć serce - i była to jego samoobrona. Ale to, że Larissa popłakała się, pomimo wielkiej goryczy, jaką odczuwała z jego powodu, zdziwiło go niepomierne.

Zrobił, co mógł, żeby nie zwracać uwagi na jej łzy, nie chciał bowiem, żeby przyjęła pozycję obronną, co mogłoby zniszczyć efekt, jaki wywarła na niej jego smutna opowieść. Nie omieszka jednak wykorzystać sytuacji, a im prędzej to zrobi, tym lepiej - zanim dziewczyna zda sobie w pełni sprawę, dlaczego nie należy mu się od niej nawet odrobina współczucia.

Zirytował się więc, że jest nieosiągalna tego ranka. A kiedy minęło kilka godzin, a ona nadal nie wracała, zaczął się martwić. To nie mogła być zwykła przechadzka. Nie trwałaby tak długo. Musiała wyjść w jakimś celu. Ale przecież wyszła bez eskorty. Dla młodej kobiety, tak pięknej jak ona, Londyn nie jest odpowiednim miejscem, by po nim samotnie wędrować.

W końcu wysłał ludzi, żeby się za nią rozejrzeli. Kiedy i to nie przyniosło rezultatów, sam wyruszył na poszukiwanie. Dowiedział się u sąsiadów o jej starym adresie. Udał się do portu, do biura Ascota, które teraz było prawie opustoszałe, z jednym tylko rachmistrzem na posterunku. Powędrował nawet do magazynu, gdzie złożył jej dobytek, chociaż wiedział, że jest to bezcelowe, skoro nie znała jeszcze tego adresu, nie potrafił jednak wymyślić niczego mądrego.

Kiedy więc wrócił do domu, tylko po to, by się dowiedzieć, że jeszcze się nie pokazała, musiał pogodzić się z faktem, że nie panuje nad nerwami. Od razu też udał się na górę, do pokoju jej brata, co powinien był zrobić wcześniej. Jeżeli ktokolwiek mógł wiedzieć, dokąd wyszła i po co, to tylko jej brat.

Zastał chłopca w łóżku, opartego wysoko na poduszkach i czytającego ciężki tom greckiej mitologii, czego chyba nie robił z własnego wyboru, chociaż... nikogo tutaj przecież nie było, czyli że nikt go do niczego nie zmuszał. Czyżby poważnie traktował swoją naukę? A może jest po prostu taki inteligentny, że odczuwa wieczny głód wiedzy.

Te jego luźne myśli trawiły go nie dłużej niż sekundę, w tej chwili bowiem najważniejszy był własny głód wiedzy Vincenta - na temat Larissy.

- Gdzie jest twoja siostra?

Najpierw powinien był się przedstawić, pomyślał na widok obojętnego spojrzenia chłopca, i szybko zaczął naprawiać błąd:

- Jestem...

- Domyślam się, kim pan może być, lordzie Everett – przerwał Thomas, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy.
- A moje pytanie brzmi: czego pan sobie życzy od mojej siostry, że jest pan aż tak niespokojny?

- Jestem jak najbardziej spokojny.

Książka została odłożona na bok. Chłopiec nawet skrzyżował ramiona w sposób, który sugerował, że będzie czekać, dopóki nie usłyszy prawdziwej odpowiedzi. A jego spojrzenie wprawiało w zakłopotanie. Przez moment Vincent czuł się tak, jakby znajdował się raczej w obecności dziadka dziewczyny, nie zaś jej dziesięcioletniego brata.

Po chwili chłodno wyjaśnił:

- Ponieważ oboje przebywacie w moim domu, macie prawo liczyć na moją opiekę, innymi słowy, czuję się za was odpowiedzialny podczas waszego pobytu tutaj. Nie mogę jej jednak zapewnić bezpieczeństwa, skoro postanowiła samotnie wędrować po Londynie.

- Czy ona wie, że poczuwa się pan do odpowiedzialności za nią? - zapytał Thomas.

- Zakładam...

Chłopiec znowu mu przerwał.

- Gdy chodzi o Larisę, nie należy niczego zakładać.

- Niezależnie od wszystkiego nie ma jej już od wczesnych godzin rannych. Czy zwykle wychodzi do miasta bez opieki?

- Nie, ponieważ w ogóle rzadko wychodzi do miasta. Od czasu przeprowadzenia się do Londynu moja

siostra wiedzie dość pustelnicze życie. Nie zawsze tak było, przynajmniej nie w Portsmouth.

Sądę, że duże miasto ją onieśmiela.

- Po diabła więc wyszła sama? - Na to pytanie chłopiec wzruszył jedynie ramionami, zmuszając Vincenta do zadania precyzyjniejszego pytania. - Może domyślasz się, dokąd dzisiaj mogła się udać?

- Sądę, że po nasze zabawki na choinkę. Obawiam się, że trochę jej się naprzykrzałem...

Vincent przerwał mu niecierpliwie:

- Nie, powiedziałem jej, że każę je przynieść.

- To może do biura ojca?

- Nie, wasz rachmistrz powiedział, że tam nie zaglądała – odparł Vincent.

- Już jej pan szukał?

Pytaniu towarzyszyła uniesiona brew, która wyglądała dość dziwnie na twarzy dziesięciolatka. Ale wynikało z tego, że chłopiec wyciągnął właśnie wnioski z tej informacji, oczywiście fałszywe, ale świadczące o dociekliwości.

- Czyż nie wspomniałem przed chwilą o odpowiedzialności? - niemal warknął Vincent. - A może mi się tylko zdawało. To zrozumiałe, że uznałem za konieczne udać się na jej poszukiwanie, skoro gdzieś się wyniosła i nie wraca przez pół dnia.

- Czy pan wie, jak bardzo ma pan zaniepokojony głos, lordzie Everett? Czy do wszystkich swoich obowiązków podchodzi pan równie poważnie? Czy tylko gdy chodzi o moją siostrę?

Vincent westchnął i wyszedł z pokoju. Nigdy nie obcował z dziećmi, a już na pewno nie przywykł do obcowania z małym dorosłym pod postacią dziecka. Głupi chłopak. Żeby próbować przypisywać Vincentowi emocje, jakiegokolwiek emocje!

Rozdział 12

Vincent właśnie znowu schodził na dół, gdy do domu weszła Larissa. Była zmarznięta. Wyglądała na zmęczoną. Obsypana śniegiem i przemoczona. Ale nawet z wysmaganymi przez wiatr policzkami była nieskończenie piękna.

Teraz, gdy zobaczył, że jest cała i zdrowa, niepokój zastąpiła złość, której nie omieszkał wyrazić w tej samej chwili, kiedy ją dopadł.

- Proszę nigdy nie wychodzić z domu bez lokaja! Czy pani postradała zmysły, czy nie zdaje pani sobie sprawy, na co się pani naraża i co może panią spotkać na tych niebezpiecznych ulicach?

Zdumiona patrzyła na niego i patrzyła. Była chyba za bardzo zmęczona, żeby zdecydowanie zareagować. W końcu powiedziała tylko:

- Nie mogę wydawać poleceń cudzym lokajom.

- A zatem proszę przyjąć do wiadomości, że odtąd są do pani usług, na każde zawołanie! - warknął, ale mu przerwała:

- Więc i w tej sprawie nie mam wyboru. Musiałam wyjść... więc wyszłam.

Zazgrzytał zębami.

- Nie chcę słyszeć o żadnym "musiałam". W taki dzień jak dzisiaj jedynym sensownym wyborem byłoby zostać w domu.

- Gdybym tak zrobiła, nie znalazłabym jubilera chętnego zapłacić uczciwą cenę za moje perły ani domu aukcyjnego zainteresowanego kupnem moich obrazów i innych artystycznych przedmiotów, które zamierzam im powierzyć - powiedziała.

Vincent był bliski paniki. Już jej przecież powiedział, że nie powinna niczego sprzedawać. Musiała mieć ważny powód, żeby wychodzić w taką ohydną pogodę, narażając się na niebezpieczeństwo.

Albo ją wystraszył, albo uciekała przed czymś, czego nie rozumiała.

Była niewinna. Mogła sobie jeszcze nie zdawać sprawy z tego, że te silne emocje, których doświadczała, miały seksualne podłoże i były absolutnie normalne. Ale nie mógł jej tego wytłumaczyć - obawiał się, że ją jeszcze bardziej wystraszy.

Nie, niepotrzebnie wpada w panikę. Przecież postanowił dać Larissie do zrozumienia, że jej wartościowe przedmioty zostały skradzione, a więc, innymi słowy, że nie może ich zamienić na gotówkę. Wolałby dziewczyny nie okłamywać w tej sprawie, ale też, robiąc to, nie powinien odczuwać większych wyrzutów sumienia.

Jeśli chodzi o niego, każdy środek zmierzający do zatrzymania jej pod tym dachem był dopuszczalny, oprócz zamykania na klucz.

- Sądziłem, że dałem wyraźnie do zrozumienia, że jesteście tu mile widziani, aż do powrotu waszego ojca.

- A jeżeli on nie wróci? - zapytała drżącym głosem.

- Nie, lordzie Everett, nie możemy dłużej korzystać z pańskiej uprzejmości. Prosił pan o nasz adres. Stąd nasza obecność tutaj. Ale zapewniam, że podam panu jakiś adres, zanim się stąd wyprowadzimy - muszę coś znaleźć, i zamierzam to uczynić.

- Bzdura - zaprotestował. - Możecie poczekać tutaj, przynajmniej do Nowego Roku. Powinna pani dać ojcu jeszcze kilka tygodni. Chyba że zamierza pani popsuć bratu Boże Narodzenie, a także zaszkodzić w jego rekonwalescencji, mimo że nic nie nagli? Czy nie ustaliliśmy właśnie, że tutaj urządzicie choinkę?

Zastanawiając się, co robić dalej, zaczęła nerwowo przygryzać dolną wargę. Wolałby, żeby tego nie robiła, ponieważ zapragnął gwałtownie jej w tym pomóc. Jakże prześliczne były te wargi! Czy zdaje sobie sprawę, do czego go doprowadza tą tak prostą czynnością?

- Sądzę, że kilka tygodni dłużej...

Vincent uległ pokusie. Chciał dzisiaj posunąć się do przodu w zdobywaniu jej, przybliżyć to, co nieuniknione. Nie widział powodu, żeby z tym dłużej czekać. Gdy raz zaciągnie ją do łóżka, skończą się rozmowy o wyprowadzce, a to było dla niego najważniejsze. A im szybciej do tego dojdzie, tym dłużej będzie się nią cieszyć. Później pojawi się jej ojciec i ją zabierze. Nie przypuszczał nawet, jak dalece da się ponieść magii, którą sam stworzył, ale tak było. Nie powinien był też

zanosić jej prosto na górę, gdzie każdy ze służby mógł ich zauważyć – było zaledwie późne popołudnie - a jednak zrobił to. Chciał ją poprosić, żeby zostawiła dla niego otwarte drzwi tego wieczoru, żeby decyzja wyszła tylko od niej. Chciał ją po prostu doprowadzić dzisiaj do takiego stanu pożądania, żeby nie mogła podjąć innej decyzji. I nie mógł oczywiście przypuszczać, że tak ją oszołomi jednym pocałunkiem, iż ulegnie mu bez reszty.

To był zbyt podniecający pocałunek, żeby nie rozpałił pożądania. Zapłonęli oboje, przywierając do siebie ciałami, oddając się zmysłowej rozkoszy. Dopiero jej oszołomione spojrzenie sprawiło, że w końcu ją puścił, po czym wziął na ręce i zaniósł na górę.

Nie zdążyła oprzytomnieć. Gdy wniósł ją do jej pokoju, nadal obejmowała go kurczowo. Niestety, on sam, pomimo groźnego spojrzenia, rzuconego mu po drodze przez gospodynię, też miał niewiele czasu, żeby się opamiętać.

Nie tak zamierzał ją zdobyć. Będzie sobie później wyrzucał, że nie zostawił jej czasu do namysłu, że za kilka chwil niewyobrażalnej rozkoszy nie pozwolił Larissie samodzielnie powziąć decyzji, która przypieczętowałaby jej upadek.

Ostatnim wysiłkiem woli posadził ją pośrodku pokoju. I znowu ją pocałował, tym razem delikatnie. Począł, aż oczy Larissy odzyskają ostrość widzenia.

Po czym ujął w dłonie jej twarz i powiedział:

- Jesteś dzisiaj wyczerpana. Prześpij się przed kolacją. Prawdopodobnie nie będę ci towarzyszył.

Wątpię, żebym potrafił trzymać ręce przy sobie na tyle długo, by spokojnie jeść. Dołączę do ciebie później, jeśli zechcesz otworzyć mi drzwi. Pójdź za głosem serca, Larisso. Obiecuję, że sprawię ci niewyobrażalną przyjemność.

Aż nie do wiary, że ją tam zostawił. Gdyby nie fakt, że robiąc to, uznał siebie za skończonego idiotę, mógłby być z siebie dumny...

Postarał się również, żeby jego gospodyni widziała go schodzącego z powrotem na dół.

Rozdział 13

Larissa rzeczywiście zdrzemnęła się po południu. To ją odświeżyło, chociaż nie usunęło zażenowania spowodowanego ostatnim spotkaniem z baronem.

Nie była do końca pewna, co wydarzyło się między nimi ani też co miał na myśli, mówiąc ostatnie słowa. Zachowywał się, jakby był jej rodzicem - albo mężem - kiedy weszła do domu.

Pomstował na nią za rzekomo lekkomyślne zachowanie. A ponieważ nie był ani jednym, ani drugim, nie wiedziała, co o tym sądzić. Że się o nią troszczy? Tak, to było oczywiste. Po tak krótkim okresie znajomości zaczął się o nią troszczyć.

I ten niewiarygodny pocałunek. W holu było jej zimno. A on ją całkowicie rozgrzał. Dotąd jeszcze lekko drżała. Rzecz jasna, że drżała z powodu jego pocałunku. Nigdy nie doświadczyła czegoś podobnego, nawet w przybliżeniu. Wyjechała z Portsmouth, nie interesując się, prawdę mówiąc, młodymi mężczyznami; tak więc żadnemu nie pozwoliła się pocałować. Pierwszy rok pobytu w Londynie spędziła zaś na dąsaniu się, co wykluczało wszelkie kontakty, nie zrobiła też większych

postępów w ciągu ostatnich dwóch lat, mając do czynienia głównie z kontrahentami i wspólnikami ojca.

Nie zdawała sobie nigdy sprawy z braku towarzyskich kontaktów z młodymi mężczyznami, którzy mogliby się jej podobać i którymi byłaby zainteresowana, tak jak teraz baronem. Obiecano jej, że w odpowiednim czasie zostanie wprowadzona i przedstawiona w eleganckim świecie i że najprawdopodobniej znajdzie sobie wtedy męża, na co chętnie godziła się czekać. W końcu nie śpieszyła się, by opuścić rodzinę, która wciąż jeszcze jej potrzebowała. Ale ojciec spodziewał się, że wyjdzie wkrótce za mąż, skoro osiągnęła już odpowiedni wiek. Podobnie uważał jej brat. Więc i ona się z tym pogodziła, a ostatnio trochę się już nawet na to cieszyła, i wtedy właśnie zaczęły się kłopoty ojca. Teraz natomiast pogodziła się z faktem, że w ogóle nie zostanie nigdzie wprowadzona i przedstawiona.

Baron troszczył się o nią.

Nadal z trudem chwyciła, co chciał właściwie powiedzieć, poza tym, że niepokoił się o nią. Nie była jednak ostatnią naiwną, by nie zrozumieć, co miał na myśli, mówiąc, że nie potrafi trzymać rąk przy sobie, z daleka od niej, ani też co mogłoby się stać, gdyby otworzyła drzwi tej nocy.

Ojciec zastał ją samą z pewnym młodym człowiekiem na rok przed ich wyjazdem do Londynu. Nie żeby sobie coś wyobrażał - chłopak był bratem jednej z jej dobrych przyjaciółek, a ona rozmawiała z nim na

temat jego aktualnej romantycznej fascynacji, która także, jak się okazało, była jej przyjaciółką.

Ojciec poczuł się jednak zmuszony do pouczenia jej na temat nieposkromionych męskich pragnień - była to najbardziej kłopotliwa rozmowa, jaką kiedykolwiek odbyli, ale też i najbardziej oświecająca w sprawach, których istnienia przedtem mogła się zaledwie domyślać.

Baron troszczył się o nią i pragnął jej. Okazało się to jasne po uwagach, których by się po nim nie spodziewała. Stało się też jednym z powodów zmieszania Larissy. Po prostu nie wierzyła, że może nią być zainteresowany w taki sposób - nic na to nie wskazywało - i że płomiennie spojrzenie jego oczu może być oznaką namiętności. Ale tak było. Nie wątpiła w to teraz. To trwało prawie od samego początku.

Czy mogłaby za niego wyjść za mąż po tym wszystkim, co zrobił jej rodzinie? Ponościł bezpośrednią odpowiedzialność za to, że stracili dom. Ale nie wiązało się ze sprawami osobistymi, po prostu przeprowadził kolejną transakcję, i oczywiście mógł sytuację naprawić, a nawet po części to zrobił, sprowadzając ich do własnego domu.

Mogłaby wyjść za niego za mąż; naprawdę, i ta myśl także zrobiła na niej wielkie wrażenie. I właśnie to prawdopodobnie chciał jej powiedzieć. Nie przyszłoby mu do głowy kochać się z nią, nie proponując przy tym małżeństwa. Po prostu był zbyt niecierpliwy i zaaferowany, żeby o tym wspomnieć.

Mogła to zrozumieć. Krążyła wokół jego uwagi o "niewyobrażalnej przyjemności", nie śmiała rozwijać tej myśli, w obawie, że jej również udzieli się ta niecierpliwość, była bliska tego.

Już nawet liczyła minuty, kiedy uda się wieczorem do siebie. Niewiele brakowało, a nie zesłaby na kolację. Vincent powiedział, że nie przyjdzie, ale gdyby przyszedł, nie byłaby w stanie nic przełknąć. Zesła jednak i jadła samotnie kolację, a przynajmniej do chwili pojawienia się w jadalni nieznanego dzentelmena, najwyraźniej spodziewającego się zastać w tym miejscu barona.

Nie krył zdumienia, gdy zamiast na niego natknął się na nią.

- No, no, czy pani jest dla mnie? - To były pierwsze słowa, które od niego usłyszała.

Zdawał się absolutnie uszczęśliwiony taką perspektywą, cokolwiek mogła dla niego oznaczać. Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

- Słucham?

- Łapówką, którą Vincent chce mnie uszczęśliwić, dopóki nie znajdzie mi tego, co u niego zamówiłem?

Po takim wyjaśnieniu jej zakłopotanie nie zmniejszyło się ani trochę.

- Obawiam się, że nie wiem, o czym pan mówi.

Teraz on się zaczerwienił, uświadamiając sobie najwyraźniej, że popełnił gafę.

- Przepraszam, panienko, naprawdę przepraszam. Jestem lord Hale. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się

zastać damy w tej kawalerskiej rezydencji, a do tego samotnej - chyba że nie jest pani sama? Może z ojcem? Chyba nie powie pani, że z mężem?

Poczuła teraz pewniejszy grunt pod nogami.

- Czekam tutaj na mojego ojca.

- Czyżby więc Vincent był współnikiem pani ojca? - zapytał.

- Nie, od niedawna jest naszym gospodarzem - wyrzucił nas z naszego domu.

Nie powinna była tego dodawać. W końcu co go może obchodzić, dlaczego tu się znalazła i jak do tego doszło, więc teraz z kolei ona się zaczerwieniła - nie należało się bowiem afiszować ze swoim rozgoryczeniem.

Zaskoczyła go tym na tyle, że powiedział:

- Co za diabeł w niego wstąpił! Wyrzucił? I wylądowała pani tutaj?

- No cóż, jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Zapropował nam czasową gościnę, żeby mieć pewność, iż uda mu się odbyć rozmowę z naszym ojcem, gdy wróci. Chodzi o jakieś wymagające wyjaśnienia nieporozumienia.

- Więc pani ojca chwilowo tu nie ma? Jest pani tu sama?

- Nie, jest ze mną mój brat, a także kilkoro z naszej służby - odparła.

Zdawał się być tym rozczarowany.

- Ach, a zatem wszystko jest jak należy. Och, no cóż, poradzę sobie i z tym, jestem tego pewny.

Znowu mówił nie za bardzo do rzeczy, ale nie szkodzi, wydawał się dość nieszkodliwy. Był mniej więcej w wieku barona, nie tak wysoki jak on i raczej krępej budowy, o jasnoniebieskich oczach, ze strzechą niesfornych czarnych loków, których nieład był, jak sądziła, zamierzony. Mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby go nie porównywać z baronem, który był aż za bardzo przystojny.

Ponieważ stał w drzwiach i wzdychał, gdy na nią patrzył, nie przejawiając zamiaru wyjścia, postanowiła go zapytać:

- Czy jest pan umówiony z baronem?

- Niezupełnie, to tylko taka moja cotygodniowa inspekcja, mająca na celu sprawdzenie poczynionych przez niego postępów, choć nie wykluczam, że się mnie spodziewa, ponieważ zjawiam się co tydzień, mniej więcej o tej samej porze. Trochę się niecierpliwie, chcąc jak najszybciej otrzymać to, czego dla mnie szuka.

- To znaczy? - zapytała raczej chłodnym tonem, sądząc, że może jest tym dżentelmenem, który tak bardzo chciał mieć jej dom, że aż Vincent go im podkupił. Ale zaraz się zaczerwieniła.

- Proszę mi wybaczyć, nie powinnam się wtrącać.

- Ależ nie. Chodzi o obraz. Specjalny obraz, który po prostu muszę mieć na własność. Cena nie gra roli. Ja wiem, wiem, że głupio jest angażować taki kapitał, by wejść w posiadanie jakiegoś przedmiotu, ale już taki jestem. Jestem ekscentrykiem i nie wypieram się tego.

Sam już nie wiem, na co wydawać pieniądze. Żałosna sprawa. Ale to raczej nudny temat.

Uśmiechnęła się. Nie potrafiła sobie wyobrazić takiego bogactwa, które staje się aż nudne. A na razie, skoro nie jest osobnikiem dybiącym na jej dom, nie ma nic przeciwko niemu, jest mu nawet wdzięczna, że oderwał jej myśli od tego, co miało się wydarzyć późnym wieczorem.

- Jestem pewna, że będzie pan mile widziany i zostanie na kolacji - zaproponowała. - Nie sądzę, żeby baron miał się do nas przyłączyć, prawdę mówiąc, nie wiem nawet, czy jest teraz w domu.

- Och, jest. Inaczej główny lokaj nie wpuściłby mnie do środka. Sądzę, że powinienem go poszukać. - Kolejne westchnienie.

- Ale jeszcze się zobaczymy. Liczę na to. Myślę, że teraz mógłbym się tu zatrzymywać codziennie, aby zasięgać informacji. Tak, właśnie tak.

Rozdział 14

- Ile ona mnie będzie kosztować?

Potrwało chwilę, zanim Vincent zorientował się, że Jonathan Hale nie mówi o obrazie, którego kupno mu zlecił i o którym miał zwyczaj mawiać "ona", ponieważ był zatytułowany *Nimfa*.

Ale tylko chwilę, ponieważ tak się złożyło, że kiedy Jonathan wszedł do jego gabinetu, obaj myśleli o tej samej osobie.

Mimo to zapytał:

- Kto?

- To olśniewające dziewczę, które zostawiłeś samo przy kolacji po drugiej stronie korytarza.

Vincent zesztywniał.

- Ona nie jest na sprzedaż.

- Bzdura, wszystko jest na sprzedaż, zależy tylko od ceny.

Wierzył, że Jonathan tak myśli. Vincent poznał wicehrabiego znacznie wcześniej, jeszcze nim Hale zjawił się u niego w sprawie *Nimfy*. Dla nikogo w towarzystwie nie było tajemnicą, że Hale jest nieprzyzwoicie bogaty i że zdobycie czegoś, czego tylko dusza zapagnie, nie stanowi dla niego żadnego problemu.

Przywykł do tego, że wymienia cenę i otrzymuje wszystko, co chce. To, że w końcu znalazł coś, czego nie mógł dostać, nie było kwestią ceny; po prostu przedmiot ten nie został jeszcze odnaleziony.

I właśnie z tego powodu zagadnął Vincenta i zaproponował mu absurdalnie wysoką kwotę za samo odnalezienie obrazu. Później, żeby go kupić, Jonathan miał już sam pertraktować i negocjować cenę z aktualnym właścicielem. Było to jedno z trudniejszych zleceń, które Vincent przyjął. Przywykł bardziej do wymiany towaru za towar, do zdobywania czegoś drogą wzajemnych ustępstw, wyszukiwania czegoś, za co otrzymywał coś innego, i dostarczania tego zainteresowanym osobom. A to, co robił dla Jonathana Hale'a, polegało w mniejszym lub w większym stopniu na węszeniu i nadstawianiu ucha. Istnienie obrazu zatytułowanego *Nimfa* zostało już potwierdzone, nie do końca było jednak wiadomo, skąd bierze się przypisywany mu rozgłos. Podobno przedstawiał piękną młodą kobietę, namalowaną w tak erotyczny sposób, że na każdego, kto go oglądał, mężczyzną czy kobietę, działał podniecająco jak napój miłosny. Podobno też utrzymywał jednego z jego poprzednich właścicieli, siedemdziesięciokilkuletniego earla, w stanie stałej gotowości seksualnej. Stawał się przyczyną rozpadu małżeństw. Sprawił, że pewien mężczyzna postradał zmysły. Inny z jego powodu skończył życie w przytułku.

Nasłuchawszy się tego wszystkiego, Jonathan postanowił go mieć w swojej kolekcji. To, czy obraz miał

przypisywane mu właściwości, było bez znaczenia, chciał go zdobyć, ponieważ cieszył się taką sławą.

Niektórzy powiadali, że *Nimfą* zamówił jeden z królów o imieniu Henryk i że obraz przedstawiał jego ulubioną metresę, ale przy takiej liczbie władców o tym imieniu nikt nie próbował się nawet domyślić, o którego z nich chodzi. Niektórzy powiadali, że namalował go z zemsty pewien artysta i że młoda kobieta, którą przedstawił, była jego miłością, ale nim wzgardziła. Większość ludzi, którzy słyszeli o obrazie, najzwyczajniej nie wierzyła w jego istnienie. Uważali, że to żart. Mistyfikacja. Podniecający temat do konwersacji.

Vincent skłaniałby się raczej ku ostatniej wersji, gdyby w trakcie swoich poszukiwań nie zdobył wiarygodnej informacji dotyczącej ostatniego znanego właściciela obrazu. Miał nim być karciarz - hazardzista, niejaki Peter Markson, który przed paroma laty wygrał w karty obraz zatytułowany *Nimfa*. Los uśmiechnął się do niego, ponieważ, jak mówią, nie najlepiej wiodło mu się w hazardzie i miał opuścić kraj, aby uciec przed dłużnikami i uniknąć więzienia. Za podróż zapłacił obrazem, po czym zachorował na morzu i umarł na pokładzie statku.

Jako następny w posiadanie obrazu wszedł pewien kapitan, o niepotwierdzonym nazwisku. Nie zatrzymał go jednak długo, przekazując właścicielowi statku, ponieważ po zabraniu obrazu do domu żona kapitana zagroziła, że go porzuci, jeżeli natychmiast nie pozbędzie się *Nimfy* z domu.

Informację tę zastał w dokach, nie była więc w pełni wiarygodna. Stanowiła dobrą opowieść dla ludzi morza, którzy przekazywali ją sobie ze względu na jej erotyczny charakter, podczas gdy reszta była co najmniej podejrzana, jako że podawana nazwa statku, nazwisko jego kapitana oraz właściciela nigdy dwukrotnie się nie powtórzyły. Najwyraźniej każdy stary wilk morski, który zechciał opowiedzieć tę historię, zapewniał, że dotyczyła statku lub kapitana, którego osobiście znał lub z którym pływał.

A jednak ta historia była najbliższa prawdy ze wszystkich, jakie udało się zastać Vincentowi. A Peter Markson rzeczywiście opuścił po kryjomu kraj, przepuściwszy w karty wszystko, co posiadał. I właśnie ten fakt sprawił, że Vincent był skłonny przychylić się do powyższej wersji.

Natomiast nagłe i jakże żywe zainteresowanie Jonathana Larissą było dla niego zupełnie zrozumiałe. Wszak i na Vincencie wywarła oszałamiające wrażenie, gdy ją po raz pierwszy zobaczył, tak że zapragnął ją zdobyć za wszelką cenę. Co do Jonathana, nie traktował tego serio, ponieważ znał jego gust, gdy chodzi o kobiety.

Posłał mu więc pełne zadumy spojrzenie i powiedział:

- Podejrzewam, że jej ceną może być małżeństwo.

Sądził, że zniechęci tym Jonathana, który był zatwardziałym kawalerem, nie tracącym czasu na niewinne dziewczątka, gdy wokół nie brak było doświadczonych pań, bardziej niż skorych do zabawiania

się z nim za jedno lub dwa ładne świecidełka. I rzeczywiście Jon nie wydawał się uszczęśliwiony "ceną".

- Hmm, nie miałem w planach małżeństwa - poskarżył się. - Po co mi to, skoro mam wszystkie kobiety, które chcę, a także fury bękartów, z których, gdy będę miał ochotę, wybiorę spadkobiercę. Nie widzę nic zabawnego w małżeństwie. Ale sądzę, że nie zaszkodzi spróbować.

Vincent milczał przez chwilę.

- Nie mówisz tego poważnie.

- Dlaczego nie?

- Z tych właśnie powodów, o których wspomniałeś. Przyzwyczyłeś się zmieniać kobiety. A żona ci na to nie pozwoli.

- Metresy nie mają nic przeciwko temu.

- Więc po co się żenić?

- Żeby ją mieć.

- Więc po co mieć metresy?

Jonathan zachmurzył się.

- Dla urozmaicenia - a poza tym: dlaczego próbujesz mnie zniechęcić?

- Ponieważ tobie zależy wyłącznie na posiadaniu jej. Nie zamierzasz poświęcić się jej bez reszty. Poznałem ją trochę, odkąd tutaj zamieszkała, sądzę, że zasługuje na coś lepszego niż to, co mógłbyś jej dać, żeniąc się z nią.

- Czyżbyś sam chciał się z nią ożenić? - pytanie Jonathana zabrzmiało jak oskarżenie.

- Nie.

Jonathan uniósł sceptycznie brew.

- A więc nie będziesz miał mi za złe, jeżeli się do niej pozalecam. Zdradzę ci nawet, gdybyś koniecznie chciał wiedzieć, że nie zamierzam zrezygnować z mojego obecnego trybu życia, a jedynie urozmaicić je trochę. Mówię to otwarcie i uczciwie. To brzmi jak wyzwanie, nieprawdaż?

- Myślisz, że ołśnisz ją swoim bogactwem?

Jonathan uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście.

Zabawne, jak gwałtownie zapragnął strzepnąć pięścią ten uśmiech z warg wicehrabiego. Kolejna emocja.

Dosięgała go stopniowo i z opóźnieniem, w rzeczywistości bowiem jego dzisiejszy wybuch uczucia w holu, gdy Larissa wróciła z miasta, wstrząsnął nim po czasie, gdy już to sobie spokojnie przemyślał. Mógł się z nią kochać dzisiaj po południu. Była chętna - a przynajmniej nie stawiała by oporu. Wtedy nic by sobie nie robił z tej całej rozmowy z Hale'em. Posiadłby ją i osiągnął swój cel. Niechby potem Hale zalecał się do niej, a nawet z nią żenił! A jednak doskwierała mu ta myśl.

Wcześniej, później - nie widział różnicy, po prostu nie godził się z myślą o jej małżeństwie z Jonathanem, wzbogacającym swoją kolekcję o jeszcze jeden eksponat. Akurat teraz jest podatna i słaba. Sądząc, że jej ojciec nie wróci, że wkrótce znajdą się z bratem bez środków do życia - tych kilka cennych przedmiotów, które zamierzała sprzedać, nie zapewni im utrzymania do końca życia - może po prostu skorzystać z okazji poślubienia jednego z najbogatszych mężczyzn w królestwie, bez względu na

wszelkie inne racje. Vincent zamierzał przecież skorzystać z tej samej jej słabości, i zaciągnąć ją do własnego łóżka.

Ta cholerna zemsta uczyniła z niego kogoś, kogo nie za bardzo lubił. Podłego człowieka, jakkolwiek by na to spojrzeć. Intencje Hale'a wobec dziewczyny były przynajmniej honorowe, choć dość niesmaczne, podczas gdy intencje Vincenta stanowiły ich przeciwieństwo.

Opanowawszy się, powiedział:

- Zalecaj się do niej, ile tylko chcesz, i życzę ci powodzenia.

I rzeczywiście tak myślał, mając jedynie na uwadze dobro Larissy. Żywił nawet nadzieję, że wystarczy jej czasu, by dojść do wniosku, jak ryzykownym szaleństwem byłoby pozostawienie otwartych drzwi dla niego, ponieważ była to jedyna pokusa, której - cholernie dobrze o tym wiedział - nie potrafiłby się oprzeć. Nawet by nie próbował.

Rozdział 15

Lord Hale zatrzymał go dłużej, niż się tego można było spodziewać, gawędząc o tak nieistotnych sprawach, że Vincent byłby nawet skłonny zachować się niegrzecznie i pokazać mu drzwi. Z trudem się powstrzymał, i to tylko dlatego, że Jonathan był również klientem. Kiedy więc w końcu udał się do swojej sypialni, odczuwał niesmak i zniecierpliwienie, nad którymi zdawał się nie panować.

Oddalił lokaja, zrzucił z siebie ubranie i włożył szlafrok. Po czym zastygł w bezruchu. Stał pośrodku pokoju, wpatrywał się w drzwi łazienki i nie postąpił jednego kroku naprzód. Wiedział, że będą zamknięte, i nie zamierzał tego sprawdzać. Wiedział też, że czekając, nie położy się do rana, wciąż w nadziei, że może zmieniła zdanie i otworzyła drzwi, ale skoro dotąd jego oczekiwanie nie przyniosło rezultatu, prawdopodobnie nie otworzą się wcale. Tak czy owak czekała go długa noc.

Choć go korciło, żeby natychmiast otworzyć drzwi, bał się rozczarowania. Oto kolejne uczucie, które dzięki niej poznał... Co jest, u licha, że to wszystko stało się dla niego takie ważne?

Czyż nie była tylko śliczną kobietą i niczym poza tym? Powinna mu dostarczyć godzinę lub dwie przyjemności, nie więcej. Stać się jeszcze jednym trybem w prowadzonej przez niego kampanii zemsty, choć ten punkt zdawał się nie mieć dla niego aż takiego znaczenia, pozostając raczej wymówką dla jego sumienia. Nie podobało mu się, że tak go to wzięło, gdy tymczasem nadal nie rozumiał, co to dokładnie znaczy. Uwodziciel został uwiedziony.

Pragnął Larissy teraz za wszelką cenę i to go przerażało. Powinien pozwolić jej odejść. Powinien nawet pozbyć się jej ze swojego domu, pozwolić wrócić do jej własnego, a gdyby to było konieczne, zrobić wszystko, żeby znalazła się jak najdalej, poza zasięgiem jego manipulacji. Będąc tutaj, i to tak blisko, mogła dzisiaj zyskać nad nim większą władzę niż on nad nią.

Doświadczył tego, kiedy rozbudziła i opanowała jego emocje, każdą jego myśl, jego ciało, jak gdyby nigdy nic. Dzięki Bogu, że jest zbyt niewinna, by to wykorzystać przeciw niemu.

* * *

Tymczasem od blisko godziny Larissa stała w łazience i wpatrywała się w zamek dzielących ich drzwi. Nie zamierzała go przekreślić. Przeważał rozsądek, czyniąc ją wszakże nieszczęśliwą. Poślubi Vincenta, tak, ale najpierw on musi się jej oświadczyć. Taka była naturalna kolej rzeczy w tych sprawach.

Ale obiecana "niewyobrażalna rozkosz" również nie opuszczała jej myśli, i to był powód, dla którego wciąż tutaj stała, gardząc sobą, nieświadoma faktu, że szuka pretekstu, by odstąpić od swojej decyzji. Kiedy wyobrażała go sobie oczekującego po drugiej stronie drzwi, jej serce biło jak oszalałe.

Już chyba zdał sobie sprawę z tego, że najpierw, zanim oddadzą się rozkoszy, konieczne są oświadczenia. A może miał właśnie zamiar to zrobić dzisiaj wieczorem? Nie może im tego obojgu odmawiać, nie mając ku temu ważnego powodu!

Przekreśliła zamek. Już w kilka sekund po otwarciu drzwi Vincent dowiedział, jak bardzo na to czekał. Nie odrywali od siebie zdumionych oczu. Jego wzrok, rozogniony jak płynne złoto, strawił ostatni ślad jej niezdecydowania.

Zrzucił z siebie szlafrok, który upadł na podłogę. Tymczasem ona miała jeszcze na sobie ubranie, takie teraz krępujące i niewygodne.

A przy tym była tak zahipnotyzowana jego złocistymi oczami, że nawet na niego nie spojrzała. Nie trwało to jednak długo. Obejmując szyję Larissy ręką, przyciągnął ją do siebie. Ich wargi spotkały się i stopiły w jedno. Był to żarłoczny i drapieżny pocałunek, odzwierciedlający głód i pragnienie, których tak długo sobie odmawiali. Ugięły się pod nią kolana, zrobiły się bardzo słabe, ale nie bała się, że upadnie, skoro ją trzymał tak mocno i blisko.

Była nowicjuską w tego rodzaju miłosnym pocałunku – robiła to zaledwie drugi raz w życiu - ale on miał wprawę i tak ją prowadził, kierował, pobudzał, kiedy było trzeba, że brak doświadczenia Larissy nie stanowił przeszkody. Podobnie jak jej wahanie i nierówne szanse, gdy utonęli w rozkosznym poznawaniu smaku swoich warg, i jeszcze bardziej się zatracili.

Dopiero jęk położył temu kres -jego jęk. Ledwo to odnotowała, tak bardzo była olśniona tym, co czuje. A potem w delikatny sposób została zaniesiona do jego łóżka. Nie jej. Tego także nie zauważyła. Ale nie trwało długo, gdy zaczęła doznawać czegoś zupełnie nadzwyczajnego...

Czy naprawdę wierzyła, że cała rozkosz pochodzi tylko i wyłącznie z samego obejmowania i całowania przez niego, tylko z tego, że jest to takie samo w sobie przyjemne? Ale skąd mogła wiedzieć, że jest inaczej? "Niewyobrażalna rozkosz", o której wspomniał, nie kojarzyła jej się z czymś specjalnym, ponieważ nie znała niczego takiego, do czego mogłaby się odwołać, poza jakimiś ogólnikami. Ale musiało to mieć ścisły związek z jego ręką na jej piersi.

Zwykły dotyk jego dłoni wywoływał spontaniczne, niekontrolowane reakcje w różnych częściach jej ciała. Gęsia skórka, łaskotanie w żołądku, wilgotny żar, ale to był tylko początek. Nie przestawał jej całować, wychwytyjąc każde, najmniejsze zachłyśnięcie się Larissy rozkoszą, a stawała się ona coraz większa, gdy rozpoczął kolejną lekcję zmysłowych dotknięć.

Nawet rozbieranie jej przerodziło się w erotyczne doświadczenie, a robił to bez pośpiechu. Uważnie pieścił każdą jej kończynę i obnażoną wypukłość. Zabawne, że gdyby sama dotknęła wewnętrznej strony kolana, nie poczułaby nic, gdy tymczasem jego palce przyprawiały ją o drżenie. Dotyk Vincenta powodował, że wszystko stawało się inne, jakże inne, i że pławiła się w nowych doznaniach, które ją zachwycały. Jej ciało i umysł spalały się w pragnieniu, napełniał ją taką rozkoszą, że nie wiedziała nawet, kiedy dotarła do niej świadomość, iż znalazła się w punkcie, od którego nie ma odwrotu, i że nie usłyszała tego, co chciała od niego usłyszeć. Nie to, żeby bezwarunkowo pragnęła zatrzymać, w ten czy w inny sposób, to, co działo się między nimi. A jednak jej szczęście byłoby całkowite, gdyby usłyszała potwierdzenie tego, co już uważała za pewne.

A słowa, które wydobywały się w przerwach, gdy chwyтали powietrze, były niewyraźne, a nawet i nielogiczne.

- Myślałam... Nie powinieneś... Chodzi o to...

Na pewno zrozumiał, co mu próbuje powiedzieć, ponieważ odpowiedział:

- Nie czas na poważne sprawy, od których płacze się język.

Jakże bałamutna i zwodnicza uwaga, a jednocześnie jaka uspokajająca! Założyła bowiem, że ma na myśli poproszenie jej o rękę. I musiała przyznać, sądząc po tym, że ledwo może coś wyjąkać, iż raczej nie powinna łączyć dwóch myśli w tej samej chwili. Poza tym

nie było okazji, żeby coś więcej powiedzieć, skoro ją znowu rozpraszał kolejnymi pocałunkami.

Stopniowo, ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć, przykrywał ją swoim masywnym ciałem. Nie bała się, przeciwnie, było jej dobrze pod jego ciężarem, nawet wtedy, gdy ucisk wzmógł jej pobudzenie. Chwytał rękę Larissy i przytrzymał po obu stronach jej głowy. Biorąc ją, pogłębił jeszcze pocałunek. Ból był tak krótkotrwały, pojawił się i zniknął, zanim go naprawdę poczuła, szybko więc o nim zapomniała w naporze czystej zmysłowej rozkoszy, która potem nastąpiła. Czuła Vincenta w sobie, zanurzającego się głębiej i głębiej.

Przez ułamek sekundy myślała, że to już koniec, że już nie może być lepiej. Jaka naiwna! To, co nazwał niewyobrażalną rozkoszą, w niczym nie oddawało tej niewiarygodnej błogości i szczęścia, które narastały równomiernie, kiedy zaczął się w niej poruszać, a które potem wybuchły i rozlały się w jej ciele falami.

W tych kilku chwilach absolutnej ekstazy nie liczyło się nic innego. Była pewna, że porozumieją się później w sprawie małżeństwa. Teraz zaś upajała się faktem, że Vincent Everett należał do niej.

Rozdział 16

A jednak oczekiwana propozycja małżeństwa nie padła, kiedy skończyli się kochać. Nic jednak dziwnego, skoro Vincent, gdy zsunął się z Larissy, przyciągnął ją blisko do siebie i natychmiast zasnął. Leżała więc przytulona do niego i długo jeszcze rozkoszowała się tym wszystkim, czego doznała, szczęściem, które czuła, i nieoczekiwanym ukojeniem w jego ramionach. A gdy w końcu uświadomiła sobie, że marzenie nie zostało urzeczywistnione, nawet nie przyszło jej na myśl, żeby go budzić.

Poza tym nie obawiała się o nic. Traktowanie całej sprawy, jakby już była przesądzona, pomogło jej pozbyć się skrupułów i zrobić miejsce wyłącznie dla pozytywnych myśli. Wiedziała, że nie powinna zostać w jego sypialni i spędzić z nim reszty nocy, i chociaż miała na to wielką ochotę, postanowiła z tym poczekać, aż będą po ślubie. A ponieważ przyjemność bliskiego z nim obcowania okazała się tak wielka i kojąca, że i ją zaczął morzyć sen, ostrożnie wysunęła się z łóżka, pozbierała swoje ubrania, by nikt ze służby nie zauważył śladów jej obecności, i na palcach wróciła do swojej sypialni.

Nie zamknęła drzwi między ich sypialniami, nawet o tym nie pomyślała. Nie było zresztą takiej potrzeby. Kochanie się z Vincentem zmieniło tak wiele spraw, nie tylko jej spojrzenie na przyszłość, co do której czuła się teraz bezpieczna. Ona się zmieniła, świadomość tego, co zyskała, umocniła ją. Aż wreszcie zasnęła z uśmiechem na ustach.

Vincent, obudziwszy się następnego ranka, zrobił się zły, nie zastając Larissy w swoim łóżku. Wiedział, że nie ma racji, że dziewczyna postąpiła słusznie, wychodząc stąd, zresztą gdyby nie zasnął, sam by ją zaniósł do jej sypialni. Ale właśnie to zdenerwowanie było czymś zupełnie niepojętym dla niego.

A humor miał jeszcze gorszy. Tego ranka, gdy załatwiał sprawy z sekretarzem i ze służbą, nawet najmniejszy drobiazg wyprowadzał go z równowagi. Zauważył, że warczy na większość ich, nie mając ku temu żadnego powodu. Niestety, zły humor nie opuszczał go aż do lunchu, a kiedy dołączył do Larissy w jadalni, skończyło się na tym, że i na nią warknął, nim zdążył się powstrzymać.

- Mój kucharz grozi odejściem, jeżeli twoja kucharka nie wyniesie się z jego kuchni!

Wykrzyczał to, zaskakując i wręcz szokując tym zarówno Larissę, jak i siebie. Na pewno nie w ten sposób zamierzał się przywitać, a już zdecydowanie nie powinien był się tak zachować po pozbawieniu jej ostatniej nocy dziewictwa. Nie miało znaczenia, że tego ranka wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu,

powodując jego bezgraniczną frustrację - to był tylko kolejny pretekst.

Wiedział, dlaczego czuje się jak zapalony lont, tylko jeszcze nie chciał się do tego otwarcie przyznać. I był na siebie wściekły, że brak mu odwagi, by spojrzeć prawdzie w oczy i przyrzeć się uważnie przyczynie swojej złości, zamiast przenosić ją na innych - nawet na Larissę.

Czuł się potwornie winny z powodu tego, co zrobił tej nocy. Wprawdzie nigdy dotąd w swoim życiu nie przeżył podobnej rozkoszy, niemniej przytłaczały go z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie zamierzał jej poślubić, a wiedział, że ona oczekuje tego teraz od niego.

Pierwotny motyw zemsty ani trochę mu nie pomógł w uspokojeniu sumienia, choć został jej kochankiem, na co tak bardzo liczył. Jedyne, co można jeszcze zrobić, to nie dopuścić do zniszczenia jej reputacji, jak to dotychczas planował. Dopóki sprawa nie wyjdzie na jaw, Larissa może jeszcze dobrze wyjść za mąż.

Nie wątpił, że Hale tak czy owak ożeni się z nią. Oszołomiony jej urodą, może przywiązywać mniejszą wagę do tego, że nie jest już dziewicą. Ale czy on sam zdierży, gdy ktoś inny będzie o nią zabiegać, skoro wczoraj, gdy była o tym mowa, miał ochotę wyróżnić faceta w tłumie?

Larissa, która pierwsza doszła do siebie po wybuchu jego gniewu, wyjaśniła ze spokojem:

- Przykro mi. Dziś rano powiedziałam Mary, że odtąd będziemy mieszkać tutaj na stałe, a ona z

pewnością postanowiła zrobić coś dla domu, najlepiej zaś ze wszystkich miejsc czuje się w kuchni.

Vincent spurpurowiał. I nie mógł jej wyprowadzić z błędu w sprawie zamieszkania na stałe w tym domu -jeszcze nie. Jego milczenie utwierdziłoby ją w takim przekonaniu, ale nie rozwiązałoby problemu. Nadal spodziewał się przyjazdu jej ojca, nawet jeżeli ona straciła nadzieję. A gdy pojawi się Ascot, wówczas Vincent zrobi odpowiedni użytek z tej przeklętej zemsty, zadając temu człowiekowi ostateczny cios, po czym pójdzie swoją drogą i zajmie się własnym życiem.

Wymamrotał coś o potrzebie przywołania do porządku obojga służących, mając nadzieję, że uspokoi ją tym i że nie będzie już chciała poruszać tego tematu. I tak było. Nawet uśmiechnęła się do niego, co w rezultacie pogorszyło tylko sprawę. Teraz nie mógł już tego tak zostawić. Była taką słodką, łatwowierną dziewczyną, on zaś od samego początku traktował ją jak skończony łajdak - i nie zamierzał na tym poprzestać. Jedyne, co mógł zrobić, to sprawić, żeby była szczęśliwa przez pewien czas, i zachować dla siebie swoje parszywe humory.

Obchodząc stół, podszedł do niej. Gdyby byli sami, mógłby ją pocałować, ale służba wchodziła i wychodziła, więc pochylił się tylko i wyszeptał:

- Wybacz mi moje gburowate powitanie. I dziękuję ci za najcudowniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem.

- Jaki prezent?

- Ciebie.

Zaczerwieniła się, mógł nawet poczuć bijące od niej ciepło, chociaż stał za nią i tego nie widział. Nadal jeszcze miała zaróżowione policzki, kiedy usiadł naprzeciwko i wpatrywał się w nią. Dopatrzył się jednak śladu uśmiechu, świadczącego o tym, że jej policzki płoną nie tylko z powodu zakłopotania.

Kontynuowali posiłek. Gawędziła bez wyraźnego celu, jedynie po to, żeby wypełnić ciszę, nic ważnego, ot, luźna konwersacja, w którą się wciągnął. Potrafi być zabawna, gdy się nie denerwuje, a w tej chwili, przy nim, była nad wyraz spokojna.

A przy okazji znowu wspomniała o ozdobach na choinkę. Już je zdjął ze strychu. Mógł jej to powiedzieć i na tym poprzestać. Ale była to także idealna okazja, żeby napomknąć o reszcie wartościowych rzeczy, które zniknęły. Lepiej, aby się o tym dowiedziała i oswoiła z myślą, że nie może ich teraz sprzedać, niż gdyby się o nie upomniała i gwałtownie zareagowała na tak nieoczekiwaną stratę. Zresztą rzeczy "odnajdą się" po powrocie jej ojca.

Vincent nie miał zamiaru okradać Ascotów z niczego, poza ich dobrym imieniem. Nie uważał, żeby mogło się obejść bez opowieści o kradzieży. Uwiódł ją już, to prawda, ale teraz z niepokojem myślał o tym, że w każdej chwili może go zagadnąć o małżeństwo i że gdyby to zrobiła, nie okłamał jej. Co z kolei spowoduje, że ona znowu zacznie myśleć o opuszczeniu jego domu, na co nie był jeszcze przygotowany i czego nie chciał. Będzie

na to czas, gdy wróci jej ojciec. Zatem dając Larissie do zrozumienia, iż nie ma środków na to, żeby się stąd wynieść, nadal będzie działał na swoją korzyść. Przybrał zatem odpowiednio poważny wyraz twarzy i powiedział:

- Skoro jesteśmy przy ozdobach na choinkę, to właśnie dzisiaj rano zostały sprowadzone, obawiam się jednak, że razem z nimi otrzymaliśmy także złe wiadomości.

- Zostały uszkodzone? - przestraszyła się.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo - szybko ją uspokoił. - Ale podobno ostatniej nocy w magazynie, gdzie zostały złożone twoje rzeczy, dokonano kradzieży. Sprawozdanie dozorczy, który pilnuje tego miejsca, wskazuje na to, że kradzież była selekcyjna, co nie jest rzadkim przypadkiem, ponieważ można jej dokonać w stosunkowo szybkim czasie.

- Zostałam okradziona? - zapytała z niedowierzaniem.

- Zostaliśmy okradzeni - uściślił. - Sam też przechowywałem tam trochę wartościowych rzeczy. Ale większość twoich rzeczy została. Jak już powiedziałem, złodzieje wybierali selektywnie. Zabrali tylko to, co uznali za wartościowe i łatwe do upłynnienia - obrazy, wazy i inne mniejsze dzieła sztuki. Zajęło im to niecałe dziesięć minut, akurat tyle, na ile był zmuszony oddalić się dozorca.

- Miałam już pewne plany co do tych obrazów - wyszeptała niepokieszona.

Nie spodziewał się ujrzeć tak ogromnego smutku. Teraz wiedział już dokładnie, co tamtego wieczoru poczuł jego sekretarz, kiedy na niego spojrzała. Tylko że Vincent nie znajdował się w tak luksusowej sytuacji, żeby odstąpić od tego, co zaczął, nie przyznając się jednocześnie, że jest nikczemnym, zasługującym na pogardę kłamcą.

Mógł natomiast złagodzić cios, co też zrobił:

- Nie spisuję tego na straty, Larisso. Kradzież została zgłoszona na policji, a niezależnie od tego wyznaczyłem własnych ludzi, którzy mają wysledzić winnych. To, co zostało zabrane, będzie zwrócone. Jeżeli zaś twoja część nie zostanie odnaleziona do Nowego Roku, osobiście pokryję jej wartość.

- Ty... nie musisz tego robić - odpowiedziała. - To nie twoja wina...

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Nie zgadzam się z tobą. W końcu to mój magazyn i powinienem zapewnić mu lepszą ochronę. Obawiam się, że jeszcze nie przywykłem do tego, że go mam, a mówiąc szczerze, nie zamierzałem go zatrzymać, po prostu nie zdążyłem jeszcze podjąć decyzji, co z nim zrobić.

- To po co go kupiłeś?

Odetchnął. Teraz jej twarz wyrażała jedynie ciekawość, zniknęło z niej poprzednie przerażenie. Starał się ją uspokoić i osiągnął swój cel, a wszystko dlatego, że w tej ślicznej drobnej istocie nie było nawet odrobiny podejrzliwości.

- Nie kupiłem go. Przejąłem go kilka miesięcy temu, jako ostatnią wartościową rzecz z przedsiębiorstwa mojego brata, która po jego śmierci nie dostała się wierzycielom.

- Och, jest mi tak przykro.

Psiakrew, znowu to zalewające ją współczucie dla niego. Dopiero co sama odebrała miazdzący cios, i jeszcze ją stać na litowanie się nad nim, gdy dotarło do niej, że mówi o niedawno zmarłym bracie.

Postarał się to jak najszybciej zlekceważyć i wzruszając ramionami, skierował rozmowę na inne tory.

- Czy masz jeszcze inne wartościowe rzeczy, poza swoją biżuterią?

- Jest jeszcze kawałek ziemi w Kent, znajdujący się w posiadaniu rodziny od niepamiętnych czasów. Na jego terenie znajduje się zrujnowany zamek, który podobno należał do jednego z naszych przodków, bardzo dawno temu. Ale ta pogłoska nie została nigdy potwierdzona. Niestety, wystarczy, by jedno pokolenie nie okazywało zainteresowania historią rodziny, a wszystko idzie w zapomnienie.

- Ale przecież ziemia też ma jakąś wartość?

- Sądzę, że tak, ale nie mogę jej sprzedać. Mój ojciec nie został oficjalnie uznany za zmarłego, więc nie mam do tego prawa. Tak samo jest z jego przedsiębiorstwem, jego frachtowcami, a także zgromadzonym towarem i pewnymi wartościowymi rzeczami, które zamknął w niewielkim magazynie należącym do przedsiębiorstwa.

Jego osobiste mienie, klejnoty i inne rzeczy pożeglowały razem z nim.

Vincent zeszywniał. Rozmowa o frachtowcach w zestawieniu z jej ojcem nasunęła mu pewną myśl - myśl, która jego samego zaskoczyła.

Nie przyszło mu do głowy, aż do tej chwili, że opis ojca Larissy pasuje do obecnego właściciela *Nimfy* i że ma ona obrazy, które zamierza sprzedać... Nie, to byłoby zbyt łatwe, zbyt wygodne - czyniłoby też jej rodzinę niewiarygodnie bogatą. Ale żeby wykluczyć taki zbieg okoliczności, będzie musiał zajrzeć po lunchu do magazynu i osobiście przyjrzeć się obrazom, które przeniósł w bezpieczne miejsce na tyłach budynku. I miał nadzieję, naprawdę miał nadzieję, że nie zobaczy pośród nich *Nimfy*.

Rozdział 17

Vincent wrócił do domu w znacznie lepszym nastroju. Wyprawa do magazynu potwierdziła, że Ascot jest właścicielem siedmiu starych obrazów, w tym dwóch autorstwa znanych malarzy, ale że żaden z nich nie jest osławioną *Nimfą*, której szuka. Nie musiał więc stawać wobec nowego dylematu uczynienia z Ascota bogacza, co byłoby ostatnią rzeczą, na jaką miałby ochotę w swoim planie zniszczenia go i doprowadzenia do ruiny.

Po czym znowu wpadł w zły humor, zastając w saloniku Jonathana Hale'a z Larissą i jej bratem Thomasem, któremu pozwolono opuścić pokój w konkretnym celu udekorowania świątecznej choinki. Co za rodzinna atmosfera i jakże mu obca!

Najgorzej znosił te wszystkie śmiechy i uśmiešky, a także to, że się w tak oczywisty sposób radują. Nie należy do nich i nigdy nie będzie należał. I nie miało to nawet ścisłego związku z Bożym Narodzeniem - święta były tylko pośrednim powodem. Po prostu oni umieli się bawić przy wykonywaniu najprostszej czynności, gdy tymczasem zabawa nigdy nie była jego udziałem, nawet kiedy był dzieckiem.

Albert wielokrotnie próbował go wciągnąć do zabawy, odciągnąć od nauki, wytłumaczyć zasadę jakiejś wymyślonej gry, po czym tracił zapał, rozczarowany, że Vincent tego nie chwyta. Było zbyt wiele prawdziwych spraw, które trapiły Vincenta jako dziecko, by mógł się od nich na tyle oderwać, żeby chcieć się bawić. Ale sam fakt, że Albert próbował go włączyć w ten aspekt życia, sprawił, że przez lata tolerował wiele słabości brata. Albert próbował go czegoś nauczyć, gdy tymczasem Vincent nigdy, tak naprawdę nigdy nie próbował się nauczyć.

Larissa zauważyła go stojącego w drzwiach i przesłała mu promienny uśmiech. Była tak niewiarygodnie piękna, że zaparło mu dech. Także Jonathan to zauważył i stał w miejscu jak zahipnotyzowany. Thomas, widząc ich obu, przewrócił oczami i wzniósł je do sufitu. Było oczywiste, że napatrzył się na mężczyzn zachowujących się jak idioci na widok jego siostry.

- Nie sądziłam, że wrócisz w porę, żeby nam pomóc – powiedziała do Vincenta, zachęcając go, żeby wszedł dalej.

Nie ruszył się.

- Pomóc?

- Nie powiesz, że to nie twoja choinka. Nasze ozdoby są tylko dodatkiem do tych, które zrobiła już twoja służba. Spójrz na tę od twojego zrzędlivego kucharza. - Pokazała na małą błyszczącą łyżkę, z dziurką na końcu, dzięki której można ją było umocować na

gałęzi razem z jaskrawą kokardką. - Nawet się zaczerwienił, kiedy ją wieszał.

- Nie mam ozdób do dodania.

- Jest ich tak dużo, że masz z czego wybierać. Chodź, umocuj tego anioła na czubku.

Obok choinki stało solidne krzesło, z którego można było dosięgnąć do wyższych gałęzi. Vincent wprost nie mógł sobie wyobrazić siebie w tej roli, a jednak złapał się na tym, że idzie w stronę choinki. To ona była magnesem, nie jakieś głupie drzewo, które bez powodu stało pośrodku domu.

Wziął od niej ozdobę, popatrzył na czubek drzewa, który znajdował się dobry metr nad jego głową. Wszedł na krzesło. Stała z tyłu, trzymając za oparcie, żeby się nie chwiało. Popatrzył na nią i znowu zaparło mu dech. Była taka zachwycona i uradowana.

Jakże łatwo ją uszczęśliwić! Czerpała radość z drobiazgów. Umieścił anioła na czubku drzewa. Podobno nierówno, ponieważ zaczęła nim teraz kierować, namawiając, żeby spróbował jeszcze, i jeszcze. Hale zaczął żartować na temat upadłych aniołów, ale na szczęście Larissa nie dopatrzyła się w tym podwójnego znaczenia, w przeciwieństwie do Vincenta.

Wreszcie klasnęła w dłonie i powiedziała:

- Idealnie!

Thomas, stając w końcu pokoju, żeby przyjrzeć się temu pod innym kątem, powiedział:

- Jest przekrzywiony.

Hale przytaknął:

- Przekrzywiony.

- Widzisz? Zostałaś przegłosowana - zachichotał Thomas.

- Do przegłosowania potrzebna jest większość, a ja jeszcze nie wypowiedziałem swojego zdania - Vincent nieoczekiwanie usłyszał swój własny głos.

- To prawda, a więc jaki jest werdykt?

Vincent zszedł z krzesła, obszedł pokój, przyglądając się choince ze wszystkich stron, trzymając ich w niepewności i udając, że się poważnie zastanawia. Wreszcie zatrzymał się obok Thomasa i powiedział:

- Przekrzywiony. Ty go umocuj. Widać ja nie mam do tego smykałki. - I podniósł do góry Thomasa, żeby wyprostował zabawkę, co też chłopiec uczynił.

Stojąca w innej części pokoju Larissa wybuchnęła śmiechem:

- Dopiero teraz jest przekrzywiony!

Tym razem jej śmiech okazał się zaraźliwy. Vincent przyłapał się na tym, że sam zaśmiewa się razem z innymi. Był zdumiony, że tak dobrze się wśród nich czuje. Usiadł potem wygodnie i przyglądał się, jak kończyli ubierać choinkę, dorzucał od czasu do czasu swoje uwagi, wskazując na tych kilka pustych miejsc, gdzie należało dodać jeszcze trochę zabawek. Nadal nie mógł do końca uwierzyć, że przyłączył się do ich wesołej grupy i nawet stał się jej częścią. Ale to była zasługa Larissy. I nie dlatego, żeby miała szczególny dar kierowania innymi, chodziło raczej o to, że ludzie chcieli

się jej po prostu przypodobać, robiąc wszystko, o cokolwiek ich prosiła.

Po tym wszystkim, po całej jego pomocy, Vincent nie mógł nie zaprosić Hale'a na kolację, choć wcale nie było mu to na rękę. Gdy w saloniku był Thomas, Hale zachowywał się jak wzorowy dżentelmen, idealnie pasował do grupy. Jednakże teraz, gdy chłopiec został odesłany do łóżka, Hale skierował cały swój wdzięk, który do tej pory musiał powściągać, w kierunku Larissy.

Vincent był zde gustowany. Powinien był uprzedzić Jonathana, kazać mu się wycofać, okazało się jednak, że Larissa potrafi się zręcznie opędzać, ignorując albo nie rozumiejąc niektórych z co bardziej "subtelnych", skierowanych do niej komplementów i czynionych jej awansów. Po chwili zdał sobie sprawę, że nie musi się o nią martwić.

Na razie, dopóki nie pozna prawdy, jest przekonana, że wyjdzie wkrótce za mąż, a to oznacza, że nie będzie traktować poważnie propozycji innych mężczyzn. Z drugiej strony, ponieważ Vincent nie poprosił jej jeszcze o rękę, nie będzie miała pretekstu, żeby wymawiać się od zaproszeń innych panów; a to już będzie wymagać niemałej pomysłowości z jej strony.

Robiła to w uroczy sposób, a im bardziej się tym bawiła, tym smutniejszy stawał się Jonathan. A jednak robiła to w taki sposób, że Hale jeszcze nie tracił nadziei, tym razem pogrzebiając Vincenta. Vincent wolałby, żeby ten człowiek już poszedł i więcej nie wracał. Ale to było tylko pobożne życzenie. Zauważył również, że kiedy

uchylała się od pójścia do teatru, wydawała się raczej zasmucona koniecznością odmowy.

Zastanawiał się, czy w ogóle kiedykolwiek była w teatrze, w co raczej wątpił. Żyjąc, jak ona, na uboczu, nieznana w środowisku. Mogła pójść z ojcem, ale przecież dopiero niedawno osiągnęła odpowiedni wiek, a zabieranie jej wcześniej byłoby niestosowne. Postanowił, że sam ją zaprosi, kiedy przyjdzie do niej wieczorem. Drobną rzecz, a przecież mogła jej sprawić tyle radości. Przynajmniej tyle mógł jej ofiarować, poza tym oderwałoby to jej uwagę i może nie zadałaby pytania, na które nadal wolał unikać odpowiedzi.

Rozdział 18

Zaproszenie Larissy do teatru, tak by oderwać jej uwagę od spraw zasadniczych, uczyniło cuda. Wieczorem, gdy Vincent przyszedł do jej pokoju, zamierzała wyjaśnić z nim sprawę małżeństwa. Widać to było wyraźnie po jej nerwowym zachowaniu.

Zaczęła nawet poruszać tę kwestię, o której on nie chciał słyszeć.

Ale spodziewając się tego - był w pełni świadomy, że gdy znajdą się sami, będzie miała jedyną okazję, by dotknąć tak bardzo osobistej sprawy - szybko jej przerwał, składając propozycję pójścia do teatru. I zanim skończyli omawiać szczegóły tej wyprawy, już ją całował. I oczywiście, gdy już raz zaczęli, nie myśleli o niczym innym, poza czekającą ich rozkoszą. Znowu nie obeszło się bez poczucia winy i udręki, co jednak nie powstrzymało Vincenta od kochania się z Larissą także i tej nocy. To był przymus, który przeważył nad wszystkimi wyrzutami sumienia, jakie powinien odczuwać. A gdy już ją trzymał w ramionach, jego sumienie gdzieś się ulatniało. Dopiero później, gdy już jej przy nim nie było, dopadło go ze zdwojoną siłą. Unikał jej przez następny dzień, aż do wyjścia do teatru.

Twierdziła, że ma odpowiednie ubranie na taką okazję, ponieważ jej wyjściowa garderoba została przygotowana na długo przed rozpoczęciem nowego sezonu, który miał być jej pierwszym występem w towarzystwie.

Przestrzegł ją przed wszystkim, co mogłoby być zbyt wyszukane czy ekstrawaganckie, a ona zastosowała się do tego. W końcu przecież strój determinuje wybór teatru, a było ich przecież tak wiele - od najbardziej renomowanych, cieszących się poważaniem miejsc, uczęszczanych przez dobre towarzystwo, po zwykły teatrzyk różnaitości, gdzie można spotkać stojącego w kolejce kominiarza.

Zrobiła dokładnie to, o co ją prosił. Jej różowa aksamitna suknia, noszona z oblamowaną futrem pelerynką, zasłaniającą głęboko wycięty dekolt, nadawała się też na co dzień. Ale po zdjęciu pelerynki suknia miała zdecydowanie wieczorowy charakter, była też stanowczo zbyt elegancka na teatr uczęszczany przez niższe sfery.

Towarzyszyła im jedna z jej służących. Przyzwoitka była, według niego, jak najbardziej na miejscu. Nie pozwalało mu to na dotykanie Larissy, nie sprawiał także przez to ani trochę wrażenia osoby mogącej sobie rościć jakieś prawa do niej – powstrzymało go przed ściskaniem jej w powozie w drodze do dzielnicy teatrów, do czego w innej sytuacji musiałoby dojść, tak bowiem ślicznie wyglądała tego wieczoru.

Tymczasem zabranie jej gdziekolwiek, tak by nie była przez towarzystwo widziana, obróciło się przeciwko niemu i okazało całkowitą pomyłką z jego strony. To

prawda, że bawiła się wyśmienicie, ale powinien był znaleźć inny sposób zabawienia jej.

Skutki tego wyjścia dały o sobie znać już następnego ranka. Aż siedmiu młodych fircyków stawiło się u jego drzwi, by złożyć wizytę młodej piękności, która mignęła im w jego towarzystwie poprzedniego wieczoru. Co gorsza, działo się to pod jego nieobecność, nie mógł więc ich splawić, udał się rano bowiem na konną przejażdżkę do parku. Do czasu jego powrotu do domu Larissa znosiła ich zaloty w saloniku, przy bożonarodzeniowej choince. A parada młodych wytwornisiów trwała jeszcze po południu, wraz z pojawieniem się pięciu kolejnych dżentelmenów.

Dla Vincenta pocieszające było tylko to, że Larissa nadal odrzucała wszystkie zaproszenia. Ale jak długo to mogło trwać, skoro w rzeczywistości nie otrzymała od niego ustnego zobowiązania małżeństwa? Sam musiał sobie udzielić odpowiedzi na to palące pytanie.

Była jego, ale na określony czas. Gdy zjawi się jej ojciec, przestanie do niego należeć. A w przeciwieństwie do niej o n nie oczekiwał, że ten czas będzie trwać dłużej niż kilka najbliższych dni. I to był jedyny powód, dla którego jego obecna wymijająca taktyka zdawała egzamin. Nie uda się w nieskończoność oddalać odpowiedzi na jej pytania. Był pewien, że chciałaby móc oznajmić oficjalnie swoim wszystkim nowym adoratorom: "Jestem zaręczona, proszę mnie zostawić w spokoju". Lord Hale, który pojawił się wieczorem, słyszał już o ich wyprawie. Nic dziwnego, że czuł się

wystrychnięty na dudka przez Vincenta za wprowadzenie Larissy do towarzystwa. Jonathan uczynił mu nawet z tego powodu wymówkę:

- Poprosiłeś już ją o rękę i zostałeś przez nią przyjęty, czy tak? Teraz tylko czekasz na powrót jej ojca do Anglii, żeby oświadczyć się oficjalnie. Przyznaj, Vincencie, że marnowałem mój czas, nieprawdaż?

- Na Boga, co ma jedno wspólne z drugim? – zapytał Vincent.

- Nie byłbyś taki pewny siebie i nie chwalił się nią, gdybyś nie był z nią po słowie. Chyba nie chcesz mi wmówić, że nie wiesz, iż po zobaczeniu jej połowa londyńskiej śmietanki dobija się do twoich drzwi? Nie żartuj, za dobrze cię znam i wiem, że nie lubisz podejmować gości. Więc jaki z tego wypływa wniosek? Że nie mogłeś się oprzeć, aby się nią nie pochwalić, co i ja planowałem po przyjęciu przez nią moich oświadczyn. Nie jestem aż takim idiotą, żeby to robić przedtem, tak samo zresztą jak ty.

Vincent z trudem stłumił śmiech. Czy miał przyznać, że jest tym idiotą, którego właśnie opisał Hale? Naprawdę nie pomyślał o skutkach zabrania Larissy na wieczorne przedstawienie. Chciał, żeby się rozerwała. Chciał, żeby miała trochę uciechy, nic więcej. I starał się uniknąć towarzystwa, wybierając najmniej prestiżowy teatr, jak bowiem inaczej mógłby się opędzić od pytań znajomych na jej temat, gdyby się na nich natknął? Ale, oczywiście, pomysł spalił na panewce właśnie przez sztukę, na którą poszli, a która miała świetne recenzje, o

czym nie wiedział, a co przyciągnęło do teatru liczny tłum, włącznie z wielbicielami teatru z jego własnej sfery. Ale ponieważ, w przeciwieństwie do Hale'a, nie zamierzał żenić się z Larissą, nie starał się jej ukrywać przed wzrokiem innych mężczyzn.

Zebrali się po kolacji w saloniku. Larissa właśnie przeprosiła i udała się do siebie. Podziw tylu mężczyzn okazał się dla niej męczący.

Hale był najwyraźniej rozczarowany jej odejściem - sam przyszedł późno, nie miał zatem okazji spędzenia z nią dzisiaj więcej czasu. Tym też można było tłumaczyć jego niezadowolenie.

- Zdaje się, że już ci wspomniałem, że nie mam zamiaru poślubić Larissy ani nikogo innego, jeśli o to ci chodzi - powiedział Vincent.

- Gdzie ty masz oczy? Dziewczynie wprost trudno się oprzeć.

- Bzdura - utrzymywał Vincent i nawet udało mu się zachować przy tym poważny wyraz twarzy. - Jest piękna, tak, ale ja nie zamierzam komplikować sobie życia ożenkiem.

- Kiedyś jednak będziesz się musiał ożenić.

- Po co? Sam też tego nie planowałeś, dopóki nie spotkałeś Larissy! Poza tym ja nie potrzebuję spadkobiercy.

- Masz tytuł do przekazania - zauważył Jonathan.

- Mój tytuł może sobie zgnić. Nie zależy mi na przekazywaniu czegokolwiek komukolwiek.

- To nie jest normalne, Vincencie.

Vincent wzruszył ramionami na znak, jak niewielką wagę przywiązuje do tak zwanej normalności, na koniec jednak dodał:

- Poza tym o co chodzi? Nie prosiłem dziewczyny, żeby za mnie wyszła, ani też nie zamierzam jej prosić. A jeśli chodzi o twoją uwagę dotyczącą pójścia z nią do teatru, to czy nie przyszło ci do głowy, że może chciałem jej tylko sprawić przyjemność, pozwolić oderwać się od myśli, które ją dręczą? Bo może nie wiesz, że z powodu opóźniającego się powrotu jej ojca wyobraża sobie najgorsze rzeczy? A poza tym sądziłem, że zabieram ją na sztukę, na której nie będzie tłumów. Cholerny pech, że okazała się świetna i że już wszyscy zdążyli się o tym dowiedzieć.

- Czyżby jej ojciec nie żył?

Widać było wyraźnie, że Jonathan jest skłonny dać temu wiarę i że już myśli, jak by wykorzystać tę informację w swojej kampanii zdobycia dziewczyny.

- Wysoce nieprawdopodobne.

- Ale możliwe?

- Wszystko jest możliwe, oczywiście. Sądzę jednak, że pojawi się w ciągu tygodnia i że niezależnie od tego, co go zatrzymało, dokona wysiłku, żeby się z tym uporać. W końcu będzie mu zależało, żeby wrócić do domu na Boże Narodzenie i spędzić je z rodziną. Niestety, Larissa wbiła sobie do głowy, że wydarzyło się coś bardzo złego, a gdy już raz zamieszkał w niej ten strach, nie może się z niego otrząsnąć. Próbowałem ją przekonać, że jest inaczej, ale z

marnym rezultatem. Postanowiłem więc jakoś ją rozerwać.

Jonathan wyraził powątpiewanie:

- Potrafi doskonale ukryć swoje zmartwienie. Jak się o tym dowiedziałeś?

- Gdy rozmowa zeszała na jej ojca, wybuchnęła w mojej obecności płaczem - odparł Vincent, nie wdając się w inne szczegóły.

- Byłbym szczęśliwy, mogąc ją pocieszyć. Ale ty nie masz powodu do zmartwień, skoro ona nic dla ciebie nie znaczy. A i tak sporo dla niej zrobiłeś, pozwalając rodzeństwu zamieszkać u siebie do powrotu ojca. Tylko dlaczego, wobec tego, eksmitowałeś ich z ich własnego domu?

Pytając o sprawy, które go nie powinny obchodzić, Jonathan przekraczał granice ich dotychczasowych stosunków. O czym doskonale wiedział, gdyż zaczerwienił się lekko. A jednak postanowił dążyć dalej. Był w oczywisty sposób zainteresowany Larissą i zależało mu na wszystkich informacjach, które mógł na jej temat zdobyć, miał też nadzieję, że Vincent mu ich nie poskąpi.

Everett westchnął. Nie miał zwyczaju kłamać, a jednak, odkąd spotkał Larissę, zdarzyło mu się to już niejednokrotnie. A po zapewnieniu Jonathana, że nie jest osobiście zainteresowany dziewczyną, nie mógł przecież oznajmić wicehrabiemu, że sprowadził ją do swojego domu w celu uwiedzenia jej ani że jego celem jest zniszczenie dobrego imienia jej rodziny. Taką informacją Hale bezzwłocznie i z przyjemnością

podzieliłby się z Larissą, choćby po to, żeby zasłużyć na jej wdzięczność.

A zatem był zmuszony brnąć w kłamstwie, co już zapoczątkował wcześniej.

- Powziąłem tę decyzję, a była to czysto handlowa transakcja, zanim jeszcze do mnie doszło, że George'a Ascota nie ma w kraju, a zatem że jest nieosiągalny i nie będzie mógł ulokować swojej rodziny gdzie indziej. A gdy już wiedziałem, że jego dzieci pozostaną bez domu i bez opieki, sprowadziłem je tutaj, gdzie czekają na jego powrót.

- No proszę, cieszę się, słysząc, że nie jesteś do reszty pozbawiony serca - odparł Jonathan.

Zachmurzywszy się, Vincent zauważył:

- Czyżbyś sugerował, że okazałem serce tylko w tej konkretnej sprawie i że całe moje postępowanie jest bezduszne?

- Eksmitowanie ich tuż przed świętami - sprecyzował Jonathan.

- Przykra sprawa.

- No nie, co mają święta do zwykłych interesów?

Jonathan zamrugał oczami.

- No cóż, rzeczywiście nic, skoro już o tym wspomniałeś. Poza tym, że akurat te właśnie święta są synonimem wspaniałomyślności, hojności i zyczliwości.

- Przykro mi, ale w przeciwieństwie do ciebie nie żywię sentymentu do tych świąt, podobnie jak nie mam do nich żadnych uprzedzeń. Dla mnie to zwykły dzień, jak każdy inny.

- Jakie to smutne, Vincencie.

- Dlaczego?

- Ponieważ, jak z tego wynika, nie doświadczyłeś nigdy radości i dobrego samopoczucia, które idą w parze ze wspaniałomyślnością, hojnością i życzliwością. I tego, jak bardzo to podnosi na duchu, jeśli wolno mi mówić za siebie! Wrogowie ogłaszają rozejm. Sąsiedzi przypominają sobie o sąsiadach. We wszystkich wstępuje otucha i ludzie składają sobie życzenia wszystkiego najlepszego. Nie powiesz chyba, że nigdy tego nie doświadczyłeś.

Vincent wzruszył ramionami.

- Nie przypominam sobie.

- Tam do licha, a ja myślałem, że jesteś Anglikiem – mruknął Jonathan, co spowodowało wybuch śmiechu Vincenta, a wicehrabiego zmusiło do zadania pytania:

- Co w tym śmiesznego?

- Wyobraź sobie, że kiedy wspomniałem, iż nigdy dotąd nie miałem choinki, Larissa doszła do identycznego wniosku.

- A więc ta tutaj choinka, którą ty pomagales ubierać, jest dla niej? - parsknął Jonathan, zanim jeszcze usłyszał odpowiedź.

- Jak na kogoś, kto nigdy nie poznał dobrodziejstw tego święta, jesteś diabło wspaniałomyślny, gdy chodzi o tę pannę. Posłuchaj więc mojej rady. Przystopuj trochę, w przeciwnym bowiem razie ona może nabrać przeświadczenia, że interesujesz się nią, gdy tymczasem, jak sam mówisz, tak nie jest.

Rozdział 19

Bywa, że nasze początkowe złudzenia pewien czas się utrzymują, ale zbyt długo żywione, na ogół jednak się rozwiewają.

Tak było w przypadku Larissy. I po tygodniu z niewielką dokładką, który upłynął od tamtej nocy, kiedy uległa pokusie, doszła w końcu do wniosku, że gdyby Vincent zamierzał ją prosić o rękę, zrobiłby to już dotąd. Co oznaczało, że nie ma takiego zamiaru.

O dziwo, doszedłszy do takiego wniosku, nie załamała się. Przecież niczego jej nie obiecywał. A więc nie był oszustem. Winne są te jej niemądre nadzieje. Był w równym stopniu jak ona ofiarą tej niezwyklej siły przyciągania między nimi. Jedyne efekty końcowe nie oznaczają tego samego dla każdego z nich. Ona, będąc z natury romantyczną istotą, myślała oczywiście o małżeństwie, podczas gdy on, jak się zdaje, czerpał po prostu rozkosz tam, gdzie ją znajdował. Nie mogła go za to winić. Wywnioskowała, że jest to dla niego czymś równie naturalnym jak dla niej spodziewanie się czegoś więcej. Podejrzewała, iż fakt, że nie zależy mu na tym, by ich związek przybrał trwały charakter, dotknąłby ją znacznie boleśniej, gdyby nie opłakiwała ojca i nie

poznała jakże gorzkiego smaku jego nieobecności. Jak na ironię, zdawała sobie sprawę, że to Vincent absorbuje jej myśli i odwraca jej uwagę od tego przygnębiającego faktu i że powinna mu za to dziękować. Przychodził do niej co noc. Ich kochanie się stało się nałogiem. Z zapartym tchem, radując się na zapas, czekała na jego dotyk co noc. Każda z nich była dla niej jak zbawienie, z czego on na pewno nie zdawał sobie sprawy. Gdy była z Vincentem, myślała tylko o nim, a dopiero gdy zostawała sama, ogarniał ją znowu smutek.

Nie była także w stanie ukrywać dłużej tego smutku przed swoim spostrzegawczym bratem. I to był też powód, dla którego Thomas nie pytał już jej o termin powrotu ojca do domu. Przyłapała także Thomasa na płaczu - w dniu, w którym ostatecznie dotarło do niego, że ich ojciec nie wróci do domu. Ale porozumieli się bez słowa, że nie będą o tym mówili -jeszcze nie. Miała więc powody do wdzięczności wobec Vincenta – nie tylko za to, że ofiarował im dom na święta, ale również za te liczne, urozmaicone rozrywki, bez których pograżyłyby się w całkowitej rozpacz.

A jednak w noc poprzedzającą Boże Narodzenie znowu zamknęła drzwi. Może być wdzięczna Vincentowi, ale nie może w nieskończoność utrzymywać z nim intymnego stosunku, gdy już wie, że to jest wszystko, czego od niej chce. A jednak nie było to takie łatwe. Chociaż powinno. W końcu czuła się zboląta po świeżo wyciągniętych wnioskach. Przyszedł jak zwykle, cicho zawołał ją po imieniu z drugiej strony zamkniętych

drzwi. Nie odpowiedziała. A przecież wiedziała, że znowu próbuje oszukać samą siebie, gdyż ból, jaki jej zadał, traktując ją w tak lekki sposób, był silniejszy, niż przypuszczała. Łzy, którymi tej nocy nasiąkła jej poduszka, wyrażały żal za tym, co mogło być.

Przez wzgląd na Thomasa Larissa przybrała promienny i radosny wyraz twarzy, kiedy go obudziła i ściągnęła na dół do saloniku, żeby otworzył prezenty, które dla niego kupiła i które przed nim schowała wiele miesięcy wcześniej. Gdy nie patrzyła, on także wsunął pod drzewko kilka prezentów dla niej - rzeźby, które sam wykonał. Dostały także coś Mara i Mary, które dołączyły do rodzeństwa, żeby było więcej uciechy podczas otwierania prezentów.

Dla nich nie było to normalne Boże Narodzenie. Nie ich dom, nie ich choinka, pod którą położyli prezenty. Ale to nie miało nic wspólnego z dawaniem podarków. W końcu w dniu Bożego Narodzenia nie chodzi o miejsce: najważniejsza jest rodzina i dzielenie się, a także miłość. Nienormalność tegorocznych świąt polegała na tym, że nie byli w komplecie, i bardzo to przeżywali w ten tradycyjny dzień, w którym zbierają się wszyscy.

Mara i Mary jak mogły pomagały im o tym zapomnieć, zachwycając się zręcznością Thomasa w posługiwaniu się nożykiem, w czym z roku na rok był coraz lepszy, a także skromnymi świecidełkami od Larissy, które na szczęście kupiła wcześniej, jeszcze zanim została bez pieniędzy. Mary nie zabawiła długo,

tylko udała się do kuchni, co było prawdziwym prezentem dla niej od Larissy, która uprosiła kucharza Vincenta, żeby pozwolił jej kucharce upiec świąteczną gęś na kolację, w czym była niezrównana.

Nie martwiła się nadmiernym podekscytowaniem Thomasa, co było naturalne w takim dniu i w jego wieku, chociaż jeszcze tydzień temu niepokoiłaby się o jego zdrowie. Dzięki Bogu wyzdrowiał wreszcie, i choć nie odzyskał jeszcze dawnej energii, tryskał pogodą ducha.

- Czy mógłbym zamienić słowo z twoją siostrą na osobności?

Vincent zatrzymał się w otwartych drzwiach. Jakby się wahał, czy wejść do pokoju.

Thomas, do którego skierował pytanie, nie spojrzał w jego stronę, nie zwrócił też uwagi na zmieniony ton jego głosu. Po prostu odpowiedział:

- Pod warunkiem, że nie będzie przez pana znowu płakała.

- Przepraszam? - Tym razem ton głosu był chłodny.

- Ma takie zaczerwienione oczy...

- Thomas, uspokój się! - ucięła Larissa, całkowicie zbita z tropu i zmieszana. - To nie ma nic wspólnego z baronem - dodała, czerwieniąc się trochę bardziej z powodu kłamstwa. - Proszę, zabierz swoje nowe żołnierzyki i idź na górę. Wkrótce do ciebie przyjdę.

Thomas popatrzył na nią z niesmakiem, świadczącym o tym, iż wie doskonale, że skłamała. Ale znacznie taktowniej sza Mara pomogła mu pozbierać nowe drewniane żołnierzyki oraz książki, po czym trochę

go popychając, a trochę ciągnąc, wyprowadziła chłopca z pokoju.

Vincent nie okazał się aż taki bystry, albo też zrobił to świadomie, i gdy znaleźli się sami, zapytał:

- Znowu płakałaś z powodu ojca?

- Nie.

Teraz on się zaczerwienił. No cóż, skoro nie chciał znać prawdy, nie powinien pytać o przyczynę jej łez. A ona postanowiła go nie oszczędzać. Nadszedł czas, żeby szczerze ze sobą porozmawiali. Systematycznie unikał jej pytań lub je zbywał, kiedy byli sami w nocy, w ciągu dnia zaś, gdy wokół kręciło się tyle służby, nie było nigdy okazji, żeby porozmawiać na jakikolwiek osobisty temat. Ale teraz choć raz spotkali się sam na sam, a on nie pieścił jej do utraty przytomności ani nie przerywał jej niemądrymi uwagami, żeby móc ją do szaleństwa całować. Tym razem to on palił się, żeby jej zadać pytanie:

- Dlaczego mi nie odpowiedziałaś tej nocy?

- Prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ty nie odpowiadasz na moje pytanie - odparła.

- O czym ty mówisz?

Posłała mu smutny uśmiech.

- Daj spokój, Vincencie, nie do twarzy ci z tępotą. Ilekroć w twojej obecności zaczynałam wspominać o małżeństwie, tak z ręcznie przeskakiwałeś na inny temat, że nawet nie zdążyłam mrugnąć powieką. Bardzo dobrze, małżeństwo to temat, którego nigdy nie będziemy poruszać. A teraz, kiedy to do mnie dotarło, jest chyba

oczywiste, że moje drzwi pozostaną w przyszłości zamknięte!

Zasepił się. Chciał do niej podejść. Podniosła szybko rękę i cofnęła się o kilka kroków.

Nie było mowy o tym, żeby pozwoliła mu się dotknąć, i nie dlatego, że stało się jasne, iż nie zamierza się z nią ożenić, ale dlatego, że czuła się zbyt słaba i bezwolna w jego ramionach. Tylko, na Boga, dlaczego wiedza, którą teraz miała, nie powstrzymywała jej od dalszego pragnienia go? Powinna nim gardzić - jak na początku. Nie powinna tak gorączkowo pragnąć, żeby zaprzeczył wszystkiemu i zapewnił ją, że tak, że oczywiście pobiorą się.

- Czy na pewno tego chcesz dla nas, Larisso, dla siebie?

Jego metody zdawały egzamin, znał wiele innych, o których wiedział, że są skuteczne, choćby ten ochrypli, matowy ton głosu, którym właśnie wypowiedział to zdanie. Jak na to zareaguje, czy się oprze?

- Ja nie, ale ty tak. Czy będziemy to kontynuowali, czy też powiemy sobie dzisiaj "żegnaj", zależy wyłącznie od ciebie. Mnie wystarczy, że pójde za głosem serca.

- Twoje serce nakazuje ci odgrodzić się ode mnie.

Nie, tak nie było. Nie myślała, że zakocha się w nim bez pamięci. Najpierw myślała, że przyjemnie byłoby wyjść za niego za mąż. Nawet się nie zastanawiała, dlaczego. Ale dotarły do niej te wszystkie drobne informacje o nim i przemówiły najpierw do jej współczującej natury, a następnie do jej serca. A

nieprzeparty pociąg, jaki do niego poczuła, był tylko uboczną korzyścią - albo przekleństwem.

Starła się wskazać na to, czego zdawał się nie zauważać.

- Owoc zakazany jest uroczą pokusą. A ty jesteś dla mnie tym zakazanym owocem. Gdyby tylko o mnie chodziło, gdyby nie inni, za których jestem odpowiedzialna, mogłabym nie przywiązywać tak dużej wagi do tego, co w powszechnej opinii zasługuje na potępienie. Ale teraz muszę wychować brata sama i tak, jak go uczył mój ojciec.

- Twój ojciec nie mógł być dobrym... A zresztą... - Przerwał sobie samemu.

Przeciągnął ręką po grzywie czarnych włosów. Jego frustracja była oczywista i wciąż narastała. Czyżby to była złość? Trudno powiedzieć, skoro tak rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje - poza namiętnością.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że odpowiada mu ich dotychczasowy związek i że chce go kontynuować. Emocja, której dał wyraz, wynikała z tego, że nie chciał, aby to się skończyło. Ale nie mogła inaczej postąpić. Może zależy mu na niej, ale nie na tyle, żeby miała na stałe wejść do jego życia. Co więc jej pozostaje? Jaką rolę dla niej przewidział? Metresy, co byłoby niezgodne z wychowaniem, jakie otrzymała? A może traktował ją tylko jako przelotną miłośćkę, która kończy się wcześniej, niż to zaplanował?

Sama już zaczynała odczuwać pewne zniecierpliwienie, co ją nawet ucieszyło, naprawdę.

Wszystko, byle nie myśleć o uciskającym bólu w okolicy serca.

- Vincent, nie wiem, czego ode mnie oczekujesz. A czy chociaż ty sam wiesz?

- Wiem, że nie chcę, byś ode mnie odeszła.

- To tylko może zapewnić małżeństwo.

- Psiakrew! - wybuchnął. - Nie mogę się z tobą ożenić.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Z powodu twojego ojca.

Zmieszała się nagle, nic z tego nie rozumiejąc.

- Co takiego?

- Są sprawy, o których nie wiesz.

- Więc powiedz!

- Szanujesz go i uwielbiasz, Larisso - odpowiedział.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Zbladła, znowu wyciągając własne wnioski.

- On Nie żyje, czy tak? A ty o tym wiedziałeś przez cały czas. Otrzymałeś dowód...

- Nie! - Tym razem, zanim zdążyła zrobić krok do tyłu, rzucił się, ale tylko po to, żeby ją chwycić za ramiona. Potrząsnął nią. - Nie, nic podobnego. Niech mnie kule biją, to wszystko funta kłaków niewarte! Ty jesteś ważniejsza. A jeśli chodzi o twojego ojca, to tylko się spóźnia. Nie ma powodu do większych obaw. Szczerze mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby pojawił się dzisiaj na progu mojego domu...

Pukanie do frontowych drzwi było zbyt głośne, żeby go nie usłyszeć, i zbyt prorocze, żeby nie wstrząsnąć Larissą. Znieruchomiła. Wstrzymała oddech w pełnym nadziei oczekiwaniu.

Ale nie wytrzymała zbyt długo. Wyrwała się Vincentowi, usłyszała jego westchnienie, ale nie zwróciła na to uwagi. Wybiegła przez otwarte drzwi saloniku i wytrzeszczyła oczy na widok starszego lokaja, spieszącego, by zająć się dobijającym się gościem.

- Nie mówiłem tego dosłownie, Larisso - odezwał się Vincent z za jej pleców, a jego głos nieomal zdawał się wyrażać współczucie.

Znowu go zignorowała, nie chcąc słuchać kolejnych zaprzeczeń. To była jej ostatnia nadzieja. Dobry Boże, spraw, żeby to był ojciec. O nic już nigdy nie poprosi, nigdy... To nie był jej ojciec. W drzwiach stał potężny, krzepki mężczyzna i pytał, czy tutaj mieszka baron of Windmoor. Więcej już nic nie usłyszała. Zaczęło jej dzwonić w uszach. Pociemniało w oczach. Jeszcze tylko dotarło do niej, że mdleje, i prawie się zaśmiała, ponieważ była twarda i nie takie rzeczy przeżyła. Czyżby? A może po prostu za długo wstrzymywała oddech...

Vincent złapał ją, zanim zupełnie ugięty się pod nią nogi. Słyszała, jak woła ją po imieniu, próbując przywołać do przytomności, podczas gdy jej umysł z uporem odpływał w nicość. Jego głos brzmiał jak głos jej ojca. To tylko jej oszołomiony umysł płatał teraz figle. Głos kazał

jej otworzyć oczy. Nie, nie zrobi tego. Już nie chce żadnych rozczarowań. Zbyt wiele ich przeżyła.

- Rissa, proszę, tylko spójrz na mnie.

Vincent nigdy nie mówił do niej Rissa. Otworzyła oczy, po czym znowu zapomniała oddychać.

- Tatusiu? - wyszeptała. - To naprawdę ty?

W odpowiedzi została porwana w ramiona, a był to tak dobrze jej znany, wypróbowany uścisk, który był ciepłem, pocieszeniem i miłością, a także zapewnieniem, że odtąd wszystko będzie dobrze, uścisk, który towarzyszył jej przez całe życie, na którym mogła polegać. To był on. O Boże, on, żywy, i w domu, żywy, żywy...

Zaniosła się potwornym, rozdzierającym szlochem. Nic na to nie mogła poradzić. Jej modlitwy zostały wysłuchane. Okres, w którym dzieją się cuda, okazał się dla niej łaskawy i ofiarował swój dar.

Rozdział 20

- **D**laczego moje dzieci są tutaj?

To były pierwsze słowa George'a Ascota wypowiedziane do Vincenta, kiedy zostali sami. Ojciec Larissy był postawnym, mocno zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Jego jasnobrązowe włosy posiwiały lekko na skroniach; więcej srebrnych nitek widniało na jego starannie utrzymanej brodzie. Oczy miały niepokojąco identyczny jak u córki niebieskozielonkawy odcień, równie ciepły, wskazujący na serdeczny i współczujący charakter, co w tym przypadku było oczywiście zwodnicze. Vincent stał w milczeniu i przyglądał się zroszonemu obficie łzami spotkaniu, będąc naocznym świadkiem czułości i miłości płynącej od ojca do córki, co go do pewnego stopnia zdziwiło. Ale czego się spodziewał? To, iż ten człowiek rozprawia się nieuczciwie i podstępnie z konkurencją, nie musi bynajmniej oznaczać, że nie kocha swojej rodziny. Sądził, że nawet diabeł mógłby kochać własne dzieci, gdyby je miał, nie przestając być diabłem. Larissa nie powinna była zostawiać ich samych. Przestała zalewać się łzami, a w końcu nawet zaczęła się śmiać, po czym pobiegła na górę, żeby ściągnąć brata i przekazać mu dobrą nowinę.

Nawet jeszcze nie zdążyła zapytać ojca o powód tak długiej nieobecności. Widać nie było to dla niej aż tak ważne, skoro jest cały i zdrow - i nareszcie są razem.

Vincent mógł go prosić o wybaczenie. Mógł także próbować naprawić krzywdę. Zrobiłby to, gdyby nie zostawiła ich samych, albowiem już zdecydował, że jego zemsta niewarta jest utraty Larissy. Zdumiewające odkrycie, którego by może nie dokonał, gdyby mu właśnie nie otworzyła oczu. Ale gdy tak tu stał w holu z człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć brata, powróciły uczucia, od których to wszystko wzięło początek. I na nieszczęście wzięły nad wszystkim górę, gdy odpowiedział:

- Pozostawił je pan bez opieki i bez środków do życia; nie miały dokąd się udać.

George musiałby być głuchy, żeby nie słyszeć odrazy w tonie głosu Vincenta, i chociaż nie znał przyczyny, poczuł się obrażony i odparł sztywno:

- Rissa miała aż nadto dużo środków na prowadzenie domu.

- Skąd więc ta panika wśród kredytodawców, domagających się od niej natychmiastowego uregulowania rachunków?

- Panika? Jak to możliwe?

- Może z powodu pogłosek, jakoby pańskie mocno podejrzone praktyki zawodowe doprowadziły pana do bankructwa.

- To jakaś niedorzeczność!

Vincent, na którym wzburzenie tego poczerwieniałego na twarzy mężczyzny nie zrobiło wrażenia, wzruszył ramionami.

- Nie było tu pana, by dowieść, że jest inaczej, prawda? W końcu pańska przedłużająca się nieobecność mogła tylko potwierdzić i umocnić podejrzenia o pańskim zamiarze nie wracania do Anglii w ogóle.

- Przecież tutaj była moja rodzina! Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyciągnąłby wniosku, że mógłbym ich porzucić!

- Ktoś pozbawiony zasad etycznych nie martwiłby się, rzucając rodzinę wilkom na pożarcie. Spotykamy się z tym na każdym kroku. Poza tym skąd pańscy kredytodawcy mogli wiedzieć, czy pańska rodzina również nie zechce opuścić Anglii?

George zapłonął jeszcze większym oburzeniem, co odbiło się na kolorze jego twarzy.

- Wygląda na to, że pan także dał wiarę tym niedorzecznym plotkom.

- Może i dałem.

- Dlaczego? Nawet mnie pan nie zna.

- Czyżby? Nie znał pan mojego nazwiska, podając woźnicy mój adres?

W tym miejscu George zmarszczył czoło, wyjaśniając:

- Po powrocie zastałem pusty dom - bez rodziny i bez sprzętów. Najbliżsi sąsiedzi poinformowali mnie, że znajdę rodzinę w rezydencji barona of Windmoor, i podali adres, który im zostawiła Rissa. Nie, w rzeczy

samej, nie dysponowałem niczym poza pańskim tytułem, kiedy co prędzej pospieszyłem tutaj. Czy pańskie nazwisko ma związek z tą sprawą? Kim pan jest, sir?

- Vincent Everett.

- Na Boga, czyżby pan był krewnym tego łajdaka Alberta Everetta?

Teraz Vincent zeszywniał.

- Mój wspomniany przez pana brat nie żyje.

- Nie żyje?! - zdumiał się George. - Bardzo mi przykro, nie wiedziałem o tym.

- Niech pan nie będzie hipokrytą, Ascot - powiedział z niesmakiem Vincent. - Wyrażanie żalu przez człowieka, który doprowadził do jego śmierci, brzmi ze wszech miar fałszywie.

- Doprowadził do...? - George aż zaniemówił. - Kto panu napłócił takich niedorzeczności?

- A więc teraz będzie się pan zastaniał niewiedzą? Doskonale, pozwolę sobie nieco odświeżyć pańską pamięć. Niewielką kwotę, pozostałą ze spadku, Albert postanowił zainwestować w interes, który by mu dostarczył środków na utrzymanie. Tak się niestety złożyło, że wybrał tę samą dziedzinę, którą i pan się zajmuje, pan zaś już się postarał dać mu do zrozumienia, że dodatkowa konkurencja jest niemile widziana.

- To nie jest...

- Proszę pozwolić, że skończę - przerwał Vincent. - Na każdym kroku torpedował pan jego wysiłki, kazał swoim kapitanom podbijać ceny ładunków, po które przyjeżdżał, chcąc go w ten sposób zniechęcić i

uniemożliwić jakikolwiek zarobek. Robił pan wszystko, żeby zbankrutował, i dopiął pan swego. Zrujnował go pan doszczętnie, do tego stopnia, że wolał popełnić samobójstwo niż przyznać mi się, że stracił wszystko. Czyżby naprawdę pan sądził, że jego rodzina pozwoli panu odejść spokojnie, zważywszy na to, co pan zrobił, Ascot?!

Minęło oburzenie. Starszy z mężczyzn był teraz czerwony z wściekłości, chociaż udało mu się zapanować nad głosem i odpowiedzieć spokojnie:

- Jest pan trochę niedoinformowany, sir. Interes pańskiego brata poniósł fiasko dlatego, że to on podkupywał ładunki moje ładunki, zakontraktowane wcześniej przeze mnie – po śmiesznie wysokich cenach, po jakich nie mógł ich odsprzedać, by nawet w przybliżeniu zwrócić sobie to, co zainwestował. Podejrzywałem, że ma nieograniczone fundusze na ten cel, i dlatego zrezygnowałem z odzyskania rynków, które mi ukradł, i popłynąłem szukać nowych na zachód. Gdybym usłyszał, że zbankrutował, nie płynąłbym tak daleko.

- A zatem powiada pan, że Albert próbował pana zrujnować i że w rezultacie sam doprowadził się do ruiny?

- Właśnie tak.

- Zgodzi się pan ze mną, że najłatwiej jest obwiniać kogoś, kto nie może się bronić, ponieważ nie żyje.

- Prawda nie zawsze jest łatwa do przełknięcia, sir, choć zwykle można ją sprawdzić. Wystarczy tylko

zapytać kapitanów moich statków albo zainteresowanych kupców, którzy zerwali ze mną zawarte uprzednio kontrakty, skuszeni szybkimi zyskami u pańskiego brata. Cena tych towarów nie została podbita, jak pan nadmienił, miały już swoje wcześniej ustalone ceny. Albo może zapyta pan kapitanów, których zatrudniał pański brat. Oni mogą panu powiedzieć, że mieli rozkaz przechwytywania ładunków za każdą cenę. W gruncie rzeczy to, czy działali na własną rękę, czy z jego polecenia, nie jest istotne, liczy się bowiem rezultat. Specjalnie płynęli w niedużej odległości za moimi frachtowcami i pojawiali się w tych samych portach.

- Więc teraz zrzuca pan winę na jego kapitanów?

George westchnął.

- W rzeczywistości obwiniam tego, kogo należy, to znaczy pańskiego brata. Rozmawiałem z nim przed wyjazdem z Anglii, próbując wywnioskować, dlaczego wyrzuca pieniądze na prowadzenie nieuczciwej gry, zamiast włożyć trochę wysiłku i samemu znaleźć nowe rynki, które by mu przyniosły uczciwy zysk. Prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że pański brat po prostu nie wie, co robi, ale jest zbyt dumny, żeby to przyznać. Jak na ironię jego taktyka mogłaby zdać egzamin, gdyby miał dostatecznie dużo pieniędzy i doprowadził przedsięwzięcie do końca. Najwyraźniej mu ich zabrakło i zamiast tego zrujnował siebie, a przy okazji i mnie.

Vincent potrząsnął głową.

- Chyba pan nie sądzi, że w to uwierzę? Znam wady mojego brata, nigdy ich zresztą nie ukrywał,

podobnie jak popełnianych przez siebie błędów. Dlaczegoż więc miałby kłamać w tej sprawie? Twierdził, że to pan, zwłaszcza pan, przyczynił się do jego upadku.

- Nie potrafię odpowiedzieć, dlaczego akurat wskazał na mnie jako na winnego, i prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem, skoro on nie żyje. Mniemam także, iż daremnie strzępię język, dowodząc przed panem swojej niewinności, skoro nie chce pan dostrzec niczego, poza tymi kilkoma faktami, które pan przytoczył. Niech i tak będzie. Ale jeżeli wierzy pan w to wszystko, to dlaczego pomógł pan mojej rodzinie?

- Co pana skłania, by sądzić, że im pomogłem?

George zeszywniał. Zaalarmował go ton głosu rozmówcy.

- Co pan zrobił?

Vincent nie odpowiedział. Oto chwila, do której cały czas dążył, chwila, w której mógłby powiedzieć to jedno: "Zrewanżowałem się tym samym", a czego nie był w stanie zrobić. Nie przechodziło mu to przez gardło. Nie dlatego, że uwierzył Ascotowi; bo nie uwierzył. Ale dlatego, że sam, w równym stopniu co Ascot, był winny śmierci Alberta. Nie pociągał wprawdzie za sznurki, które doprowadziły Alberta do podjęcia tragicznej decyzji, jak to zrobił Ascot, ale też nie zrobił nic, żeby zapobiec tej decyzji brata.

Nie zauważył tego wcześniej, koncentrując się jedynie na zemście, którą traktował jako swój moralny obowiązek. Ale w grę wchodziła wina, jego wina, wina zaniechania - nie poświęcił bratu dostatecznej uwagi, nie

pogłębił ich wzajemnych stosunków, co, być może, ośmieliłoby Alberta do zwierzenia się Vincentowi z kłopotów, a więc i z bankructwa, zamiast całkowitego poddania się i odebrania sobie życia.

Rodzice tak bardzo zepsuli i rozpieścili Alberta, że po ich śmierci nie potrafił stanąć na własnych nogach i żyć na własny rachunek. Wymagał stałego oparcia. Ich nagła śmierć fatalnie się na nim odbiła. Vincent mógł mu pomóc, mógł go stopniowo zaprawiać do życia, albo przynajmniej spróbować wpoić mu wiarę w siebie. Zamiast tego traktował słabości Alberta z niesmakiem, nie robiąc nic, żeby mu pomóc je przezwyciężyć.

- Powtarzam: co pan zrobił?

- Nic, czego nie można by cof...

- Poza tym, że w jakiś sposób udało mu się wykupić nasz dom, a następnie wyrzucić nas stamtąd, żebyśmy nie mieli gdzie się podziać - z góry schodów rozległ się stłumiony, bezbarwny głos Larissy. - Następnie sprowadził nas tutaj, żeby mnie uwieść - nie zamierzając poślubić - a zrobił to bez większego trudu. Wiedząc, jak martwię się o ciebie, a nawet lękam o twoje życie, ojczy, nie zawahał się wykorzystać mojej słabości. Posłużył się moim bólem, od którego musiałam się choć trochę oderwać i potrzebowałam jakiejś rozrywki. Zadał o to, okazał się doskonałą rozrywką!

Spoglądała z góry na Vincenta, a jej twarz była bez wyrazu, jakby odpłynęły z niej wszystkie emocje - albo jakby nie zostało w niej miejsca na nic więcej. Stojący obok niej Thomas rzucił Vincentowi mordercze

spojrzenie, gdy brał siostrę za rękę, ofiarowując jej pocieszenie i pragnąc ją podnieść na duchu. Chłopiec wyczuwał, jak bardzo jest obolała, nawet jeżeli tego nie okazywała.

Czy byli świadkami całej rozmowy? Tak, skoro wyciągnęła tak trafny wniosek. Tylko że oni, w przeciwieństwie do niego, bezgranicznie ufali swojemu ojcu i nie mieli wątpliwości, że nie zrobił nic złego. A nie było tutaj Alberta, który by dowiódł, że jest inaczej, i nigdy go nie będzie. Zresztą nie miałyby to większego znaczenia. Nie przestaną wierzyć ojcu, pomimo faktu, że to Albert został zniszczony, nie zaś Ascot.

A jeśli Ascot powiedział prawdę? Nie, to niemożliwe, a poza tym gdyby Albert był winny, to wina brata spadała też na Vincenta, szukającego zemsty i wymierzającego w jego imieniu sprawiedliwość. Podobna myśl wydała mu się nie do przyjęcia - przyprawiła go wręcz o niesmak - a jednak nie była gorsza od tego, co czuł w tej chwili, patrząc na Larissę. To był potworny strach. Jakby właśnie stracił najdrogocenniejszą rzecz w życiu.

I tak też było - stracił jej szacunek, jej współczucie, jej miłość.

Powinien kontynuować swoją zemstę przez wzgląd na brata, ale nie mógł z powodu jej. I tak poniesie jeszcze ciężkie tego konsekwencje. Nawet gdyby wszystko naprawił, nie zmieniłby jej nastawienia. Szukał zemsty na człowieku, którego ona uważa za niewinnego, i wykorzystał ją w tym celu. Nigdy mu tego nie wybaczy.

Nawet gdyby udało mu się ją przekonać, że jej ojciec jest winny. Ale nie mógł tego zrobić, gdyż jedynym na to dowodem był list Alberta, który uznałaby za sfałszowany.

A jednak postanowił spróbować. Ból, że ją stracił, był nie do zniesienia.

- Mam list, który przynajmniej wyjaśni, że moje postępowanie...

- Nie wątpię, że kierował się pan słusznymi powodami, robiąc to, co pan zrobił - przerwała mu. - Czy to jednak dostateczny powód, by dla osiągnięcia własnego celu krzywdzić niewinną dziewczynę?

- Nie - zmuszony był odpowiedzieć. - Nie, cel pozostał już tylko pretekstem, gdy panią poznałem.

Zaczerwieniła się. Nie wątpił, że zrozumiała, co chce jej powiedzieć - że uwiedzenie jej było jak najbardziej osobistą sprawą, niemającą w rzeczywistości nic wspólnego z zemstą. Ale wiedział też, że to niczego nie zmienia. Nie pozwolono mu też na dalsze wyjaśnienia. W tym czasie bowiem jej ojciec, słysząc, że jego córka została skompromitowana, opanował się. A jego reakcja była naturalna i natychmiastowa. Nie prosisz o rękę, należy ci się potężny cios pięścią. Wymierzył go z całą siłą nieprzygotowanemu na to Vincentowi. Kiedy Everett odzyskał przytomność, Ascotów już nie było.

Rozdział 21

- **N**ie zdjęła swoich ozdób z choinki? Ciekawe, dlaczego, skoro miały dla niej tak wielką wartość sentymentalną.

Vincent nie odpowiedział Jonathanowi Hale'owi ani nie wyraził zadowolenia z powodu jego przybycia. Nie potrzebował towarzystwa, ale nie pomyślał o tym wcześniej i nie uprzedził głównego lokaja, że nie przyjmuje dzisiaj gości. Siedział w saloniku sam, wpatrując się w bożonarodzeniową choinkę Larissy i rozpamiętując tamten dzień, kiedy ją ubierali, radość, jaką odczuwał, śmiech...

Poczuł się częścią tamtego dnia bardziej niż kibicującym outsiderem, jak zwykle w jego przypadku. To była zasługa Larissy. Dzieliła się swoją radością z każdym, nikogo nie wykluczała. Sprawiała, że nawet jego służba poczuła, iż choinka jest ich choinką, wciągnęła Jonathana w ubieranie jej, ponieważ akurat tam był. Dla niej to było wydarzenie, które rozpoczynało porę dzielenia się darami, także darami serca.

Nie odpowiedział Hale'owi w obawie, że gdy wydobędzie z siebie jakieś słowa, będzie to tylko łkanie,

które go dławi. Ale wicehrabia albo nie dostrzegął jego strapienia, albo udawał, że go nie zauważa.

Jonathan wiedział, że Larissa wyprowadziła się, że zabrał ją ojciec i że ich obecne miejsce pobytu jest nieznane. Nie uradowało go to bynajmniej, zaskoczył więc Vincenta, gdy nie zapytał jak zwykle: "Odnalazłeś ją?", o co dowiadywał się już od progu, odkąd od zeszłego tygodnia zaczął tutaj codziennie zaglądać. Rzadko jednak rozmawiali o obrazie - oficjalnym powodzie jego wizyt. Teraz zaś, wobec konieczności odnalezienia Larissy, obraz zszedł na daleki plan.

- Jak wiesz, niektóre z nich robiła jeszcze jej matka - ciągnął Jonathan. - A kilka nawet jej dziadkowie, jedną zaś, którą uważa za najdrogocenniejszą, wystrugał pradziadek. Wygląda na to, że robienie zabawek na choinkę to rodzinna tradycja. Uważam to za całkiem oryginalne i interesujące. Zastanawiałem się nawet, czy samemu nie zrobić czegoś i nie ofiarować jej w charakterze podchoinkowego prezentu, ale dość szybko zrezygnowałem. Po prostu nie mam do tego talentu.

Vincent westchnął i w końcu zerknął na swojego gościa.

- Nie dowiedziałem się niczego nowego - powiedział, mając nadzieję, że skłoni tym Jonathana do wyjścia.

- Nie liczyłem na to. Po prostu codzienne zaglądanie do ciebie stało się już nawykiem. Nieważne, co o tym sądzisz, ale postanowiłem zaryzykować i trochę cię rozweselić.

- Nie potrzebuję.

- Oczywiście, że nie potrzebujesz - odparł ze śmiertelną powagą Jonathan. - I, oczywiście, nie wywracają ci się bebechy z tęsknoty za nią. Szkoda tylko, że nie uświadomiłeś sobie wcześniej, iż przez cały czas się okłamujesz, jeśli chodzi o twój stosunek do niej.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że okażesz się taki skory do wyciągnięcia fałszywych wniosków, Jon.

Jonathan zachichotał.

- Nadal się oszukujesz czy też robisz to wyłącznie na mój użytek?

- Zjeżdżaj do domu - mruknął Vincent.

- Mam ci pozwolić nurzać się samotnie w tym nieszczęściu? - zapytał Jonathan, opadając na sofę obok Vincenta. - Zdaje się, że jest takie stare powiedzenie, które mówi, że nieszczęście lubi towarzystwo. A ja nie chciałbym samotnie nurzać się w moim.

- Cholernie dobrze wiesz, że dla ciebie Larissa byłaby jedynie kolejną zdobyczą. Nie jesteś do niej głęboko przywiązany.

- To prawda, i dlatego moje nieszczęście jest niczym w porównaniu z twoim.

- Ja nie jestem nieszczęśliwy.

Słyszając to, Jonathan parsknął śmiechem.

- Jesteś pogrążony w tak ciężkiej depresji, że nawet światło dzienne sprawia ci ból. Przyznaj, chłopie - okazałeś się skończonym idiotą, nie zaręczając się z nią, kiedy była ku temu okazja.

- Nie masz zielonego pojęcia o niczym, co się tutaj wydarzyło - warknął Vincent.

Jonathan uniósł brew.

- To prawda - przyznał i zaraz dodał: - A ty?

- Co proszę?

- Czy zdawałeś sobie sprawę, że jest w tobie zakochana? Widziałem na własne oczy, chociaż, oczywiście, starałem się to bagatelizować, bo kolidowało z moimi planami. Jak się domyślasz, zupełnie nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie mogę jej skusić moimi milionami. Niestety, prawdziwa miłość jest nieprzekupna.

- Wyobraź sobie, że ja naprawdę nie mam ochoty rozmawiać na ten temat.

- Czemuż to? Czyżbyś nie chciał naprawić błędu, gdyby dano ci drugą szansę?

Drugą szansę? Vincent nie wybiegał myślami aż tak daleko. Czynił starania, żeby odnaleźć Larisę. Rzeczywiście planował złożyć u jej stóp prawdę, całą prawdę. Ale nie miał wielkiej nadziei, że to coś zmieni, poza oczyszczeniem własnego sumienia. A teraz, po upływie tygodnia, nie miał już prawie nadziei, że ją kiedykolwiek zobaczy.

Nie sądził, żeby osobiście wróciła po rzeczy, które tutaj zostawiła, liczył jednak, że przynajmniej ktoś, choćby to był służący, zjawi się po nie. Ale nie przysłała nikogo po swoją biżuterię. Nadal też nie знаła miejsca, gdzie został złożony jej dobytek. Gdyby zażądała jednego czy

drugiego, pojawiłby się ktoś, kogo mógłby śledzić i kto by go naprowadził na jej trop, ale nikt się nie pojawił.

Przeszukano hotele i zajazdy. Jego ludzie przeczesali całe miasto i stale obserwowali biuro Ascota. Statek, którym wrócił do Anglii, stał nadal w porcie, czekając na pozwolenie wypłynięcia do doku, więc przynajmniej było wiadomo, że George jest nadal w kraju. Ale brakowało klucza, który naprowadziłby na ślad jego rodziny.

Jonathan najwyraźniej znudził się czekaniem na odpowiedź na swoje ostatnie pytanie. Westchnął więc i powiedział:

- Muszę ci coś wyznać.

Vincent nastroszył się.

- Nie rób tego. Nie mam nastroju do wysłuchiwanie zwierzeń.

- Tym gorzej - zachnął się Jonathan. - Ponieważ i tak będziesz musiał wysłuchać, czy chcesz tego, czy nie. Przyszedłem do ciebie, żebyś mi znalazł *Nimfą*, nie tylko dlatego, że pragnę mieć ten obraz na własność. Jest wielu innych, których mógłbym zatrudnić, i to za znacznie niższe honorarium. Lubię cię, Vincent, podoba mi się twój styl, podoba mi się, iż nigdy nie próbowałeś się podlizywać i przymilać, żeby coś ode mnie wyciągnąć, jak to się dzieje w przypadku większości ludzi, których znam. Jak wiesz, nie mam przyjaciół, to znaczy prawdziwych przyjaciół.

- Bzdura, gdziekolwiek się pojawiaasz, zawsze otacza cię tłum ludzi.

- Większość ich to pijawki - uciął Jonathan z niesmakiem w głosie. - Nic ich nie obchodzi, podobnie jak to, co czuję. Zależy im jedynie na tym, żeby wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy z mojej kieszeni. I zawsze tak było. W końcu urodziłem się bogaty.

- Dlaczego mi to mówisz? - zapytał z pewnym zakłopotaniem Vincent.

Na policzkach Jonathana pojawił się lekki rumieniec, dodał jednak:

- Ponieważ mi zależy, żebyś został moim bliskim przyjacielem, takim jakiego nigdy nie miałem. A ponieważ nic nie wskazuje na to, by miało do tego dojść, odwołam się do starego porzekadła, mówiącego, że zwierzenia stanowią solidną podstawę do nawiązania i rozwijania trwałej przyjaźni. A poza tym ty też, jak się zdaje, nie masz bliskich przyjaciół. Nie myślę się?

Vincent nie widział potrzeby, by temu zaprzeczać:

- Nie.

- A więc...

- Czyżbyś jeszcze nie zauważył, że jestem samotnikiem? - zaznaczył z naciskiem Vincent.

- Oczywiście, że tak, i to jest jedna z tych cech, które w tobie cenię. A to, że sam bywam tu i ówdzie, nie znaczy, że to lubię, tylko po prostu jestem tak cholernie samotny, iż garnę się do każdego towarzystwa, choćby to nawet byli pochlebcy, skoro na nic innego nie mogę liczyć.

Vincent czuł się zakłopotany tymi "wyznaniami", i nie dlatego, że Jonathan poczuł nagłą potrzebę

wyrzucenia z siebie tego, co go gryzie, ale dlatego, że jego zwierzenie zabrzmiało o wiele za poufale, a jego treść była mu nieobca. Nie zdawał sobie sprawy, iż mają ze sobą tak wiele wspólnego, że żaden z nich nie potrafił na tyle zaufać drugiej osobie, by zbliżyć się do niej, że każdy z nich bał się ryzyka odmowy i zranienia przez drugą osobę.

- Czy już mnie żałujesz? - zapytał z nadzieją w głosie Jonathan.

- Nie.

- Do jasnej cholery...

- Ale z przyjemnością zapraszam cię na kolację.

Wicehrabia roześmiał się.

Rozdział 22

Jak na ironię, o tej samej porze co Vincent Larissa siedziała przed bożonarodzeniową choinką. Ona także była sama i przypominała sobie szczegóły ubierania tamtego drzewka. Tutejsze nie należało do niej i nie zachowało się w najlepszym stanie, pociemniało już, miało żałośnie zwisające gałęzie i całą masę igieł na podłodze. Należało do Applebeesów, dobrych przyjaciół ojca, którzy dotąd mieszkali w Portsmouth. Po opuszczeniu miejskiego domu Vincenta ojciec zawiózł ją i Thomasa prosto do nich.

Larissa, pomimo szoku, w jakim była, gdy tu przyjechali, odnotowała w świadomości fakt, iż nie brała pod uwagę Applebeesów, kiedy cierpiała katusze, nie wiedząc, dokąd zabrać brata po stracie domu. Przecież powinna była o nich pomyśleć – byli naprawdę oddanymi, starymi przyjaciółmi ojca – przypomniała sobie o nich, gdy już przeprowadzili się do domu Vincenta, a także o swoich licznych przyjaciółkach z dzieciństwa w Portsmouth, z których każda przyjęłaby ją z otwartymi ramionami. Ale wtedy było jej wygodnie zapomnieć o ich istnieniu, z tej prostej przyczyny, że chciała zostać w domu barona.

Oczywiście choroba Thomasa odegrała decydującą rolę; przynajmniej tak to wówczas widziała. Lepiej było zaoszczędzić mu długiej podróży do Portsmouth, zwłaszcza że wciąż jeszcze gorączkował. Ale mogli spróbować, mogli uszczelnić powóz przed zimnem i wiatrem i przywieźć go tutaj możliwie prędko, gdyby okazało się to konieczne. Zaofiarowana przez Vincenta gościna sprawiła, że nie było takiej potrzeby. Natomiast pragnienie Larissy, by lepiej poznać Vincenta, powstrzymywało ją przed rozważaniem tych innych możliwości, nawet jeżeli w tamtym czasie nie przyznawała się do tego.

Już prawie od tygodnia mieszkali u Applebeesów. Tyle też czasu potrzebowała Larissa, żeby otrząsnąć się po wszystkich przeżyciach. Świadomość, że padła ofiarą spisku, którego celem była zemsta, doszczętnie ją rozbiła. Wszystkie jej wyobrażenia na temat Vincenta Everetta okazały się fałszywe. Zakochała się w kimś, kto w rzeczywistości nie istniał, kto okazał się całkowitym wymysłem.

Ojciec chciał ją pocieszyć, ale po jej pierwszym wybuchu płaczu doszedł do wniosku, że najlepszym lekarstwem na jej zbolełe serce będzie zaniechanie jakichkolwiek o tym rozmów, a więc i o Vincencie. Była mu za to wdzięczna. Rzeczywiście nie mogłaby jeszcze o nim rozmawiać, skoro na samą myśl o Vincencie zalewała się łzami. W takim stanie ducha nie zdobyła się jeszcze na dłuższą rozmowę z ojcem.

Dotąd nie zdążyła się dowiedzieć, co go zatrzymało i sprawiło, że tak długo nie wracał do Londynu. Jeśli nawet o tym wspomniał, a chyba to zrobił, prawdopodobnie nic do niej z tego nie dotarło. Kiedy znajdowała się w pobliżu, prawie wszyscy mówili szeptem. Applebeesowie byli poczciwi, ale gdyby im powiedziano, dlaczego jest pogrążona w takiej rozpacz, jeszcze bardziej by się nad nią litowali.

Stanowili dużą rodzinę. Czwórka dzieci Williama i Ethel była już dorosła i miała swoje własne rodziny, a wszyscy oni zjechali w odwiedziny do rodziców w tym szczególnym okresie roku. Dom pękał w szwach. Był to jednak duży budynek, wystarczyło więc miejsca dla Ascotów, a Thomas spędzał większość czasu z dziećmi, których tu nie brakowało. I chwala Bogu, ponieważ o ile jej ojciec taktownie unikał bolesnego dla niej tematu, o tyle Thomas z pewnością by tego nie robił, gdyby ją zastał samą. Na szczęście, przy takiej liczbie ludzi w domu, rzadko kto przebywał sam - aż do dzisiaj. Czwórka dorosłych dzieci Applebeesów razem z liczną latoroślą musiała wrócić do swoich własnych domów.

Z powodu tego masowego exodusu już od kilku godzin Larissa miała salonik wyłącznie dla siebie. Skończyły się pełne współczucia szepty. Skończyły się próby rozweselenia jej, chociaż wcale nie pragnęła, żeby to robiono. Ale też i żadnej ulgi, teraz, gdy po doznanym szoku przestała być odrętwiała. I dużo, o wiele za dużo czasu i spokoju na introspekcję, na nieme pogróżki - i złość.

Ogarnęła ją bowiem złość. Choć nie stało się to tak zupełnie nieoczekiwanie, pojawiło się jednak nagle i ze wzmożoną siłą, a teraz czało się tuż pod skórą i okropnie doskwierało. Żeby tak łatwo pozwolić się wykorzystać i oszukać, trzeba być potwornie naiwną i głupią istotą! A Vincentowi poszło to niezmiernie łatwo. To był zabójczy cios. Sama się prosiła, błagała go prawie, żeby ją wyprowadził w pole. Cała jego taktyka okazała się tak doskonałą nie dlatego, że jest aż taki bystry i zręczny w oszukiwaniu ludzi, ale na skutek jej naiwności. To ona postanowiła uwierzyć, że mu na niej zależy.

Dobry Boże, z jaką niechęcią musiał jej dotykać i kochać się z nią, skoro tak bardzo gardził jej rodziną! I jak musiał się śmiać, gdy tak łatwo mu uległa i nabrała się na jego kłamstwa. Wszystko między nimi było kłamstwem, wszystko, co o nim sądziła, też było...

- Czy chcesz zostać tutaj z Thomasem, gdy ja wrócę do Londynu?

Pytanie padło z ust jej ojca, który wszedł właśnie do pokoju. Przynajmniej tym razem usłyszała, co do niej mówi. Przywołała na pamięć liczne chwile, kiedy musiał po kilkakroć powtarzać to samo, starając się, żeby go w ogóle zauważyła.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała.

- Rano.

Miał dla nich znaleźć nowy dom. Przypomniała sobie jak przez mgłę, że rozmawiano na ten temat podczas wczorajszej kolacji. Gdyby pojechał sam, zatrzymałby się w swoim londyńskim biurze. Gdyby ona

z nim pojechała, musiałyby dla nich wynająć pokój w hotelu. Nie widziała powodu, żeby ponosił dodatkowe koszty. Nie zapytała go o sprawy finansowe. Byłoby nie na miejscu pytać go o to. Z kilku rozmów, które udało jej się usłyszeć, kiedy nie mogła spać, ponieważ użalała się nad sobą, wywnioskowała, że znalazł nowe rynki towarowe na Karaibach i że przynajmniej o to może się już nie martwić.

- Zostanę tutaj - odparła.

- Lepiej się czujesz?

Jego twarz wyrażała ogromną troskę. Także w tonie głosu ojca słyhać było pewne nietypowe dla niego wahanie. Musiał się już zacząć poważnie niepokoić jej stanem, graniczącym z niemal kompletnym brakiem kontaktu z rzeczywistością. Ale nie chciała teraz poruszać tego tematu.

- Lepiej - nie. W pełni świadoma - tak.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Odrobina roztargnienia nigdy...

Przerwała mu:

- Byłam taka nieobecna, ojcze, że równie dobrze mogłoby mnie tu nie być. Wyobraź sobie, że nawet nie wiem, co cię zatrzymało przed powrotem do domu, kiedy już od dawna powinienes wrócić. Ilekroć miałam ochotę zapytać cię o to, przebywaliśmy w innych pomieszczeniach, a potem znowu szybko o tym zapomniałam. Ale jestem pewna, że Thomas i cała reszta już wiedzą. Jestem też pewna, że mnie także o tym wspominałeś...

- Ściśle mówiąc, trzy razy. - Zaśmiał się cicho, po czym zaskoczył ją, mówiąc: - Niech mnie kule biją, nigdy nie myślałem, że jeszcze kiedyś potrafię się śmiać z tej nieszczęsnej podróży.

- Nieszczęsnej?

- Od momentu wpłynięcia na ciepłe wody Karaibów. Pierwsza wyspa, do której dopłynęliśmy, nie miała dla nas większego znaczenia, ale byliśmy tak bardzo szczęśliwi, widząc ląd, jakikolwiek ląd, że postanowiliśmy się na niej zatrzymać. A gdy tylko zadokowaliśmy statek, powitał nas miejscowy sędzia z całym oddziałem wartowników, oskarżając nas o zaatakowanie jednego z lokalnych właścicieli plantacji. Ten człowiek znalazł się tam, żeby wniesć oskarżenie, opisując niestworzone rzeczy, jakoby jego dom na plantacji spłonął doszczętnie, włącznie z zabudowaniami. Twierdził, że zaatakowaliśmy go od strony morza i że jego posiadłość znalazła się pod naszym nieprzerwanym ostrzałem.

- Ale ktoś mu to zrobił?

- Okazało się, że nie. Tylko że dotąd Peter Heston był wielce poważanym członkiem wspólnoty, w którego słowo nikt na całej wyspie nawet nie wątpił, podczas gdy ja i moja załoga nigdy wcześniej nie zawitaliśmy do ich portu i według nich mogliśmy się okazać piratami. Uznano nas za winnych jeszcze przed rozprawą. Sam proces był zwyczajną farsą, podczas której Heston powtórzył swoją mrozącą krew w żyłach opowieść. Po to,

żeby nas skazać na karę więzienia, nie potrzebowali zeznań innych świadków.

- Więzienia? - Zatkąło ją z niedowierzania. - Naprawdę wsadzili cię do więzienia?

- Tak - odpowiedział. - Do tego bez żadnej nadziei na wydostania się stamtąd, ponieważ, o czym wiedzieliśmy, mieszkańcy całej wyspy uważali nas za winnych.

Samo wspomnienie o tym przyprawiło go o dreszcz zgrozy. Pewnie nie byłaby nawet w stanie sobie wyobrazić, jak potworne było to doświadczenie dla niego i jego ludzi. Nigdy wcześniej nie siedział w więzieniu, nigdy nie przeżył prawdziwej fizycznej niewygody i niedostatku. I jako przyzwoity i uczciwy człowiek, nie powinien był nigdy tego doświadczyć, ponieważ nie miał nic na sumieniu, za co można by go aresztować, a tym bardziej przetrzymywać w więzieniu.

Poczuła się bezradna, zapytała tylko:

- Ale przecież nic nie zrobiłeś?

- Nie, a dowodem na to były zupełnie zimne pokładowe działa przytaknął jej.

Zmarszczyła czoło, tak niepojęty wydał się jej ten incydent.

- I wtrącono was do więzienia, pomimo ewidentnych dowodów?

- Dowód naszej niewinności wymagał natychmiastowego potwierdzenia, do czego jednak nie doszło.

- Chodziło o szybkie sprawdzenie dział?

- Tak.

- Dlaczego tego nie zrobili?

Znowu zaśmiał się cicho. Zdumiało ją, że stać go jeszcze na wesołość, zwłaszcza gdy odpowiedział:

- Prawdopodobnie dlatego, że zamierzali nas zlinczować na miejscu. Było samo południe, rozumiesz. Spora liczba ludzi zauważyła, że straż miejska kieruje się do doków, i ruszyli za nią. Gdy wreszcie tam wpłynęliśmy, na brzegu zgromadził się już potężny tłum i wszyscy mieli okazję wysłuchać oskarżeń Hestona skierowanych pod naszym adresem. Rozumie się, że sędzia chciał to ukrócić, a jedynym na to sposobem było jak najszybsze wyprowadzenie nas z portu i zamknięcie w więzieniu.

- Ale przecież sprawdzenie zajęłoby tylko parę chwil?

- Sytuacja była bardzo napięta, Risso. W tłumie znajdowali się inni właściciele plantacji, przekonani, że mogliśmy także zniszczyć ich domy. A gdy w grę wchodzi tak osobiste sprawy, nietrudno jest wzniecić emocje. Naprawdę groziło nam niebezpieczeństwo w tym zbiorowisku rozwścieczonych wyspiarzy, gotowych dokonać na nas samosądu. Szczerze mówiąc, byliśmy raczej zadowoleni, znalazłszy się za kratkami. Z tego "bezpiecznego" miejsca oczekiwaliśmy na wyjaśnienie tej całej sprawy. Wiedzieliśmy, że jesteśmy niewinni, i dlatego, prawdę mówiąc, wtedy nie wąpiliśmy, że wszystko dobrze się ułoży. Bardziej więc baliśmy się reakcji rozwścieczonego tłumu niż oskarżenia nas o popełnienie przestępstwa.

- Tak, sędzę, że bezpośrednio zagrożenie mogło być bardziej niepokojące - przyznała. - Ale powiedziałaś, że w rzeczywistości dom tego człowieka nie spłonął. Więc dlaczego nie zostaliście zwolnieni, gdy to stwierdzono?

- Nie, powiedziałem, że nikt inny mu tego nie zrobił – poprawił ją.

Zrobiła wielkie oczy.

- Spalił własny dom?

George przytaknął skinieniem głowy.

- Ale to zostało wyjaśnione już nieco później, na razie nie było jeszcze podstaw do wypuszczenia nas z więzienia. Zanim do tego doszło, sędzia musiał rozpatrzyć dwie zupełnie sprzeczne relacje tego samego zdarzenia, no i jak myślisz, komu był bardziej skłonny uwierzyć?

- Oczywiście Hestonowi.

- Właśnie. Rzeczywiście plantacja tego człowieka doszczętnie spłonęła. Z naszych pokładowych dział nie oddano ani jednego strzału. Takie były fakty i uważaliśmy, że dochodzenie pójdzie w tym kierunku, gdy tymczasem my czuliśmy się bezpieczni w areszcie. Ale wsadzenie nas tam, a później rozpędzenie tłumu zajęło zbyt wiele czasu. A ponieważ nie stwierdzono natychmiast, że nasze działa nie są ani trochę rozgrzane, czyli że nie oddano z nich ani jednego strzału, niczego już nie można było dowieść. Pozostawała więc spalona plantacja, dowód na rzecz drugiej strony, a także słowo jednego z ich własnych, dobrze im znanych i szanowanych obywateli.

Larissa potrząsnęła głową.

- Więc jak w końcu doszli do prawdy?

- Dopiero kiedy na wyspę wróciła żona Petera Hestona. Była na miejscu w dniu, w którym Heston kompletnie oszalał. Wiedziała, że od dłuższego czasu z jego głową nie jest zupełnie w porządku, ale nigdy nikogo nie ostrzegła, ponieważ jego coraz dziwniejsze zachowanie wydawało się niegroźne. Ale tamtego dnia, wczesnym rankiem, zastała go zapalającego ogniska. Utrzymał, że na posesji ukrywają się piraci i że jedynym sposobem wykurzenia ich jest spalenie wszystkiego do cna i uniemożliwienie im tym samym ukrycia się na terenie plantacji.

- A ich tam przecież nie było?

- Nie, to wszystko działo się w jego mózgu. Próbowала go oczywiście powstrzymać. Ale nie poznał jej. Wziął ją za jednego z piratów i próbował zabić.

- Biedna kobieta.

- Tak, postanowiła jednak uciec, najszybciej jak można. Niestety, wybrała łódź. Mieszkali nad brzegiem morza i mieli własny nieduży dok, gdzie Heston trzymał kuter rybacki. Wsiadła więc nań - uznała, że lepiej opuścić wyspę niż udać się do miasta po pomoc.

- Sądę, że sama wolałabym raczej znaleźć się na wodzie, gdzie Heston nie mógłby mnie dosięgnąć, niż tkwić nadal na wyspie, bo tam by mnie złapał.

- Tak, sądę, że masz rację. Nigdy na to nie popatrzyłem z jej perspektywy, a jedynie z własnej, zakładając szybki powrót żony Hestona do miasta.

Wolałem, żeby pojechała prosto do miasta i złożyła relację z tego, co się stało, oczyszczając tym samym mnie i moją załogę ze wszystkich podejrzeń, ale ona była tak przerażona faktem, że mąż jej nie poznał i wziął za pirata, próbując ją zabić, że myślała jedynie o tym, by znaleźć się jak najdalej od niego.

- Dokąd pojechała?

- Ma córkę z pierwszego małżeństwa, mieszkającą na sąsiedniej wyspie. Tak się pechowo złożyło, że nie zastała córki w domu, bo ta wybrała się po zakupy na główną wyspę.

- I co dalej?

- Po powrocie córka ją przekonała, że musi wrócić i wezwać pomoc dla Hestona, który najwyraźniej oszalał, zanim ktoś zrobi mu coś złego. Żona Hestona myślała jedynie o własnym bezpieczeństwie i nie zamierzała nigdy wracać do swojego domu. Dlatego upłynęło sporo czasu, zanim wreszcie powróciła i prawda wyszła na jaw.

- Jak to możliwe, że poza nią nie było nikogo w pobliżu, kto widziałby ogień i mógł opowiedzieć, jak to się zaczęło? Nie trzymali służby?

- Takie też było jedno z moich pytań, na które otrzymałem odpowiedź od jednego ze strażników. Było powszechnie wiadomo, że przez ostatnie trzy lata Heston miał marne zbiory. Inni właściciele plantacji na tym terenie również ucierpieli z powodu złej pogody, ale problem polegał nie tylko na pogodzie, w każdym razie nie przez ostatnie trzy lata. Jego niepowodzenie wynikało również z tego, że po prostu nie dbał jak należy o swoją

plantację. Hestonowie już wcześniej z trudem się z niej utrzymywali. Zatrudniali sezonowych robotników, ale o tej porze roku nikogo już nie było. A osobistą służbę musieli odprawić już parę lat temu. Poza tym mieszkali na wysuniętym daleko na wschód krańcu wyspy, nie mając w pobliżu żadnych sąsiadów.

- To dobrze, że możesz się śmiać z tak niemiłej przygody.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- W końcu więzienie nie okazało się aż takie okropne. Najbardziej śmieszy mnie to, że poza nami nikt inny nigdy w nim nie siedział. To miejsce od lat pozostawało zamknięte. Musieli je otworzyć i doprowadzić do porządku specjalnie na nasz użytek. Zastanawiali się nawet, czy zamiast tego nie przetrzymać nas w areszcie. Ale w końcu doszli do wniosku, że jest za mały, by pomieścić całą załogę statku.

- To wyspa jest aż taka mała?

- Porównaj ją z jakimś naszym prowincjonalnym miasteczkiem, a będziesz mogła sobie wyobrazić jej wielkość, przy czym wszyscy wokół się znają, co z kolei wpływa korzystnie na niską przestępczość. Tylko dlatego mieli to więzienie, że przed wieloma laty przerobili je ze starego fortu, który już do niczego nie służył. Ale w czasie naszego krótkiego tam pobytu byliśmy dobrze karmieni i traktowani przyzwoicie. Najgorsza w tym wszystkim była nuda - jeszcze się nie zdecydowali, do jakiej pracy nas wykorzystać - a także nasze oburzenie i poczucie beznadziejności. W rezultacie spędzaliśmy cały

czas na spiskowaniu i przygotowywaniu ucieczki, która by się nam pewnie w końcu udała, gdybyśmy musieli pozostać tam dłużej.

- Co się stało z Peterem Hestonem?

- Ponownie wpadł w szal, gdy w mieście zjawiała się jego żona, próbował jeszcze raz ją zabić. Wtedy nie było już wątpliwości, że jest niebezpieczny. Przewieziono go na inną wyspę, gdzie mieści się klasztor i gdzie zajmują się starymi, a także chorymi umysłowo ludźmi. Dożyje tam swoich dni pod opieką zakonnic.

- A miejscowi ludzie, którzy uznali cię za winnego bez sądu, tylko na podstawie zeznania jednej osoby?

- Och, byli tak skruszeni, że przyznali nam wyłączne prawo do wszystkich swoich zbiorów przez następnych pięć lat.

Larissa uniosła brew na widok ojca uśmiechającego się znowu od ucha do ucha.

- Uważasz to za wystarczającą rekompensatę?

- Od biedy ujdzie - zaśmiał się w kułak. - Zwłaszcza gdy się okazało, że wyspie grozi bieda, albowiem jest położona z dala od morskich szlaków handlowych i nie znajduje chętnych na swoje towary.

Larissa zachnęła się.

- A więc, jeżeli zakontraktujesz ich zbiory, wyświadczysz im przysługę.

- Oczywiście, ale też osiągnę własne cele - odparł. - Prawdę mówiąc, będę chyba musiał dokupić jeden lub dwa statki, żeby zaspokoić potrzeby całej wyspy - teraz,

gdy wiem, że moje dawne rynki zbytu znowu są dostępne.

Wolałaby, żeby ich rozmowa nie zeszła na Everettów. Ale nie można było pominąć milczeniem faktu, że Albert Everett nie tylko zmusił jej ojca do szukania nowych rynków na wyspach Morza Karaibskiego, ponieważ ukradł dotychczasowe, ale że gdyby nie on, ojciec nie siedziałby w więzieniu, nie wyjechałby nigdy z Anglii, a w rezultacie nie straciliby swojego domu - a ona nie spotkałaby Vincenta.

- Cieszę się, że potrafisz w tym wszystkim znaleźć coś zabawnego - powiedziała z goryczą. - Ja nie potrafię. Myślałam, że nie żyjesz. Sądziłam, że nic, poza śmiercią, nie mogłoby cię powstrzymać tak długo przed powrotem do domu. Wyobrażałam sobie zatonięcie statku, potworne sztormy, tak, nawet piratów. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że siedzisz w więzieniu, ponieważ wiem, że nigdy nie zrobiłbyś nic wbrew prawu.

- Zapomnijmy o tym, Larisso - rzekł, obejmując ją. - Już jest po wszystkim. Jestem w domu cały i zdrowy, a do tego ta nieszczęsna podróż obróciła się na moją korzyść. Nie gniewaj się więc na mnie.

- Nie gniewam się, jestem wściekła, że Everettowie postąpili z nami tak niesprawiedliwie i że jeszcze uszło im to bezkarnie.

- Oboje wiemy, jak chybiona jest ta zemsta.

- Wiem - westchnęła.

- Ty zaś nie masz na myśli Everettów, przede wszystkim masz na myśli Vincenta Everetta. Jego brat, jak się wydaje, sam wymierzył sobie sprawiedliwość.

Rozdział 23

Albert nie umarł.

Potrzeba było chwili, żeby ten fakt utworował sobie drogę do świadomości Vincenta. Pomyślał, że to mistyfikacja. Może okrutny żart. Pomyślał nawet o George'u Ascocie. Bądź co bądź, czyż nie wolałby się rozgrzeszyć ze swojego niecnego uczynku, rozpowszechniając wiadomość zawartą w dostarczonym właśnie Vincentowi liście, przedstawiającym Ascota jako niewinną osobę? W końcu przecież list został mu doręczony przez marynarza. To jeszcze nie dowodzi, że Albert sam go napisał. Jego podpis mógł zostać podrobiony.

Dość szybko zaniechał takiego myślenia. List pochodził od Alberta. To był jego styl, niemożliwy do naśladowania przez kogoś innego. Była w nim też mowa o sprawach, o których Ascot nie mógł wiedzieć, nie znając treści listu. Albert nie umarł.

Powinna to być radosna nowina i nic poza tym, nie zaś niewiarygodny wstrząs, jakim się okazała. Ale miał on swoją przyczynę w zawartym tam wyznaniu, przyznającym, że prawie wszystko, co Albert napisał w pierwszym liście, było tylko kłamstwem i próbą

usprawiedliwienia się. Teraz całą winą obarczał tego, kogo należało, to znaczy siebie. Żadnych przeprosin, nawet za fałszywą sugestią co do własnej śmierci. Albert nie zdawał sobie sprawy, że tak to zostanie odebrane, a zatem nie miał pojęcia, że Vincent podejmie rękawicę i postanowi się zemścić.

Oto ten list:

Domyślam się, że nie spodziewałeś się już wiadomości ode mnie. Pisząc tamten pożegnany list, musiałem być mocno zamroczony, choć przypominam sobie jak przez mgłę, że napisałem, iż nigdy nie wrócę. W tej sprawie nic się nie zmieniło. Nie zamierzam wrócić do Anglii, bo tam sytuacja przerosła moje możliwości i nie było dla mnie miejsca. Tu, gdzie obecnie mieszkam, wszyscy startują z równej pozycji. Nawet żebrak może się wybić bez niczyjej pomocy i zacząć wszystko od nowa. Co też uczyniłem.

Pomyślałem, że może zechcesz poznać koleje mojego losu. Warto może, żebym wspomniał o przyczynie, jakże gorzkiej i smutnej w tamtym czasie, która doprowadziła mnie do bankructwa i kompletnego upadku. Nawet nie wiesz, jak trudno mi było współzawodniczyć z Tobą, mój bracie. Byłeś tak cholernie we wszystkim dobry, że czegokolwiek się dotknąłeś, zamieniało się w złoto. Wiem, że nie powinienem odczuwać konieczności konkurowania z Tobą, ale tak było, i na tym właśnie polegał mój błąd. A ponieważ nie udało mi się szybko odnieść sukcesu, postanowiłem dopomóc losowi i go ponaglić.

A kiedy i to nie pomogło, zacząłem pić, coraz więcej i więcej, i to dopiero przypieczętowało mój upadek. Doszło do

tego, że przez większość czasu nie wiedziałem, co robię. Wynająłem kapitanów, o których trudno byłoby powiedzieć, że są uczciwi. O jednym z nich chodziły słuchy, że w młodości był piratem, ale ponieważ obiecał uczynić mnie bogatym, puściłem mimo uszu te pogłoski. Pozwoliłem im, żeby mi doradzali. A wszystko, co do mnie mówili, brzmiało przekonująco; w każdym razie, gdy byłem zamroczony. Mieli tylko mylne wyobrażenie, które oczywiście sam stwarzałem, iż dysponuję nieograniczoną ilością gotówki. Domyślasz się zapewne, jaką strategię biznesu przyjmuje się w podobnej sytuacji i co z tego wynika. Nie próbuję się usprawiedliwiać. Robiłem to przez całe życie, ale już z tym skończyłem. Na moje bankructwo złożyło się wiele złych decyzji, których ja sam byłem autorem. Nigdy nie powinienem był zaczynać czegoś, na czym się nie znałem, a kiedy to zaczęło kuleć, pławiłem się w nieszczęściu i litowałem nad sobą, i piłem, zamiast szukać pomocy. Winilem wówczas wszystkich dookoła, włącznie z innymi właścicielami frachtowców, ponieważ zwyczajnie nie potrafiłem się przyznać, że nie znam się na tym, co robię. Ktoś przecież musiał być winny, tylko nie ja. Wiem, że to dziecinne, ale przynajmniej stać mnie teraz na przyznanie się do tego.

Opuściłem Anglię w pośluchu. Można to chyba było wywnioskować z mojego pierwszego listu do Ciebie, choć, jak już przyznałem, nie pamiętam wszystkiego, co wówczas napisałem. Jak na ironię żadnego z moich dwóch statków nie było w tym czasie w porcie, zadekowałem się więc na innym statku, gdzie zostałem odkryty już pierwszego dnia po wypłynięciu w morze. Za karę wyznaczono mnie do szorowania pokładu. Dobre i to, przecież mogli mnie po prostu wyrzucić za

burzę na środku oceanu. Od czasu, kiedy opuściłem Anglię, nie tknąłem alkoholu, nawet mnie to nie korci. Przyjeżdżając do Ameryki, byłem kompletnie sptukany, miałem więc do wyboru zostać żebrakiem albo zdobyć pracę. Nie zważając na dumę - która została skutecznie złamana, gdy na kolanach szorowałem pokład - zatrudniłem się jako pomocnik piekarza. Naprawdę miły gość z mojego szefa. Wziął mnie pod swoje skrzydła, ucząc mnie zawodu, a teraz nawet - gdy już tak sprawnie obsługuję piec - rozważa możliwość rozwinięcia przedsiębiorstwa.

Cieszę się, kiedy słyszę, że moje buteczki są tak dobre, że aż ślinka cieknie. Nie oczekuję, że się tutaj wzbogacę. I nie pragnę tego tak gorąco jak kiedyś. Zadowolam się codzienną pracą i otrzymywaną pensją. A dzięki pochwałom naszych klientów znowu wbiłem się w dumę.

Mam nadzieję, że mój list dotrze do Twoich rąk przed Bożym Narodzeniem i że po przeczytaniu go nie opuści Cię uśmiech i pewność, iż już nigdy nie sprawię Ci kłopotu. Moim prezentem dla Ciebie jest wiadomość, że Twój brat niemowlak wreszcie dojrzał. Pozostańmy, proszę, w kontakcie, Vince. Jedyne, czego mi brak z Anglii, to Ciebie.

List był miłym prezentem, a byłby jeszcze miłszy, gdyby, zgodnie z intencją, dotarł przed Bożym Narodzeniem, zanim Vincent rzucił George'owi Ascotowi w twarz coś, co uważał za słuszne. Sam też nie zamierzał się usprawiedliwiać. Pomylił się w swoich przypuszczeniach, pomylił się, szukając za wszelką cenę zemsty, chociaż, jak powiedział Ascot, wystarczyłoby niewielkie dochodzenie, żeby dostrzec pewne

niekonsekwencje i nieścisłości w fałszywych oskarżeniach brata. Znowu pogrzyżył się w poczuciu winy, i nie dlatego, że zawiódł brata. Albertowi udało się stanąć na własnych nogach i w sposób godny podziwu pokierować swoim życiem, podczas gdy Vincent będzie się jeszcze musiał uporać z wadami i słabościami swojego charakteru. Skrzywdził niewinną rodzinę, okrutnie ją skrzywdził, i nawet nie wiedział, jak to naprawić, nawet gdyby miał ku temu okazję. Zwrócenie Ascotom tego, co im odebrał, nie wystarczy, nie usatysfakcjonuje również jego samego. Nie zmieni to przecież faktu, że jednym nieprzemyślanym posunięciem skrzywdził i zranił kobietę, którą na koniec pokochał.

Rozdział 24

W końcu znalazł się George Ascot. Na dwa dni przed Nowym Rokiem pojawił się w biurze swojej firmy w Londynie. Nawet spędził tam noc, pozostawiając Vincentowi dość czasu na zorganizowanie nieprzerwanej obserwacji, mającej umożliwić śledzenie go po wyjściu z biura. Vincentowi nadarzała się więc okazja odbycia z nim poufnej rozmowy.

Nie obeszłoby się bez przeprosin, czyby je przyjął, czy nie. Chciał go przynajmniej zapewnić, że wendeta dobiegła końca. Nie oczekiwał, że spotkanie złagodzi jego poczucie winy. Nie liczył też na całkowite przebaczenie czy zrozumienie, skoro sam sobie nie był w stanie wybaczyć.

Kiedy przyszedł, drzwi biura były zamknięte. Wybrał możliwie najwcześniejszą godzinę, tuż po świcie, sporo przed rozpoczęciem pracy przez rachmistrza Ascota. Był przygotowany na to, że Ascot może jeszcze spać, ale przynajmniej o tej porze nikt im nie będzie przeszkadzać.

George nie spał. Ale też nie był gotowy na przyjęcie gościa o tak wczesnej porze. Kiedy więc otworzył drzwi i zobaczył Vincenta, wolałby je ponownie zamknąć.

- Proszę tylko o małą chwilę - powiedział Vincent.

- Chwila to za długo, mógłbym bowiem w tym czasie rozkwasić pańską twarz.

Spojrzenie George'a wskazywało dobitnie, że ani trochę nie przesadza. Był wściekły. I był potężnym mężczyzną. Bez trudu mógłby go zatem "rozkwasić", nawet gdyby Vincent się bronił.

Oczywiście grzech Vincenta był tak wielki, że nie próbowaliby się bronić, ale też od bicia nie zrobiliby mu się lepiej i nie pomogłoby mu to pozbyć się winy, wołał zatem rozmowę niż przemoc.

- Przyszedłem tutaj, żeby prosić o wybaczenie, chciałem się też wytłumaczyć, chociaż to ostatnie jest bardziej potrzebne mnie niż panu.

- Po co mi przeprosiny, skoro w pańskich oczach jestem winny? A może jednak doszedł pan do wniosku, że nie jestem aż tak nikczemny, jak pan uważa?

- Postanowiłem pana zniszczyć. Oko za oko. Nie usprawiedliwiam się, ponieważ naprawdę uważałem, że w pośredni sposób przyczynił się pan do śmierci mojego brata. Ale miał pan rację, mówiąc, że zaniedbałem obowiązku dokładnego sprawdzenia faktów. Tymczasem dowiedziałem się prawdy.

- Tylko że nie ode mnie - powiedział z goryczą w głosie George. - Nie dał pan wiary moim słowom.

- A czy pan uwierzyłby słowom obcego, gdyby chodziło o pańskiego brata?

- Gdybym miał brata pozbawionego charakteru, być może, że tak - odparł George.

Nie tyle wypowiedziane słowa, ile zawarte w tonie głosu potępienie sprawiło, że Vincent zaczerwienił się z zakłopotania.

- Tak, był słaby, ale nie miał zwyczaju kłamać. Ponieważ jednak pisał swój pożegnalny list w stanie zamroczenia, nie za dobrze nawet pamięta, co w nim zawarł, a poza tym - trzeba mu oddać sprawiedliwość - nie spodziewał się, że opacznie zrozumie jego intencje i będę szukać zemsty w jego imieniu.

- Nie spodziewał się? Czy chce pan przez to powiedzieć, że nie zabił się?

- Właśnie otrzymałem kolejny list od niego, tym razem pisany w trzeźwym stanie. Osiadł w Ameryce. Całą winą za swoje niepowodzenie i bankructwo w Anglii obarcza siebie.

- Co zwalnia pana od obowiązku kontynuowania zemsty na niewinnych ludziach.

- Biorąc pod uwagę informacje, jakimi dysponowałem, byłoby nie w porządku, gdyby nie poniósł pan żadnej konsekwencji za swój czyn, to znaczy za chęć zniszczenia konkurenta. Jednak moja informacja okazała się fałszywa, natomiast ja, w wyniku fałszywego założenia, okazałem się zwykłym niegodziwcem w tej bolesnej sprawie. I za to pokornie przepraszam, zobowiązuję się też to naprawić i zrobić wszystko, co pan uzna za stosowne. A zacznę od tego.

- Co to takiego? - bez przekonania zapytał George, biorąc wręczony mu plik dokumentów.

- Akt hipoteczny pańskiego domu, na pana nazwisko, po spłaceniu całego długu. Jest tu także adres magazynu, gdzie zostały złożone pańskie meble. Poczyniłem też odpowiednie kroki, mające położyć kres plotkom o pańskiej rzekomej niewypłacalności. Już sama pana obecność w Anglii zadaje kłam tym pogłoskom. Gdyby miał pan jakieś dalsze kłopoty w związku z tą sprawą...

- Sam się tym zajmę.

- Jak pan woli - odparł Vincent, uświadamiając sobie, że obraża człowieka, sugerując, jakoby nie był on zdolny osobiście poradzić sobie z sytuacją. - Nie chciałem tylko, żeby się pan kłopotał i naprawiał to, co sam wprawilem w ruch, na wypadek gdyby pojawiły się jeszcze jakieś dalsze tego konsekwencje.

- Jeżeli zamierza pan cokolwiek naprawić, to proszę tylko, żeby trzymał się pan jak najdalej ode mnie i od mojej rodziny, i pozwolił nam zapomnieć o swoim istnieniu. To, co pan zrobił mnie, jest dyskusyjne, ale do pewnego stopnia zrozumiałe. Ale to, co pan zrobił mojej córce...

- Nie miało nic z tym wspólnego.

- I pan naprawdę sądzi, że mu uwierzę?

- Prawdą jest, że gdyby nie to, nigdy bym nie spotkał Larissy. Ale gdy ją tylko ujrzałem, znalazłem się pod tak silnym wrażeniem jak jeszcze nigdy w życiu. Przyznaję, że oszukiwałem siebie. Była poza moim zasięgiem w tamtych warunkach. Nie mógłbym się z nią ożenić, ponieważ była pańską córką, córką wroga. A

jednak nie byłem w stanie się oprzeć, chciałem, żeby była moja. Tak więc zemsta pozostała tylko pretekstem do zagłuszenia własnego sumienia.

- Mówi pan o niewinnym dziecku, które pan wykorzystał!

- Mówię o kobiecie, którą kocham. To tylko pańska świadomość postrzega w niej dziecko, sir. I czyby pan wrócił, czy nie, zrobiłbym absolutnie wszystko, żeby osiągnąć jedyny cel, który ma teraz dla mnie tak wielkie znaczenie – błagałbym ją, żeby za mnie wyszła.

George parsknął z powątpiewaniem.

- Łatwo to teraz panu powiedzieć, wiedząc, że nie przyjmie pana oświadczyn, że gardzi panem za to, co jej pan zrobił.

Vincent westchnął.

- Niełatwo, tylko że, niestety, za późno to odkryłem. Nawet w wigilię Bożego Narodzenia nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z tego, jak bardzo ją kocham. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby zatrzymać ją w moim domu. Okłamywałem ją, wprowadzałem w błąd, byle tylko mnie nie opuściła,

- I pan się do tego przyznaje?

- Tak. Nadal byłem przekonany, że małżeństwo nie wchodzi w grę, że byłoby zdradą wobec mojego brata. Ale rano, w pierwszy dzień świąt, ona sama w końcu zapytała o moje intencje wobec niej, czy są uczciwe, czy nie, bo jeżeli nie, odchodzi ode mnie. Wtedy już wiedziałem, że zemsta nie ma żadnego znaczenia wobec

możliwości utraty Larissy. Ale nie zdążyłem jej tego powiedzieć, gdyż pan się zjawił.

- Z pańskiego zachowania nie wynikało wcale, że właśnie doszedł pan do tak ważnego dla siebie wniosku.

- Na przeszkodzie stanęła moja niechęć do pana.

- Potraktuję to jako szczęśliwy zbieg okoliczności dla mojej rodziny - odparł nieprzejednany George. - A teraz, jeśli pan skończył, lordzie Everett, nie sądzę, żebyśmy mieli sobie jeszcze coś do powiedzenia.

- Czy pozwoli mi pan spotkać się ze swoją córką? Jej także należą się przeprosiny...

- Przede wszystkim należy jej się spokój, chyba że nie zdaje sobie pan sprawy, do jakiego stanu doprowadziły ją pańskie rewelacje. Ledwie do siebie przychodzi. Proszę się od niej trzymać z daleka.

Rozdział 25

Trzymać się od niej z daleka? Nie wytrzymałby. Vincentowi bardzo zależało na otrzymaniu pozwolenia zbliżenia się do Larissy, ale z nim czy bez niego - musiał ją zobaczyć. Nie mógł jednak, ponieważ Larissa nie wróciła do Londynu.

George wprowadził się z powrotem do swojego londyńskiego domu, odebrał i ustawił ponownie ich meble, a także najął służbę. Miał sporo zajęć, prowadząc interes, który po jego tak długiej nieobecności wymagał szczególnej troski, a także odwiedzając tych wszystkich kupców, którzy wpadli w panikę na pierwszą wzmiankę o tym, że opuścił Anglię.

Z informacji, jakie Vincent otrzymywał, wynikało, że znaczna część kupców sama przyszła prosić o przebaczenie, płaszcząc się wręcz przed Ascotem. Nie było to nic dziwnego w przypadku warstwy ludzi, których byt zależał od dobrej woli i humoru klientów. To, czy George im wybaczał, czy nie, niewiele obchodziło Vincenta. Ludzie, którym kazał śledzić Ascota, informowali o ogólnych sprawach, nie dotarli jednak na tyle blisko, żeby mieć możliwość podsłuchiwania rozmów.

Z końcem starego roku opustoszały dom w mieście stał się znowu domem, ale domem bez dzieci; w każdym razie bez Larissy i Thomasa. Vincent zaczynał się niepokoić, że Larissa może nigdy nie wrócić, i to z jego powodu. Nie było to bezpodstawne zmartwienie. Przecież George mógł ją powiadomić o ich spotkaniu i jego pragnieniu zobaczenia się z nią. Nieobecność Larissy w Londynie mogła stanowić odpowiedź. I dlatego, gdy Ascot opuścił Londyn, ludzie Vincenta deptali mu po piętach.

Okazało się, że celem jego podróży jest Portsmouth. Nie zdziwiło to Vincenta. Wiedząc, że poprzednio, przed przeprowadzką do Londynu, Ascotowie mieszkali w tym mieście, obszedł tutejsze hotele i zajazdy. Oczywiście, bez rezultatu. Ale z tej odrobiny informacji, jaką zdobył o rodzinie Applebeesów, zanim następnego dnia zapukał do drzwi ich domu, wiedział, że byli starymi przyjaciółmi Ascotów.

Pozwolono mu wejść, choć mogło się zdarzyć inaczej. Ale widać nie uprzedzono w porę lokaja Applebeesów, żeby go zawrócił. Niewykluczone także, że Ascotowie nie spodziewali się zobaczyć go w Portsmouth. Nadal jednak nie miał wielkiej nadziei na zobaczenie Larissy. Powiedziano jej, że on jest tutaj. To miała być jej decyzja, a więc najprawdopodobniej spotka się z odmową. Ale miał szczęście...

Na widok Vincenta wprowadzanego do holu Larissa zatrzymała się w połowie schodów. Pierwszą reakcją była chęć natychmiastowego wycofania się. Nie

chciała z nim rozmawiać ani teraz, ani nigdy. Ale gwałtowna ucieczka do pokoju świadczyłaby o tchórzostwie, a poza tym nie pozwoliła jej na to po prostu złość. Tym razem nie była sparaliżowana doznany wstrząsem.

I ta właśnie złość sprowadziła ją na sam dół schodów, tam gdzie znajdował się i on, i gdzie ją zobaczył. Zamierzała wymierzyć mu policzek, tak mocny, na ile tylko ją stać. Czyn wart tysiąca słów, po którym nie będzie miał wątpliwości, co do niego obecnie czuje. Ale nie zrobiła tego. Stojąc tak blisko, zapatrzyła się w złocisty blask jego oczu, które następnie usidliły ją na kilka długich chwil, podczas gdy jej ciało, znalazłszy się znowu tuż obok niego, zareagowało całą gamą odczuć.

Dobry Boże, jak to możliwe, że znowu czuje do niego taki pociąg? Że jeszcze go pragnie, gardząc nim bezgranicznie? Gdy dotknął jej policzka, prawie ugięły się pod nią kolana. Pieszczota ta była niebezpieczna. Mogła zniszczyć jej postanowienie i sprawić, że mu wybaczy, choć jeszcze przed chwilą nie chciała go widzieć na oczy!

- Larisso...

- Nie dotykaj mnie!

Odskoczyła do tyłu, lądując prawie na schodach. Był za blisko i dlatego nie zareagowała w porę.

- Nie dotykaj mnie więcej! - powtórzyła spokojniejszym, choć jadowitym głosem. - Stosujesz taktykę, którą, jak ci się wydaje, możesz osłabić moją wolę, ale ja już poznałam twoje metody i nie pozwolę...

- Larisso, zostań moją żoną.

Natychmiast poczuła, jak wilgotnieją jej oczy.

- Za późno.

- Wiem, ale gdybym cię o to nie poprosił, byłaby to kolejna rzecz, której bym żałował.

Powinna się odwrócić i odejść. Zlekceważyć to pełne bólu spojrzenie jego oczu, które rozdzierało jej serce. Fakt, że nie jest w stanie od niego odejść, jeszcze ją bardziej rozwścieczył, co znalazło wyraz w tonie jej głosu:

- Nie ma takich słów, które mogłyby naprawić to, co zrobiłeś, po co więc każesz nam obojgu jeszcze raz przez to wszystko przechodzić?

- Ponieważ pragnę się oczyścić, a są jeszcze sprawy, o których nie wiesz i które muszę ci wyznać, żeby móc żyć z czystym sumieniem.

- Jeśli chodzi o mnie, to już nic nie musisz.

- Wysłuchaj mnie chociaż. Nie zajmę ci wiele czasu. Wiem, że to, co powiem, będzie tylko dolewaniem oliwy do ognia, ale ja muszę wyznać ci wszystkie swoje kłamstwa i spróbować wyjaśnić, dlaczego to zrobiłem.

- Niepotrzebnie, ponieważ dobrze wiem, iż wszystko, cokolwiek od ciebie dotychczas usłyszałam, było kłamstwem - odpowiedziała.

- Nie musisz więc jeszcze raz tego potwierdzać.

- Prawie wszystko - powiedział, wzdychając.

Odniosła wrażenie, że znowu chciałby ją wziąć w ramiona. Czyżby i on doświadczał podobnego pociągu jak ona, któremu z trudem można było się oprzeć? Bardzo dobrze, może zatem nie dotykał jej z obrzydzeniem, nie śmiał się, że tak łatwo było ją zdobyć. Może to potężne

przyciąganie rzeczywiście było obopólne. Ale to i tak niczego nie zmienia. Wykorzystał ją, żeby trafić w jej ojca. Nie zawahał się, by dla osiągnięcia własnego celu podeptać jej niewinność. Niewykluczone, że sprowadza go tutaj poczucie winy. Rozumiała, że mogło się w nim teraz obudzić sumienie. Ale co ją to obchodzi! Nie było w niej współczucia dla człowieka, który nie zasługiwał na nie. A zrzucenie z siebie poczucia winy tylko jemu mogło poprawić samopoczucie. Dla niej powracanie do przeszłości będzie tylko bolesne.

Tymczasem słowa okazały się szybsze od myśli:

- Wypowiadaj się więc, tylko zrób to szybko.

Skinął głową. Uśmiechnął się łagodnie. Żeby jej nie dotknąć, musiał wsunąć ręce do kieszeni.

- Wszystko zaczęło się od kłamstwa. Sprowadziłem cię do mojego domu, ponieważ od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem, zapragnąłem ciebie. To nie miało nic wspólnego z twoim ojcem. Równie dobrze mogłem się z nim spotkać po jego powrocie u niego w biurze. Na szczęście nie zwróciłaś na to uwagi, kiedy wspomniałem, że muszę mieć adres, pod którym mógłbym go szukać.

- Byłam zbyt zdruzgotana tamtego wieczoru, żeby o czymkolwiek myśleć - powiedziała na swoją obronę.

- To się samo przez się rozumie, na moje szczęście zresztą, bo byłem tak tobą zachwycony, że sam z trudem myślałem, więc prawdopodobnie nie znalazłbym lepszego pretekstu, żeby cię sprowadzić do siebie. Ale udało się. Wprowadziłaś się. I wtedy stanąłem wobec dylematu: w jaki sposób zatrzymać cię jak najdłużej pod

moim dachem - nie potrafiłbym bowiem odmówić sobie choćby jednego dnia bez ciebie - i pogodzić się z faktem, że nasz wspólnie spędzony czas będzie z konieczności ograniczony i skończy się wraz z powrotem twojego ojca. Pozbawienie cię wszelkich środków finansowych, a także potrzeby ich posiadania, było moim sposobem rozwiązania tego problemu.

- Potrzeby posiadania?

- Wspomniałaś, że twój brat będzie potrzebował lekarza, wezwałem więc w tym celu mojego. Nie była to jego coroczna wizyta, tak jak ci powiedziałem, przyszedł specjalnie po to, żeby zbadać twojego brata.

- Jedna uprzejmość z twojej strony nie usprawiedliwia...

- Risso, to, że uniemożliwiłem ci sprzedaż twojej własności, co pozwoliłoby ci opłacić lekarza i dało możliwość znalezienia innego mieszkania, nie było żadną uprzejmością z mojej strony. Dodatkową gwarancją, że niczego nie sprzedasz, było znalezienie pretekstu dla zamknięcia pod klucz twojej biżuterii. W rzeczywistości bowiem moja służba jest w pełni godna zaufania.

- A gdybym zażądała zwrotu?

- Klucz do sejfu miał się, oczywiście, gdzieś zapodziać. Po tym wyznaniu nie omieszkała zapytać:

- Więc nie było złodziei w magazynie, gdzie zostały złożone nasze rzeczy?

- Nie. Przeniosłem jedynie co cenniejsze rzeczy do odrębnego pomieszczenia, na wypadek gdybyś chciała pójść do magazynu i sprawdzić, co ocalało z kradzieży.

Wszystko zostałoby ci zwrócone, i dlatego wspomniałem o moim osobistym zaangażowaniu w poszukiwanie "złodziei", abyś się nie zdziwiła, że je tak łatwo odnaleziono. Nie zamierzałem okradać twojej rodziny.

- Nie, tylko doprowadzić nas do całkowitej ruiny.

Gorycz w jej głosie była tak wielka, że przerwał na chwilę.

Zasepił się.

- Czy umyślnie nie chcesz dostrzec, że to są dwie niepowiązane ze sobą sprawy?

- Nie aż tak bardzo niepowiązane, skoro udało ci się osiągnąć dwa cele naraz...

- Od momentu, kiedy przekroczyłaś próg mojego domu - przerwał jej - twój ojciec zniknął z mojej świadomości. Żyłem i oddychałem tobą. Absorbowałaś moje myśli. Robiłem wszystko, żeby cię zdobyć. Ale wbiłem sobie do głowy, że aby coś takiego zrobić, muszę to potraktować jako jeden z elementów zemsty. Że nie mogę cię zdobyć w normalny sposób ani się z tobą ożenić, ponieważ twój ojciec jest moim wrogiem...

- Nigdy nie był twoim wrogiem.

- W owym czasie był. W mojej świadomości. Zgódź się przynajmniej z jednym - tak długo jak ktoś w coś wierzy, tak długo stanowi to dla niego prawdę. Uważałem, że twój ojciec ponosi bezpośrednią odpowiedzialność za bankructwo mojego brata i że pośrednio jest winny jego śmierci. Podczas gdy ja zamierzałem tylko finansowo zrujnować twojego ojca. Nie szukałem surowszej zemsty. Miało być oko za oko.

Mógł się z tego podźwignąć, urządzić na nowo. Albert nie żył, a w każdym razie tak sądziłem. Twój ojciec pozostał przy życiu.

- Po co mi to mówisz, skoro to nie ma ze mną związku?

Uwiodłeś mnie, nie zamierzając się ze mną ożenić. To mnie dotyczy! Przyznaj to wreszcie.

- Przyznaję. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, dlaczego uważałem, że nie mogę się z tobą ożenić, a także kiedy wszystko, poza pragnieniem poślubienia ciebie, przestało mieć dla mnie znaczenie.

- Wiem, dlaczego teraz to nie ma znaczenia. Dowiedziałam się od ojca, że twój brat żyje, wbrew temu, co sądziłeś. On był tym motywem; teraz zaś nie masz żadnego. To jednak nie usprawiedliwia tego, co stało się przedtem.

- Powiedział ci o tym, ale nie powiedział ci, że już wcześniej, zanim jeszcze twój ojciec zjawił się w poranek Bożego Narodzenia, zdałem sobie z tego sprawę. Czyżbyś nie pamiętała, o czym rozmawialiśmy na chwilę przed jego powrotem?

- Pamiętam, jak mówiłeś, iż nie możesz się ze mną ożenić z powodu mojego ojca.

- A potem, Risso? W czasie naszej rozmowy zdałem sobie sprawę, że jesteś dla mnie wszystkim i że cała reszta się nie liczy. I to właśnie ci powiedziałem, postaraj się tylko sobie przypomnieć. Jeżeli o mnie chodzi, wendeta dobiegła końca. Usiłowałem nawet powiedzieć twojemu ojcu, że nie stało się nic takiego, czego nie można by

naprawić, ale ty przerwałaś nam, przedstawiając własną interpretację tego, co się stało.

Skoro przyznawał się do tych wszystkich kłamstw, to dlaczego miałyby uwierzyć w to, co teraz jej mówi? Byłaby skończoną idiotką, gdyby jeszcze raz dała się nabrać... Czyż nie jest nią zatem, skoro w ogóle tu stoi i słucha tego wszystkiego?

- Czy już się wypowiedziałeś?

To chyba sztywny ton głosu Larissy sprawił, iż doszedł do wniosku, że nie przekonał jej ani trochę i że nic nie jest w stanie przebić się przez pancierz jej goryczy. Tak bardzo posmutniał, iż omal nie doprowadził jej do płaczu. Ale nie zamierzała ustąpić, nie zamierzała...

- Nie, musisz jeszcze wiedzieć, że byłem tamtej nocy w twoim pokoju i że pragnąłem cię do szaleństwa. Ta głupia opowiadka o moim nocnym wędrowaniu była kłamstwem. Zamki zostały założone, ponieważ nie ufałem sobie, bałem się, że znowu mogę wejść do twojego pokoju bez pozwolenia.

- A to, co mówiłeś o swojej przeszłości, by wzbudzić we mnie współczucie - przypomniała - też było kłamstwem?

- Twoja zdolność współodczuwania jest czymś cudownym, Risso, i przyznaję, że jej nadużywałem. Ale nie musiałem wymyślać żalosnej przeszłości, by wzruszyć twoje serce. Wszystko, co powiedziałem o moim dzieciństwie, jest prawdą. Tylko że nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ponieważ nienawidzę litości. -

Uśmiechnął się gorzko. - Gdy tymczasem twojej litości pragnąłem. Jest taka zdumiewająca.

- Twoje kłamstwa były zbyteczne.

- Nie rozumiem.

- Gdybym naprawdę chciała, mogłam w każdej chwili opuścić twój dom. Nie zatrzymałyby mnie twoje kłamstwa.

- Musiałaś myśleć o bracie, nie tylko o sobie. Nie odeszłabyś, nie mając grosza przy duszy.

- Nie, oczywiście, że nie, ale w biurze ojca było jeszcze trochę wartościowych przedmiotów, o których ci nigdy nie wspomniałam - cenny obraz i sporo zabytkowych map, które mój ojciec zamierzał sprzedać, ale nie zdążył, ponieważ musiał nagle wyjechać. Mapy poszłyby za niezłą cenę.

- A tym obrazem jest *Nimfa*.

Zrobiła wielkie oczy.

- Skąd wiesz?

Ogarnął go pusty śmiech.

- Wyobraź sobie, że od wielu miesięcy poszukuję tego obrazu dla klienta, wiadomo zaś było, że znajduje się w posiadaniu pewnego właściciela statków, o nieznanym nazwisku.

- Dlaczego właśnie ten obraz?

- Widziałaś go?

Skrzywiła się.

- Prawdę mówiąc, przypominam sobie, że kiedy ostatni raz odwiedziłam ojca w jego biurze i zajrzałam do pakamery, przepędził mnie stamtąd, ponieważ nie chciał,

żebym zobaczyła ten obraz. Powiedział coś o jego niestosowności dla niewinnych oczu, z czego wywnioskowałam, że to może być akt.

- W rzeczy samej, ale raczej dość ryzykowny, jak wynika z tego, co mówią - odparł. - A mój klient prawdopodobnie zapłaciłby za niego pół miliona funtów.

Ponownie zrobiła wielkie oczy.

- Czy jest niespełna rozumu?

- Nie, jest wielkim ekscentrykiem i ma więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek zdąży je wydać.

- Drwisz ze mnie. A biorąc pod uwagę okoliczności, uważam, że nieładnie postępujesz. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak mnie to zaskoczyło.

Vincent westchnął.

- Przysięgam, że nie drwię. Znasz go dość dobrze. To Jonathan Hale, któremu tak bardzo zależało na położeniu ręki na tym obrazie, że zatrudnił mnie, abym go odnalazł. Teraz to mi się udało. Obraz należy do twojej rodziny. Jestem pewien, że Jonathan skontaktuje się z wami natychmiast, gdy mu o tym powiem.

- Dlaczego miałbyś mu o tym mówić, skoro ojciec może na tym tyle zyskać? Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, nieprawda?

- Jeśli zastanowisz się nad tym, co powiedziałem dzisiaj, przestaniesz dopatrywać się w motywach mojego działania wszystkiego, co najgorsze, otrzymasz odpowiedź na swoje pytanie. Czy nigdy nie zrobiłaś niczego, czego byś później gorzko żałowała?

- Poza spotkaniem ciebie?

Zaczerwienił się, ale niezrażony kontynuował:

- Czyż nie mówiłaś, jak bardzo pogardzałaś ojcem za to, że musiałaś się przeprowadzić do Londynu, i że później tego żałowałaś?

- Porównujesz dziecinne dąsanie się z tym, co ty mi zrobiłaś? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie, próbuję jedynie zwrócić ci uwagę na fakt, że nikt z nas nie jest doskonały. Nie zawsze postępujemy tak, jak byśmy pragnęli; zbyt często działamy pod wpływem emocji, nad którymi powinniśmy umieć zapanować. Nie przywykłem, by rządziły mną emocje, Risso. Dobry Boże, jak idiota uważałem nawet, że nie mam żadnych, skoro upłynęło tak wiele lat i nic ich nie sprowokowało. A potem spotkałem ciebie i nagle, jednocześnie obudziło się we mnie zbyt wiele emocji i uczuć.

Złocisty żar znowu pojawił się w jego oczach. Ogarniała ją panika. Tak długo próbowała nie poddać się jego bliskości, albo przynajmniej sprawiać takie wrażenie, ale nie sądziła, by mogła jeszcze długo wytrwać, hipnotyzowana i pozerana na przemian przez te jego uwodzicielskie oczy.

- Skończyłeś. Proszę więc, odejść.

- Risso, kocham cię. Jeżeli już nigdy nie uwierzysz w to, co powiedziałem, przynajmniej uwierz w to jedno. Zamiast tego odwróciła się, wbiegła po schodach, żeby jak najprędzej znaleźć się za zamkniętymi drzwiami, gdzie mogłaby się wyplakać w spokoju. Nie chciała, żeby tu przyszedł. Chciała, żeby jej nie prześladowały jego

ostatnie słowa, chociaż wiedziała, że to jest tylko pobożne życzenie.

Rozdział 26

Larissa nie zeszła tego wieczoru na kolację. Jej rodzina wracała następnego ranka do Londynu, więc żeby uniknąć kontaktu z ludźmi, posłużyła się pretekstem pakowania. Wolała nie obnosić się ze swoim okropnym nastrojem, pomyślała nawet z przekorą, że pozostając na górze, wyświadcza Applebeesom uprzejmość.

Co za pech, że akurat musiała zejść na dół w momencie wprowadzenia Vincenta do holu! Czy nie byłoby lepiej, gdyby poszła za pierwszym odruchem i zeszła z drogi - nawet gdyby później miała sobie wyrzucać tchórzostwo - nie dając mu okazji do tej rozmowy?

W końcu pozbierałaby się jakoś bez tej jego wielkiej spowiedzi. Teraz dowiedziała się najgorszego, ale i najlepszego - gdyby mogła w to uwierzyć. I na tym polegał kłopot, w tym tkwiło źródło jej smutku. Nie mogła w to uwierzyć. Jak można zaufać ponownie, będąc tak bardzo okłamywanym? Nikt jej dotąd nie okłamywał, nie przypuszczała nawet, że ją to kiedykolwiek spotka. A Vincent żądał od niej zbyt wiele - żeby wybaczyła, zapomniała, zaakceptowała go takim, jaki jest, bez

żadnych uprzedzeń. Ale jak ma to zrobić, skoro potrafił kłamać tak przekonująco i z taką wprawą, że nie była w stanie rozpoznać, kiedy mówi prawdę, a kiedy nie?

Oczywiście, każdy popełnia błędy i nie jest bez wad, ale nie każdy ma tak głęboko zakorzenione wady jak Vincent. Ktoś inny mógłby spojrzeć na to przez palce i wybaczyć, wychodząc z założenia, że tylko miłość się liczy, ale ona miała zbyt wiele wątpliwości, żeby być tym kimś innym. Tak, nadal go kocha. Dzisiejsza udręka jej serca niezbitie tego dowodzi. Ale gardziła wszystkim, co zrobił, i nigdy nie zdobędzie się na obojętność wobec tak fundamentalnego faktu, w każdym razie nie na tyle, żeby mu wybaczyć. Bała się położyć do łóżka, wiedząc, że tej nocy nie zaśnie. Ucieszyła się więc, gdy ojciec zapukał do drzwi, nawet gdyby sprawa, z jaką przyszedł, miała być dla niej trudna i nieprzyjemna.

- Podobno lord Everett złożył ci dzisiaj wizytę - powiedział, siadając obok niej przed kominkiem, w którego tańczące płomienie wpatrywała się bezmyślnie. - Gdybym przypuszczał, że może mnie śledzić aż tutaj, dopilnowałbym, żeby nigdy nie przekroczył progu tego domu. Zabroniłem mu widzenia się z tobą, co, jak widać, na niewiele się zdało.

- Nie przejmuj się - odparła. - Wątpię, żeby jeszcze próbował się ze mną zobaczyć.

- Nie przyjęłaś więc jego przeprosin?

- Wiedziałaś, że zamierza mnie przeprosić?

- Wywnioskowałem, że się z tym nosi, tak. Twierdził, że cię kocha. Czy masz powód, aby w to wątpić, po dotychczasowym z nim doświadczeniu?

- Tak... nie - poprawiła się, i zaraz dodała: - Sama już nie wiem.

- Przepraszam cię, Risso. Wiem, że nie chcesz rozmawiać o tym, co się stało. Ale sądząc po twoim melancholijnym nastroju, nabieram przekonania, że kochasz tego człowieka.

- Kochałam. I już sama nie wiem, co teraz czuję.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Bo też wcale nie jest łatwo dopuścić miłość lub wyrzec się jej w kilku prostych słowach. Masz, weź to i przeczytaj sobie - powiedział, wręczając jej dwa listy. - Noszę je już od kilku dni. Nie chciałem ci ich pokazywać, żeby cię znowu nie zasmucać, ale może nie miałem racji, podejmując taką decyzję.

- O czym ty mówisz?

- O tych listach. Otrzymałem je wraz z własnością hipoteczną naszego domu. Zobaczyłem je dopiero po jego wyjściu. Co wiesz o jego bracie?

- Niewiele. Vincent rzadko o nim mówił. Napomknął o Albercie, kiedy opowiadał o swoim dzieciństwie, które było rozpaczliwie samotne - twierdzi, że nie było to jedno z jego licznych kłamstw, którymi mnie raczył.

- Nie wierzysz w to?

- Szczerze mówiąc, sama już nie wiem, w co mam wierzyć, a w co nie. Jeśli chodzi o Alberta, nie byli sobie

bliscy, z wyjątkiem krótkiego okresu w młodości. Albert był ulubieńcem rodziców, rozumiesz. Wszędzie go ze sobą zabierali, podczas gdy Vincent nigdy nie uczestniczył w ich życiu. Wydaje mi się, że Vincent miał zwyczaj wyciągać Alberta z kłopotów, z braterskiego obowiązku, jak twierdził. Zauważ tylko, że wszystko, co mówię, pochodzi wprost od Vincenta, notorycznego kłamcy.

Udając, że nie słyszy goryczy w jej głosie, powiedział:

- A zatem te listy powinny wiele wyjaśnić.

Popatrzyła na ojca ze zdumieniem, czekając na dalsze wytłumaczenie. Nie udzielił żadnego, jedynie jeszcze raz wskazał głową na listy, które trzymała teraz w ręce. Przeczytała je, oba. Były to listy Alberta Everetta do Vincenta. Musiała ponownie wrócić do pierwszego listu, żeby zrozumieć sens, a potem jeszcze raz.

W końcu powiedziała:

- Ten pierwszy rzeczywiście opisuje cię raczej jako szubrawca, nieprawdaż?

- Tak, z pozycji dziecka, obwieszczającego wrzaskiem, że stała mu się krzywda. W drugim liście sam Albert przyznaje, że jeszcze nie wydorósł, przynajmniej nie do tego stopnia, żeby umieć ponosić odpowiedzialność za swoje czyny.

- Należałoby przypuszczać, że Vincent powinien był się tego wszystkiego spodziewać.

- Przecież, jak mówiłaś, w rzeczywistości nie był za bardzo związany z bratem?

- Bronisz go? - zapytała z niedowierzaniem.

- Nie, po prostu próbuję spojrzeć na tę całą paskudną sprawę z jego punktu widzenia - a zakładając, że podobny zbieg okoliczności mógłby się zdarzyć w mojej własnej rodzinie, myślę, że zachowałbym się tak jak on. A nawet mógłbym się posunąć jeszcze dalej i wyzwąć na pojedynek człowieka, który by doprowadził do ruiny członka mojej rodziny, a w konsekwencji do jego śmierci.

- Ale zemsta nie ma sensu. Sam tak zawsze mówiłeś. I wpajałeś nam to samo.

- Zemsta, tak, zwłaszcza gdy nie dysponujesz odpowiednimi środkami, żeby ją wymierzyć. Ale gdy w grę wchodzi ofiara doprowadzona do takiego stanu, że popełnia samobójstwo, a temu, kto jest za to odpowiedzialny, wszystko uchodzi płazem, wtedy już trzeba próbować wymierzyć sprawiedliwość i ukarać winowajcę.

- Ty naprawdę go bronisz!

George zachichotał.

- Nie, ponieważ tak naprawdę nie znamy wszystkich faktów i nigdy ich nie poznamy. Nawet Albert przyznaje, że dużo pił przez większą część czasu podczas tamtych wydarzeń, więc nie może dokładnie pamiętać, co było przyczyną, że tak nisko upadł. Lord Everett ponosi winę za wyciągnięcie takich, a nie innych wniosków. Ale w tamtej sytuacji, biorąc pod uwagę znane mu fakty, trudno było kwestionować ich słusność.

- Nie, gdyby się pofatygował i spróbował dowiedzieć, jakim jesteś człowiekiem - nalegała. - I że nigdy nie popełniłbyś niczego tak karygodnego...

Kolejny chichot.

- Teraz już nie musisz się aż tak oburzać w moim imieniu, Risso. Było, minęło. A nasza sytuacja uległa nawet poprawie w związku z tym. Jedyłą ofiarą jesteś ty, ale nawet i to można naprawić.

- Wychodząc za niego? - zachnęła się.

- W tej sprawie tylko ty możesz o tym zdecydować – odparł i ruszył w stronę drzwi. Ale zatrzymał się jeszcze i dodał: - Wielokrotnie czytałem ten pierwszy list, a potem zabawiłem się w zgadywanie "co by było, gdyby". Proponuję, żebyś zrobiła to samo. Przeczytaj ten list i wyobraź sobie, że napisał go Thomas, już jako dorosły człowiek, oczywiście. Wyobraź sobie, że napisał go do ciebie. A potem zapytaj siebie, jak byś postąpiła.

Rozdział 27

Vincent nawet dokładnie nie wiedział, jak to się stało, ale obecnie Jonathan Hale uważał go za swojego najlepszego przyjaciela. Jak na ironię Jon nie był daleki od prawdy. Vincent rzeczywiście cenił sobie teraz jego towarzystwo. Początkowo sądził, że to wynika z potrzeby rozrywki, odwrócenia uwagi. Ale Jon traktował ich przyjaźń znacznie bardziej na luzie, był przy tym zabawny, i w rezultacie Vincent naprawdę polubił jego towarzystwo. Szybko się zorientował, że bez odwiedzin Jona i zabawnych z nim pogaduszek nie odstępowałoby go to jakże dotkliwe przygnębienie, które, gdy był sam, prześladowało go od rana do wieczora.

Porażka była dla niego czymś zupełnie nieznanym i obcym. Odnosił sukcesy prawie we wszystkim, co sobie zamierzył, z wyjątkiem tej jednej, najważniejszej sprawy, jedynej, która tak wiele dla niego znaczyła. Ile trzeba mieć w sobie buty, żeby sądzić, iż przekona Larissę i otrzyma od niej jeszcze jedną szansę, gdy tylko uda mu się z nią porozmawiać. To prawda, że jeszcze jej na nim zależy. Poznał to po oczach Larissy. Ale to nie wystarczyło. Czego się spodziewał? Złożenie wszystkiego, każdego

kłamstwa i najmniejszego oszustwa, u jej stóp, na nowy początek, nie odniosło skutku.

Miał nadzieję, że może tylko za wcześnie zaczął, że może potrzebny jest czas, by złagodzić jej rozgoryczenie. Ale jeżeli nie znajdzie w sercu miejsca na wybaczenie albo choćby na zrozumienie powodu, dla którego zrobił to wszystko, wówczas nic nie pomoże.

Jonathan natomiast skorzystał na krótkim wypadzie Vincenta do Portsmouth. Ascotowie nie oszukali go i nie wykorzystali informacji, że gotów jest zapłacić niebotyczne pieniądze za *Nimfę*. George podał mu taką cenę, jaką, według niego, wart był obraz, i okazało się, że to znacznie mniejsza kwota niż wynagrodzenie, jakie Jon zapłacił Vincentowi za znalezienie obrazu. Rzeczywiście Ascot okazał się uczciwym i honorowym człowiekiem, takim jakim go opisała Larissa. To sprawiło, że Vincent poczuł się jeszcze podlej.

I jak tu dalej wieść życie, kiedy człowiek nie chce zerwać wszystkich więzów, które go z nim łączą?

Jednym z takich więzów, których Vincent nie chciał zerwać, była świąteczna choinka w saloniku. Nie zamierzał jej usunąć. Niech tu sobie zgnije, nawet straci ostatnią igielkę, ale nie usunie jej z saloniku, dopóki Larissa nie przyjdzie po swoje zabawki i ozdoby.

Jonathan miał rację - był y dla niej cenne, a Vincent liczył na to, że może nie przyśle po nie kogoś, tylko sama przyjdzie. A gdyby to zrobiła, nie dostanie gotowego pudła, z którym będzie mogła natychmiast wyjść, tylko

pobędzie tu trochę, osobiście zdejmując ozdoby z drzewka.

To była jego ostatnia nadzieja. Odrobina czasu z nią, sam na sam. Może jeszcze pamięta, ile było radości i śmiechu, gdy dekorowali choinkę. Liczył na to, liczył też, że może powrócą inne wspomnienia związane z jego domem, które jej przypomną, jak cudowne może być ich życie, jeżeli da mu nową szansę. Wychodził z domu tylko w ostateczności. Wiedząc, że Larissa może wybrać taki moment, kiedy będzie pewna, że się z nim nie spotka, wydał ścisłe polecenie, żeby go natychmiast wezwano, jeśli się pojawi, albo nie wpuszczano wcale, gdyby był nieobecny, co zmusiłoby ją do ponownego przyjścia, gdy on już będzie z powrotem w domu. I czekał na nią.

Rzeczywiście przyszła, i to późnym rankiem, kiedy zwykle bywał w domu, a więc nie starała się go uniknąć. Zastał ją jeszcze w holu, gdzie poproszono, żeby zaczekała. Zdawała się zdenerwowana. W istocie trudno to było dostrzec, a jednak poznał, że tak jest, po sposobie, w jaki ssła dolną wargę, co zresztą przerwała, kiedy się pojawił, i zacisnęła mocno ręce, które trzymała przed sobą.

Może to z powodu tego zdenerwowania, nie zaś z pragnienia jak najszybszego opuszczenia tego miejsca, od razu wyjaśniła cel swojej wizyty:

- Przyszedłam po nasze zabawki na choinkę. Nie mogłam tego wcześniej zrobić.

- Rozumiem, że wolałaś mnie raczej nie widzieć.

- Nie o to chodzi. Chciałam tylko, żebyś choć raz miał na święta normalną choinkę. My sobie poradziliśmy, spędzając resztę Bożego Narodzenia przy drzewku Applebeesów. A wiedziałam, że gdybym zdjęła stąd nasze zabawki, zostawiłbyś drzewko tak, jak jest, i pozbawił się tej przyjemności.

- Dlaczego?

- Nie rozumiem.

- Dlaczego ci na tym zależało? - zapytał.

- Ponieważ to była twoja pierwsza choinka.

- I co z tego? Obywałem się bez niej latami. Mogłoby tak być do końca życia.

- W tym rzecz, że nie dbasz o to. I zasmucił mnie fakt, że tak ci na tym nie zależy.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Risso, bożonarodzeniowa choinka jest niczym, jeżeli nie masz jej z kim dzielić. Sama tak powiedziałaś. Jest symbolem okresu, w którym ludzie dzielą się radością, prezentami. Chodź. Podzielmy się nią po raz ostatni.

Ruszył do saloniku, nie czekając na nią; spodziewał się, że dołączy do niego. Był raczej dumny ze stanu jej drzewka, patrzył więc na nią uważnie, gdy weszła do pokoju i je zobaczyła. Była wyraźnie zaskoczona. Bardziej jednak liczył na uśmiech Larissy niż tylko na zdziwienie.

- Wymieniłeś ją, kupiłeś nowe drzewko. Dlaczego?

- To jest to samo drzewko - zapewniał ją. - Nianczyłem je osobiście, podlewając dwa razy dziennie. Postanowiło pożyć trochę dłużej.

Zażartował, mówiąc, że drzewo miało coś do powiedzenia w tej sprawie, ale była zbyt sentymentalna, żeby nie zgodzić się z taką argumentacją, więc z uśmiechem, na który tak liczył, odparła:

- I udało mu się, a w dodatku jak pięknie. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek rozbierała tak dobrze zachowaną choinkę. Jesteś pewien, że nie wstawiłeś tu nowej?

- Czy zapomniałeś o moim zapewnieniu, że już nigdy cię nie okłamię?

Zaczerwieniła się. Oto znowu stało pomiędzy nimi to wszystko, co zrobił, wszystko, czego żałował. I po co od razu poruszył tę sprawę? Chciał przecież, żeby się najpierw zrelaksowała, przypomniała sobie radość, jaką przeżyli w tym pokoju.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to, co mówisz, nie jest żadnym zapewnieniem, skoro zapewnienie może równie dobrze okazać się kłamstwem?

- Twoje powątpiewanie jest zrozumiałe i uzasadnione, Risso. Ale przecież wiesz, że większość tych kłamstw miała na celu zatrzymanie ciebie tutaj. Tak bardzo cię pragnąłem, że byłem gotów postawić wszystko na jedną kartę, bylebyś tylko przyszła do mnie z własnej woli. Jest mi przykro i przepraszam za posądzanie twojego ojca o największe podłości. Pomyliłem się. Jestem daleki od doskonałości. Ale nie przeproszę za to, że cię pragnąłem, że kochałem się z tobą, ani za to wszystko, co zrobiłem, żebyś była moja,

choćby to była tylko chwilka, ponieważ przeproszenie cie za to byłoby kłamstwem.

Choć po tak szczerym wyznaniu jej policzki zapłonęły jeszcze mocniej, nie odpowiedziała nic. Odsunęła się nawet od niego. Wolała patrzeć na drzewko niż na niego. Wyraz jej twarzy też nic mu nie mówił - czy poruszyło ją to wyznanie, czy może raczej wprawilo w zakłopotanie?

Spróbował jeszcze raz.

- Nigdy nie zamierzałem się zenić. Bo też nigdy nie byłem zakochany. Sądziłem, że jestem uodporniony na tego rodzaju uczucie. Udowodniłaś, że się myliłem. Żałuję, że nie dotarło to do mnie odrobinę wcześniej. Mogliśmy być zaręczeni przed powrotem twojego ojca. Do licha, mógłbym cie nawet porwać do Gretna Green(miasteczko na szkockiej granicy, dokąd niegdyś uciekały młode angielskie pary, by zawrzeć szybko małżeństwo), by na wszelki wypadek wziąć ślub jeszcze przed jego powrotem.

Przerwał i czekał z nadzieją, ale ona wciąż tylko wpatrywała się w drzewko. Jego ostatnia szansa, którą ona utracąca swoim milczeniem. Oczywiście, to była jej odpowiedź. Miała dostatecznie dużo czasu, żeby utwierdzić się w swoim postanowieniu. Nie posądzał jej jednak o obojętność.

Staął za nią, chciał położyć ręce na jej ramionach, ale powstrzymał się w obawie, że ją spłoszy.

- Risso, powiedz coś.

- Przeczytałam listy twojego brata.

- I?

- I może postąpiłabym tak samo jak ty.

Znieruchomiał, wstrzymał oddech.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że mi przebaczasz?

- Chcę powiedzieć, że cię kocham i nie widzę możliwości, by to zmienić.

Nie dał jej szansy na wycofanie się ani na próbę skorygowania tego, co przed chwilą powiedziała. Odwrócił ją, przygarnął blisko, pocałował bez pamięci. Jęk, jaki wydała, był odpowiedzią na jego pytanie i nappełnił go taką ulgą, że zostało w nim jeszcze tylko miejsce na radość. Znowu była jego! I tym razem jej nie straci.

- Przyszłaś tutaj z zamiarem wybaczenia mi? - zapytał.

- Pomyślałam, że to jest możliwe.

Jej szeroki, promienny uśmiech był zaraźliwy. Zrewanżował się jej takim samym, ściskając z całej mocy.

- Ucieknij ze mną.

- Nie, tym razem wszystko odbędzie się jak należy. Będziesz musiał odbyć rozmowę z moim ojcem.

Jęknął.

- Nie krył się ze swoim uczuciem do mnie. Nie lubi mnie.

- Sprawdzisz, czy przypadkiem nie zmienił zdania - odparła.

- On wie, że cię kocham. On jeden uprzytomnił mi, że byłam dla ciebie zbyt surowa. Ale jeśli się mylę, wtedy uciekniemy.

- Mówisz poważnie? - zapytał zdumiony.

Z czułością ujęła jego twarz w dłonie.

- Pozwoliłam, żeby cierpienie zawładnęło moim sercem, ale jednak w głębi duszy wiedziałam, że jesteś tym mężczyzną, w którym jestem nadal zakochana. Przepraszam, że moje serce potrzebowało tak dużo czasu, zanim znowu wzięło górę...

- Pss, teraz to nie ma znaczenia. Nic się nie liczy, poza tym, że jesteśmy znowu razem. Natychmiast porozmawiam z twoim ojcem.

- Najpierw mi pomożesz rozebrać choinkę - powiedziała. Zaśmiał się.

- Wiedziałem, że to drzewko znowu nas połączy.

- Aż wstyd je rozbierać, gdy jest jeszcze takie zielone.

- Więc tego nie róbmy - zasugerował. - Ale może to należy do rytuału?

- No cóż, to byłoby tak, jakbyśmy kazali Gwiazdce odpoczywać do następnego roku.

- Kto mówi o odpoczywaniu? Wolę raczej twoją koncepcję „wspólnego dzielenia”.

Uśmiechnęła się, sięgnęła po jego rękę i ją zatrzymała.

- Do tego nie potrzeba nam drzewka.

Podniósł jej dłoń do ust.

- Tak, nie sądzę, żeby musiało nam być potrzebne.

Rozdział 28

- **O**ch... och, no nie!

Ten okrzyk nie oddawał w pełni stopnia zdumienia Larissy, świadczył raczej, że odebrało jej mowę, kiedy w końcu zauważyła duży obraz, wiszący na ścianie u wezłowania łoża Vincenta. Pobrali się dzisiaj przed południem, z udziałem niewielkiej gromadki rodziny i przyjaciół. Wicehrabia Hale chciał wydać na ich cześć największe przyjęcie, jakie kiedykolwiek widziano w Londynie, ale Vincent twardo odmówił, wspominając coś o teatrach i o tym, co się działo, gdy w towarzystwie ujrzano Larisę, i że wolałby ją jeszcze trochę zachować dla siebie, przynajmniej dopóki się nie oswoją ze stanem małżeńskim.

Jonathan doskonale to rozumiał, chociaż Larissa nie bardzo wiedziała, o co chodzi. W teatrze bawiła się świetnie, nie była jednak pewna, czy z równą przyjemnością weźmie udział w wielkiej londyńskiej fecie, była więc raczej zadowolona, gdy jej mąż odrzucił propozycję.

Zgodnie z jej przewidywaniami George Ascot przyjął Vincenta do rodziny z otwartymi ramionami. Przeciwnie niż jej brat. Będąc świadkiem udręki siostry,

gdy się zakochała, i winiąc Vincenta za większość jej łez, Thomas przyjął pozycję "poczekamy, zobaczymy". Vincent musi jeszcze udowodnić, że potrafi Larisę uczynić szczęśliwą. Była pewna, że nie będzie na to długo czekał, chociaż nie wyobrażała sobie większego szczęścia od tego, którego już doświadczała.

- No nie - powiedziała jeszcze raz, rozśmieszając tym razem Vincenta, który wszedł do sypialni i stanął za nią tuż obok łóżka.

Wpatrywała się w gołą, rozkosznie piękną młodą dziewczynę, swawolącą z czterema satyrami na leśnej polanie. Tak, w najbardziej oględny sposób, można by opisać *Nimfę*. Przedstawiona scena była bowiem znacznie bardziej szokująca, i każdy, nawet przy niewielkiej dozie wyobraźni, mógł sobie dopowiedzieć wszystko, cokolwiek jej lub jemu przychodziło do głowy.

- Nasz ślubny prezent od Jonathana - wyjaśnił Vincent, zatrzymując ręce na jej ramionach.

- Chyba nie będziemy go musieli zatrzymać?
Roześmiał się.

- Nie, oczywiście, a poza tym został nam tylko pożyczony. Jon liczy na to, że go zwrócimy, chociaż nie wątpię, że miał powód do zadowolenia, pozbywając się go na trochę. Zdawał się być lekko zdumiony, kiedy potwierdziło się specyficzne działanie obrazu. - Opowiedział jej pokrótce historię *Nimfy*, kończąc ją następującym zdaniem: - W dniu, w którym sprowadził obraz do domu, po kupieniu go od twojego ojca, złożył

wizyty aż czterem swoim metresom, co, jak sędzę, było niezmiernie wyczerpującym doświadczeniem.

Odwróciła się, spoglądając na niego wielkimi, zdumionymi oczami.

- Ma aż tyle... zaprzyjaźnionych pań?

Jego dłonie zaczęły pieścić jej kark.

- Znacznie więcej, ale tamtego dnia udało mu się dotrzeć tylko do tych czterech.

Zachnęła się lekko:

- I pomyśleć, że był zainteresowany małżeństwem ze mną; przynajmniej takie sprawiał wrażenie.

- Och, to prawda. - Vincent uśmiechnął się szeroko.

- On naprawdę chciał się z tobą ożenić.

- Dotrzymując towarzystwa tylu innym kobietom?
- niemal warknęła.

- Proponując ci małżeństwo, chciał ci ofiarować więcej pieniędzy, niż byłabyś w stanie sobie wyobrazić. Nie ofiarowywał wierności. Postąpiłby zresztą uczciwie, tłumacząc ci, że urozmaicenie jest kwintesencją życia. Decyzja należałaby do ciebie - czy zgadzasz się, czy nie, na taki rodzaj małżeństwa.

- Naprawdę uważał, że można mnie...? Słowo kupić wydaje mi się tu najodpowiedniejsze.

Vincent uśmiechnął się, jednocześnie zataczając kciukami kółeczka na jej policzkach, następnie na płatkach uszu.

- Miał taką nadzieję. Stałaś się jego najnowszym wyzwaniem i celem. Ale szybko się zorientował, że gdzie indziej ulokowałaś swoje uczucia - oczywiście mam na myśli siebie - i wycofał się z konkurencji, nie żywiąc

urazy. A teraz, wyobraź sobie, odkąd uważa mnie za swojego najlepszego przyjaciela, jest nawet uszczęśliwiony, że wyszłaś za mnie, a nie za niego.

- Że też przyjaciel mógł ci dać coś takiego! - zdziwiła się, kiwając głową w stronę obrazu.

- To żart, najdroższa, tyle że w nie najlepszym guście, ponieważ nie ma nic wspólnego z miłością, a jedynie z seksem, ale on na pewno nie miał nic zdrożnego na myśli. A poza tym nie robi na mnie takiego wrażenia, jakie wywarł na nim.

- Nie?

- Niektórzy ludzie potrzebują wzrokowej podniety, i tak jest w przypadku tego obrazu. Na innych strona wizualna nie działa. Jedyłą podniętą jest dotyk; bez tego nie mogą się obejść. A dla jeszcze innych najważniejsza jest podnieta uczuciowa: kiedy zaangażowane jest serce.

- Należysz do tej trzeciej kategorii?

- Nie potrafię powiedzieć, czym się kierowałem przed poznaniem ciebie, ale wiem na pewno, czym się obecnie kieruję. Miłość jest dla mnie czymś szczególnym. Ty jesteś moją jedyną podniętą.

Nie była nieczuła na jego pieszczoty, ale jego słowa poruszyły ją niewymownie.

- Uważam, że nie obejdzie się dzisiaj bez przerobienia wszystkich trzech kategorii - powiedziała jednym tchem. - Z tym że udzielam pierwszeństwa tym dwóm ostatnim.

- Poradzę sobie bez pierwszej - odparł.

Podszedł do wezglowia łóżka, żeby odwrócić obraz do ściany.

Nie spodziewali się, że po drugiej stronie namalowana jest identyczna scena, tyle że przedstawiona od tyłu.

Oboje się roześmiali.

- No nie, tego już za wiele - rzekła Larissa. - Nawet artysta musiał zdawać sobie sprawę, że nie wszyscy potrafią docenić jego dzieło. Musiało mu bardzo zależeć, żeby nie zostało ukryte przed światem, prawda?

Wrócił, stanął przed nią i ujął jej twarz w obie ręce. Jego oczy miały złocisty blask, choć sam był w tej chwili wyjątkowo poważny.

- Tak bardzo cię kocham, że nawet nie potrafię tego wyrazić, Risso. Wniosłaś światło w to, co było mrokiem. Egzystowałem, ale nie żyłem. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Wypełniłaś pustkę w moim życiu, o której istnieniu nie wiedziałem.

- Przestań, bo się rozpłaczę - powiedziała, a jej turkusowe oczy zrobiły się wilgotne.

Uśmiechnął się łagodnie i znowu przytulił ją mocno do siebie.

- Nie mam nic przeciwko twoim współczującym łzom. Ukazują, jak bardzo mnie kochasz.

- Wolałabym ci to okazać w inny sposób.

- Robisz to. Okazujesz mi to na tak wiele sposobów, że nigdy nie będę miał tego dosyć. To wielkie szczęście, że jesteś moją żoną, Risso. I obiecuję, że uczynię wszystko, abyś i ty była szczęśliwa do końca życia.

Otarła łzy i uśmiechnęła się do niego promiennie:
- Już teraz mnie uszczęśliwiasz.

